

IIIOT

a

MARIA KRUGER

DAR RZEKI FLY

ILUSTROWAŁ JERZY SROKOWSKI

INSTYTUT WYDAWNICZY NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA 1987

ТШЖТШШ

DAR RZEKI FLY

(Baśń z Nowej Gwinei)

W dawnych, bardzo dawnych czasach, tak dawnych, że ich nie pamiętają nawet najstarsi ludzie — w tych czasach, kiedy wielka

wspaniała Rzeka ' przywracała młodość starcom — żyła na Nowej Gwinei dziewczyna, na którą wołano: Dandai.

Była to najpiękniejsza ze wszystkich dziewcząt, jakie tańczyły podczas uroczystych świąt wokół trzaskającego wesoło ogniska.

Wszyscy patrzyli z zachwytem na Dandai, gdy w spódniczce z zielonych traw, z kwiatami wpiętymi w czarne loki kołysała się rytmicznie w kręgu młodych jak ona dziewcząt. Piękny naszyjnik z zębów kangura i złote bransolety na rękach i nogach pobrzękiwały w takt śpiewanej pieśni i głuchego dźwięku tam-tamów.

Ohoooo!

jak smukła palma kołysze się na wietrze,
tak lekko tańczy dziewczyna...

Ohoooo!

Fly — po angielsku również oznacza: rzekę.

Lśniła w blasku ogniska ciemna, jedwabista skóra Dandai, połyskiwały jej białe zęby, gdy śmiała się wesoło.

Szczęśliwa była wtedy Dandai.

Któregoś wieczoru, gdy zmęczona tańcem przysiadła z dala od koła dziewcząt, podeszła do niej stara Bluinoch.

Wszyscy się bali starej Bluinoch — podobno znała mowę zwierząt i umiała rozmawiać z wiatrem i wodą...

— Śmiejesz się teraz, Dandai — pokiwała głową starucha — śmiejesz się, jesteś młoda i piękna. Ale nie zawsze będziesz tak wyglądać. O, nie! Pomyśl o tym, że kiedy miną lata — staniesz się stara. Twoje czarne włosy posiwieją, twoje czarne oczy stracą blask, a twoją gładką twarz przetną zmarszczki. O, będziesz taka jak ja, tak samo pomarszczona i brzydka...

Ale Dandai zaśmiała się.

— Przecież wspaniała i dobra Rzeka Fly ma moc przywracania młodości. Przecież ty też odzyskałaś młodość...

— Tak, tak — mruknęła starucha — przeżyłam już i drugą młodość, ale już trzeci raz Rzeka mi jej nie wróciła. I już zostanę stara do końca moich dni... Pamiętaj i ty, Dandai, że nie zawsze i nie wszystkich obdarowuje Rzeka młodością. A jeśli Rzeka Fly nie wysłucha twojej prośby? Spójrz na mnie! Widzisz moje siwe, zmierzwione włosy? A skóra moja — zgrubiała i pomarszczona jak skóra żółwia...

Dziewczyna zasmuciła się.

— To prawda, Rzeka nie zawsze wysłuchuje błagań ludzkich. Ale będę starała się zasłużyć na jej łaskę...

Wtem od strony ogniska rozległo się wołanie:

— Dandai! Ohoooo! Dandai!

To wołał najdzielniejszy chłopiec na wyspie, odważny żeglarz Maikassi.

Wkrótce po wielkim święcie ognia i młodości Dandai została żoną Maikassi. Teraz już nie tańczyła i nie śpiewała w kole dziewcząt. Nie miała też czasu na zdobienie kwiatami swych czarnych, gęstych włosów. Mieszkała razem z mężem w trzcinowej chatce, razem z nim pracowała ciężko w polu, aby starczyło im plonów na wyżywienie siebie i dzieci.

A miała ich Dandai sześcioro. Rodziły się śliczne i zdrowe, ale ledwo które podrosło — zabierała je nieubłagana śmierć.

— Ъ —

Jedno z nich — najstarsze — zmarło na straszną chorobę ben--oeri, drugie zginęło od ukąszenia jadowitego węża, trzecie porwały wzburzone fale rzeki, czwarte zabłądziło w dżungli i nigdy już nie powróciło, piąte zginęło w czasie pożaru lasu.

I został Dandai tylko jeden synek, najmłodszy — Leituuk. Bardzo go kochała Dandai. Kiedy był jeszcze bardzo maleńki, idąc w pole do roboty nosiła go na plecach i śpiewała mu najpiękniejsze piosenki. Kiedy był starszy — opowiadała mu najpiękniejsze bajki i przynosiła do zabawy najpiękniejsze kwiaty.

Pewnego smutnego dnia pień walącej się palmy przygniótł dobrego Maikassi. Odtąd Dandai musiała sama podołać całej robocie w polu i przy gospodarstwie. Pracowała bardzo ciężko od świtu do ciemnej nocy.

Te lata ciężkiej pracy szybko zniszczyły urodę Dandai — najpiękniejszej niegdyś dziewczyny na wyspie. Kiedy któregoś dnia przypadkiem przejrzała się w strumyku, zobaczyła w nim odbicie starej i zniszczonej kobiety. Czarne jej włosy były prawie zupełnie siwe, a skóra na twarzy pomarszczona. Przypomniała sobie słowa starej Bluinoch i zasmuciła się. Tak, starucha miała rację — Dandai stała się do niej podobna, a gdy minie jeszcze parę lat, będzie jeszcze brzydsza... Tak, tak, wkrótce skóra Dandai, dawniej tak jedwabista i gładka, stanie się podobna do skóry żółwia...

— Ale przecież będę mogła pójść do dobrej, wspaniałomyślnej Rzeki Fly i błagać ją o przywrócenie mi młodości — pocieszyła się zaraz Dandai. — Powiem jej, jak bardzo pragnę być znów taka jak dawniej, kiedy z dziewczętami tańczyłam przy ognisku. Chcę, aby mnie właśnie taką zobaczył mój synek. Na pewno będzie się cieszył i będzie dumny, że ma młodą i piękną matkę.

Gdy Dandai stała tak nad wodą pogrążona w myślach, z pobliskich zarośli wypęzła stara Bluinoch.

— He, he — zaskrzeczała — przypatrujesz się sobie, co? Oho, wcale już nie jesteś podobna do dawnej, pięknej Dandai. Twoje czarne włosy posiwiały, twoja gładka niegdyś twarz jest pełna zmarszczek. A nawet nie jesteś jeszcze taka stara, jesteś dużo, dużo młodsza ode mnie. O całe sto lat. Ale to nic. Będę pytała wody, wiatru i ognia, kiedy nadejdzie pora, abyś mogła pójść nad Rzekę Fly. Przychodź, Dandai, do mnie co roku, gdy wypada pierwszy nów księżyca — powiem ci, czy już jest pora.

Dandai w milczeniu pochyliła głowę. Myślała o tym, jak długo jeszcze będzie musiała czekać na tę upragnioną chwilę, i myślała, jak bardzo będzie się cieszył z jej urody Leituuk, syneczek ukochany. Jak będzie śmiał się ślicznie.

„Ale nic mu o tym nie powiem — postanowiła — to będzie dla niego niespodzianka”.

Trzy lata minęły od tego dnia. -

Przez te długie trzy lata Dandai pracowała bardzo ciężko i przybyło jej jeszcze więcej siwych włosów i coraz więcej zmarszczek przecinało jej gładką niegdyś twarz. Plecy Dandai stały się przygarbione od ciągłego schylania się w polu, a czarne, błyszczące niegdyś oczy utraciły swój blask.

Ale im bardziej była zmęczona, tym usilniej myślała o tym, że wkrótce już może odzyska w łaskawych falach Rzeki Fly dawne siły i urodę. Co roku też, o pierwszym nowiu księżyca, biegła Dandai do starej Bluinoch, aby dowiedzieć się, czy można już wyruszyć nad życiodajną Rzekę. Ale starucha skrzeczała już z daleka na jej widok:

— Jeszcze nie, jeszcze nie nadszedł czas, Dandai!

Aż wreszcie, w czwartym roku, wtedy kiedy Leituuk skończył sześć lat, Bluinoch powiedziała:

— Oto zbliża się czas, abyś poszła nad wielką, wspaniałą Rzekę Fly i zanurzyła się w jej falach. Błagaj ją o dar młodości. Może cię wysłucha. Życie twoje pełne było trudu i trosk i może

dobra Rzeka zechce wynagrodzić ci te ciężkie lata. A nie zapomnij, zanim ogarną cię fale, zanucić pieśń, którą śpiewałaś razem z dziewczętami przy ognisku. Pamiętasz tę pieśń?

Dandai w milczeniu skinęła głową. Zbyt była wzruszona, aby mówić cokolwiek w tej chwili. Słuchała więc tylko rad, które skrzypiącym głosem dawała jej Bluinoch. Myślała także przy tym o synku — więc to już blisko jest ta chwila szczęśliwa! Co powie Leituuk, gdy zobaczy matkę tak odmienioną?

Podziękowała Dandai starej Bluinoch i szybko pobiegła do chaty. Zaraz też zaczęła się szykować do drogi. Rzeka Fly płynie daleko, w głębi wyspy.

W ciemnej chacie, pod matami, na wpół zakopana w ziemi leżała stara skorupa orzecha kokosowego. W niej przechowywała Dandai pamiątki swej młodości — piękny naszyjnik z zębów kangura i złote bransolety, które nosiła na rękach i na nogach.

— 8 —

44

Tak, to trzeba zabrać ze sobą — i bransolety, i naszyjnik — tak mówiła stara Bluinoch. Trzeba by też jeszcze mieć duży kij, dość mocny, aby można było podpierać się nim w dalekiej wędrówce.

Z sękatym kijem w jednej ręce, ze skorupą orzecha kokosowego w drugiej stanęła Dandai przed swoim synkiem. Chłopiec patrzył na matkę zdziwiony.

— Idziesz w drogę, mamó? A nie możesz mnie z sobą zabrać? Dandai wzruszona wyszeptała:

— Nie mogę. Ale powrócę szybko. Bardzo szybko, nim księżyc dwa razy powróci na niebo, będę już przy tobie. A potem nigdy się już nie rozstaniemy. Dobrze, synku?

Leituuk zgodnie skinął czarną, kędzierzawą główką.

— Będę czekał na ciebie, mamó. Tu przy chacie, pod palmą. Trudna i daleka była droga do Rzeki Fly. Najpierw wiodła przez okolice pustynne. Suche osty kaleczyły zmęczone stopy Dandai, a wielkie kaktusy chwyciły ją swymi kolczastymi dłońmi, raniąc boleśnie. Ale Dandai nie zważała na to, tylko ciągle szła naprzód i myślała o tym, czy Rzeka wysłucha jej prośby. Myślała też o Leituuku.

Gdy przebyła pustynne przestrzenie, weszła w ciemną dżunglę. Przedzierała się przez gęste zarośla, szukając ścieżek, którymi w stronę Rzeki chodziły zwierzęta. Papugi na jej widok skrzeczały do siebie:

— Oto idzie Dandai! Dandai, widzicie, to Dan-da-i, która chce być piękna i młoda!

Małpki skakały z gałęzi na gałąź lub kołysały się zawieszono na ogonach i drażniły się z nią.

— Patrzcie — piszczały — jaka jest brzydka! Patrzcie, oto idzie stara i brzydka Dandai, Dandaiiii! Dandaiiii! Hi! Hihhi! Podobna do starego szympansa, który mieszka w naszej dżungli. Dandai, śmieszna Dandai! Myśli, że znów będzie piękna i młoda. A co będzie, jeśli Rzeka nie wysłucha jej prośby?

Biednej Dandai ścisnęło się serce, kiedy słyszała to małpie jazgotanie. „Tak, co będzie — myślała — jeśli Rzeka odmówi mej prośbie?” Serce jej przestało bić, gdy myślała o tym, Ale nie, to chyba się nie stanie. Tak bardzo będzie prosić dobrą i potężną Rzekę Fly!

Rajski ptak przelatując nad nią i powiewając cudnymi piórami zakwilił:

— 9 —

— Będiesz piękna jak ja, będziesz piękna! Ciesz się, Dandai!

I znów nadzieja wstępowała w jej serce i na małpie drwiny odpowiadała pogardliwym milczeniem. Nie, po prostu nie warto odzywać się do tych małych, złośliwych stworzonek.

A tymczasem kolorowe papugi, jaskrawoczerwone ary, podchwytywały te prześmiewania się małpie i powtarzały ich wrzaski.

— Starrrrra, starra-arra-ara — powtarzały uparcie.

— Jesteście niedobre ptaszyska — odrzekła im rozżalona Dandai i dzielnie szła dalej.

— Brrrrrzydka, brrrrrzydka — skrzeczały w odpowiedzi papugi. Odwracała więc głowę i wtedy wzrok jej padał na dziwaczne

i piękne kwiaty dżungli. Kwiaty pochylały ku niej swe kielichy i szeptały:

— Podziwiał naszą urodę! Ty też niegdyś byłaś piękna. Może dobra Rzeka przywróci ci młodość? Proś ją o to, abyś znów była jak kwiat. Chcesz być kwiatem, Dandai?

— Chcę — wyszeptała. Ale w tej chwili wstrętny ptak przedrzeźniacz zaczął się obrzydliwie śmiać i powtarzać odpowiedź Dandai. Pochyliła więc głowę, aby ukryć łzy, i szybko przedzierała się przez dżunglę.

Nad brzegiem małego jeziora, które jak zwierciadelko połyskiwało w głębi dżungli, Dandai przysiadła na chwilę, aby odpocząć. Po jeziorze pływały najpiękniejsze dzikie łabędzie, jakie kiedykolwiek Dandai widziała. Trzepotały skrzydłami i syczały złośliwie:

— Patrzcie, jaka brzydula! Patrzcie, jaka brzydula!

— Brzydula! Brzydula! — powtarzał znów ptak przedrzeźniacz. Ale kiedy Dandai, zbyt już zmęczona, aby otrzeć łzy spływające

po jej policzkach, zbierała się do dalszej drogi, nagle wśród łabędzi zjawił się jeszcze jeden — cudownie biały. Ten popłynął najpierw ku środkowi jeziora, gdzie rosły białe kwiaty lotosu. Purpurowym swym dziobem zerwał najpiękniejszy kwiat i zaczął płynąć z nim ku brzegowi. Dandai patrzyła na ptaka z zachwytem — tak był piękny, tak wspaniały! Tymczasem łabędź, wyciągając szyję, podał Dandai zerwany kwiat.

— Weź go — zasyczał — weź! To kwiat przeznaczony dla najpiękniejszej kobiety na wyspie. Weź — ty go będziesz nosiła, gdy Rzeka przywróci ci dawną urodę. Ty, Dandai, najpiękniejsza dziewczyna z naszej wyspy!

IG

Dandai wyciągnęła po kwiat swą ciemną, zniszczoną rękę. Ta chuda i żyłasta dłoń podobna była do szponów drapieżnego ptaka.

„Jeśli Rzeka będzie dla mnie łaskawa, to wszystko się zmieni — pomyślała Dandai — znów będę miała ręce piękne i gładkie”.

Tymczasem łabędź syczał:

— Weź kwiat, Dandai!

Dandai ostrożnie ujęła biały kielich lotosu. Mimo woli przyłożyła go do włosów — w tafli jeziora zobaczyła odbicie starej kobiety z kwiatem wpiętym w siwe, zmierzwione kosmyki.

Ale piękny łabędź szybko zmaćił ten smutny obraz.

— Idź dalej, idź, Dandai — rozkazał.

Teraz Dandai szybko biegła ścieżką, którą wydeptały zwierzęta idące do rzeki, aby gasić pragnienie.

Wreszcie zmęczona, kulejąca, na obolałych nogach dobiegła do brzegu wielkiej Rzeki Fly. Dysząc ciężko i przyciskając dłonią bijące serce patrzyła na ciemne fale.

— Rzeko Fly — szepnęła — przyszedłam do ciebie. Przyszedłam. Szybko odwiązała ze swych szczupłych bioder spódniczkę ze

starych, pożółkłych traw i położyła na brzegu skorupę orzecha kokosowego, w której był naszyjnik i bransolety. Położyła też ostrożnie na trawie biały kwiat lotosu, подарowany jej przez łabędzia.

Dandai stała nad Rzeką z podniesionymi błagalnie rękami. Blade słońce świtu oświetlało jej szczupłą postać, a wiatr rozwiewał siwe włosy. Przypomniała sobie rady starej Bluinoch — trzeba zaśpiewać tę samą pieśń, którą przed laty nuciła razem z dziewczętami przy ognisku.

Ohoooo!

jak smukła palma kołysze się na wietrze,

tak lekko tańczy dziewczyna...

Ohoooo!

Echo podjęło okrzyk i niosło go daleko. — Ohoooo! — Dandai powoli zanurzała się w zielonkawej wodzie. Teraz błagała Rzekę:

O Rzeko Fly, bezmiernie łaskawa, policz wszystkie moje smutki, policz wszystkie łzy wypłakane,

— 11 —

policz wszystkie moje siwe włosy — o Rzeko! Obdaruj mnie młodością! Ohoooo, Rzeko Fly!

Pociemniała woda Rzeki Fly, zaszumiały zielone fale i wzniosły się wysoko, wysoko, zakrywając Dandai.

A gdy opadły — z wody wynurzyły się lśniące, hebanowe włosy i piękna, roześmiana twarzyczka dawnej, młodej Dandai.

Gładkie, silne ramiona rozgarnęły wodę i oto na brzeg wyszła dziewczyna najpiękniejsza na całej wyspie.

Przez chwilę stała nieruchomo. Nie wierzyła szczęściu — a potem podniosła ręce ku niebu i dziękowała Rzece:

— Dzięki, Rzeko o zielonych wodach!

Stojąc na brzegu, Dandai szybko wiązała na biodrach spódniczkę ze świeżych traw, założyła swój piękny naszyjnik z zębów kangura, a na rękach jej i na nogach błysnęły w słońcu złote bransolety. Biały, подарowany przez łabędzia kwiat wpięła Dandai w swe czarne loki.

— Ohoooooo! Ohoooooooooo! — rozległ się dźwięczny, radosny, triumfalny okrzyk Dandai. Nie podjęła już sękatego kija, na którym opierała się idąc nad Rzekę, lecz lekko jak gazela poczęła biec w stronę rodzinnej wioski. Nie zauważyła nawet, że zarośla dżungli rozstępują się przed nią, nie słyszała zachwyconego, pochwalnego skrzeku papug:

— Dandai! Dandai! Piękna, piękna! Najpiękniejsza!

Nie patrzyła też Dandai na małpki, które, kołysząc się na lianach, wyciągały swe małe, czarne rączki, aby z zachwytem dotknąć lśniącej, jedwabistej skóry dziewczyny. Nie obchodziło ją również i to, że gdy biegła przez pustynne przestrzenie, kolące kaktusy rozstępowały się przed nią, a pożółkłe, ostre trawy słały się miękko pod stopy.

Wreszcie dojrzała z oddali swą chatę — a przed chatą w cieniu palmy bawił się jej synek. Leituuk!

— Syneczku!

Chłopiec odwrócił się szybko.

— Mama!

Ale gdy Dandai podbiegła do niego — ciemna buzia dziecka posmutniała.

— 12 —

— Myślałem, że to mama — szepnął zawiedziony. — A ty nie jesteś moją mamą!

Dandai uklękała przy chłopcu.

— Ależ to ja, ja jestem twoją mamą! Nie poznajesz mnie, syneczku?

— Nie znam cię — odepchnął ją chłopczyk. — Nie znam! Gdzie moja mama? Jesteś obcą dziewczyną!

— Przypatrz mi się, syneczku! — błagała z rozpaczą Dandai.

— Jestem przecież ta sama, tylko o wiele lat młodsza. Synku, to dobra Rzeka Fly wróciła mi młodość i urodę. Czy nie chcesz mieć młodej, pięknej matki?

Ale Leituuk powtarzał, płacząc:

— Idź sobie, idź! Nie znam cię! Moja mama była najpiękniejsza na świecie. Miała siwe włosy i pomarszczoną twarz. Moja droga mama! Wróć, mamó, do mnie, wróć!

Dandai pochyliła głowę. Serce pękało jej z żalu. Przecież to dla niego, dla swojego ukochanego syneczka chciała być piękna i młoda. Myślała, że będzie dumny z jej urody, że będzie ją jeszcze bardziej kochał. A tymczasem? Leituuk odwraca się od niej i tęskni za dawną, brzydką i starą Dandai!

Co począć? Co począć?

Biały kwiat wypadł z loków Dandai i leżał w pyle przydrożnym. A tymczasem już w całej wiosce rozeszła się wieść o powrocie Dandai. To na jej cześć zapłonnie wieczorem ognisko, z daleka

już dobiegały dźwięki tam-tamów i Dandai miała znów, jak przed laty, tańczyć w kole dziewcząt.

Co począć?

Głos tam-tamów stawał się coraz silniejszy i mieszał się z żalonym płaczem małego Leituuka.

Wreszcie Dandai podniosła się z klęczek. Pogłaskała główkę synka i poczęła iść w stronę, gdzie wiodła droga nad Rzekę Fly. Szła nie oglądając się za siebie. Tylko na małą chwilę zatrzymała się, jakby nasłuchując tam-tamów, a potem już zaczęła biec coraz szybciej. Mijała pustynne przestrzenie i przedzierała się przez ciemną dżunglę. Nie zważała na przymilne zaczepki małpek i krzyki ptaków. Biegła zwinnie i lekko. Nad jeziorem, po którym pływały łabędzie — zatrzymała się przez chwilę. Stała patrząc na swoje odbicie, a potem przyklęknęła i dotknęła dłonią wody, jakby chciała swój śliczny obraz zatrzymać na wodzie. Najpiękniejszy z łabędzi i tym razem trzymał w dziobie kwiat lotosu.

— Zastanów się — syczał — wracaj! Jesteś najpiękniejsza!

Ale Dandai potrząsnęła tylko głową i biegła dalej. Wreszcie zdyszana stanęła znów nad brzegiem Rzeki Fly. Spiesznie zsunęła z bioder spódniczkę z traw i zanurzyła się w chłodnych, zielonkawych falach. Kiedy woda sięgała jej już do ramion, Dandai zaczęła prosić Rzekę:

Ja, czarna Dandai, dziękuję ci z całego serca

za twój bezcenny dar młodości

i przynoszę ci go z powrotem.

Bo zrozum, wielka Rzeka —

że droższa niż piękność, niż młodość

jest dla mnie miłość mego dziecka...

O Rzeka Fly!

Fale Rzeki pociemniały, zaszumiały i wzniosły się wysoko,
wysoko ponad głową Dandai.

A kiedy po chwili opadły — pośrodku Rzeki, w spokojnej,
płynącej wodzie stała stara, siwa, o pomarszczonej twarzy
kobieta — w naszyjniku z zębów kangura i w złotych
bransoletach na rękach i na nogach.

Stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie wyszeptała:

— Dziękuję ci, Rzeka.

A potem, wrzucając do wody swój naszyjnik z zębów kangura i
złote bransolety, powiedziała jeszcze:

— Zabierz to razem z moją urodą, Rzeka Fly!

Na brzegu stara, siwa kobieta szybko zawiązała swą spódniczkę
z traw i schyliła się po sękaty kij, który zostawiła tu, gdy była po
raz pierwszy. Spojrzała jeszcze raz na zielonkawe fale i ruszyła
w drogę.

Gdy przybiegła przed chatę, mały Leituuk powitał ją okrzykiem radości.

— Mamo!

— Synku — szepnęła Dandai — synku mój!

Taka jest baśń o Dandai, która wybrała miłość swego dziecka. Ale od tego czasu obrażona Rzeka Fly już nigdy nikomu nie przywróciła młodości.

I

IKAKINDRA KOLOMAMBA

(Baśń z Madagaskaru)

Daleko, daleko stąd, spośród morskich, nieogarniętych wzrokiem przestrzeni, wynurza się wielka i piękna wyspa Madagaskar. Przez wielką wyspę Madagaskar przepływa wiele rzek i strumieni.

W jednej z takich rzek, sączącej się leniwie i rozlewnie wśród szmaragdowych łąk i ciemnych lasów, mieszkał niegdyś wielki krokodyl, stary Ikakindra Kolomamba.

— Ikakindra Kolomamba jest bardzo żarłoczny — mówili o nim ludzie z wyspy. Mówili to szeptem, gdyż niezmiernie bali się starego krokodyla.

— Ikakindra Kolomamba jest również bardzo podstępny — dodawali inni jeszcze ciszej.

— Pst! Lepiej nic nie mówcie — gromili szepczących ci już najbardziej lękliwi. — Czy nie wiecie, że wielki i bardzo stary Mamba wszystko słyszy i może się pogniewać?

Ci, którzy w ten sposób mówili, mieli nawet trochę racji, zwłaszcza jeśli rozmowa toczyła się w pobliżu rzeki. Wiadomo przecież było, że Ikakindra potrafił po wygramoleniu się na brzeg rzeki

— 15 —

leżeć nieruchomo na piasku, udając z powodzeniem martwy pień drzewa, i że bardzo lubił podsłuchiwać, co ludzie o nim mówią. Dlatego też niektórzy mieszkańcy wioski, przechodząc w pobliżu rzeki albo przeprawiając się łodzią, uważali za stosowne na wszelki wypadek pozdrowić uprzejmie Ikakindrę, szepcząc:

— Oooo! Mamba! Jesteś najmądrszym ze wszystkich krokodyli na świecie! Oooo! Mamba! Niech szmer fali nie zakłóca twego bardzo czcigodnego snu!

Co prawda, jeżeli szeptał to człowiek niedoświadczony, wszystkie pochlebstwa i tak niewiele pomagały. Ikakindra Kolomamba bez względu na to, co szeptał przechodzący czy przepływający człowiek, wynurzał się nagle z mętnych fal, ukazując swą ogromną, zębatą paszczę.

O tym wszystkim wiedziała i pamiętała Udafa, żona dobrego Subu. Kiedy więc jej dwie córki Zazura i Faara biegły beztrosko

nad rzekę, aby przynieść wody lub wykąpać się — mówiła zawsze pełna niepokoju i trwogi:

— O dziewczęta! Wystrzegajcie się Ikakindry Kolomamby! Słyszałam, że szczególnie smakuje mu mięso młodych dziewcząt. Uważajcie więc! I na wszelki wypadek nie zapominajcie pozdrawiać go uprzejmie z daleka.

— Nie rozumiem, dlaczego mamy go pozdrawiać — buntowała się młodsza z dziewcząt, Faara — jest to wstrętne, stare krokody-lisko.

— Cicho, cicho nie mów o nim nawet tu, w naszej chacie — gromiła ją matka. — Gdyby Ikakindra usłyszał twoje niebaczne słowa!

I na wszelki wypadek zacna Udafa wzdychała:

— O! Mamba! Mam nadzieję, że nie słyszałeś słów tej głupiej dziewczyny!

Spokojna i cicha Zazura prawie tak samo jak matka była przerażona zuchwalstwem siostry. Toteż gdy schodziły nad rzekę, Zazura nigdy nie zapomniała pozdrowić krokodyla. Ale Faara nie tylko że nie przyłączała się do tych pozdrowień, ale w dodatku szydzić z siostry:

— Boisz się tego obrzydliwego potwora? Śmieszne! Ja się [wcale nie boję!

— Cicho! Bądź przynajmniej cicho! — błagała przerażona Z~

— 16 —

:ne

- a-ira

.ziła

r gO

L Za-

III

00

zura. — Zdaje mi się, że właśnie czcigodny Mamba wynurza się z fal rzeki.

— Nie bądź takim obrzydliwym tchórzem — zwykła wtedy odpowiadać Faara. I śmiało zanurzała się w mętym nurcie.

Kiedyś jednak swoje zuchwalstwo posunęła do tego, że stojąc - w wodzie zaczęła wzywać siostrę:

— No chodź, chodź prędzej! Zapewniam cię, że nigdzie w pobliżu nie ma tego starego potwora. Zresztą i tak nic nam nie zrobi! Przecież wszystkie zęby w jego paszczy są już zupełnie spróchniałe!

— O Faaro! — jęknęła w odpowiedzi Zazura. — Co mówisz? Czy nie widzisz, że tam, na mieliźnie, spoczywa w blasku słońca nie kto inny, tylko sam wielki Ikakindra Kolomamba?

Niech będzie pozdrowiony — dodała, pamiętając o przestroгах matki.

— Nie pleć głupstw! — zakrzyknęła Faara. — To nie jest Ikakindra, tylko stary, zmurszały pień drzewa wyrzucony przez fale. Chcesz, podpłyniemy bliżej do mielizny i przekonamy się!

— Nie, nie — broniła się przerażona Zazura — nigdy w świecie nie odważę się na coś podobnego! I ciebie błagam, o Faaro! Zaniechaj tego zuchwalstwa!

— O Zazuro! Czyż nie pozwolisz mi nawet obejrzeć z bliska drewnianego pnia? — I Faara już, już miała zanurzyć się w wodzie, aby podpłynąć do mielizny i przekonać swą tchórzliwą siostrę.

Naraz leżący w żółtym piasku pień drzewa poruszył się lekko.

— To Ikakindra Kolomamba! — jęknęła z trwogą Zazura. — Uciekajmy!

— Przeklęta, wrzaskliwa dziewczucha! — mruczał tymczasem do siebie Ikakindra Kolomamba, usiłując znów udawać kawał drzewa. Ale nowy, nieopatrzny ruch ogona zdradził go do reszty. Tego tylko trzeba było Faarze.

Wyskoczyła szybko na brzeg i krzyknęła:

— Ooo! Stare, obrzydliwe krokodylisko!

I kiedy struchlała ze strachu Zazura szeptała błagalnie: — O Mamba! Wielki Mamba! Przebacz Faarze! Jest jeszcze bardzo

młoda i nie bardzo mądra. Wybacz jej i bądź wspaniałomyślny — w tym samym czasie lekkomyślna Faara, podskakując z uciechy na jednej nodze, śpiewała zuchwale:

2 Dar rzeki Flv

17 —

Ooo, Mamba, Mamba, Mamba! Ikakindra Kolomamba! Jaki to ma brzuch pękaty, jaki to ma grzbiet łuszczaty, jakie łapy ma palczaste, jakie ślepia wyłupiaste — wzrok na pewno mnie nie myli: najwstrętniejszy z krokodyli!

Nie, tego naprawdę było dosyć. Stary krokodyl Ikakindra Kolomamba nie mógł znieść spokojnie takich wyzwisk i drwin. Wlokąc z trudem swe ciężkie, ogromne cielsko, zsunął się do wody i zaczął płynąć w stronę brzegu, na którym podskakiwała wesoła i drwiąca, zuchwała dziewczyna Faara. Ale zanim zdołał dopłynąć do piaszczystego wybrzeża, dziewczynki z bijącym sercem wpadły już do chaty rodziców.

— Co się stało? — zaniepokoiła się na ich widok zacna Udafa. Były bowiem tak zdyszane, że z trudem chwytaly powietrze. — Czy może sam wielki Ikakindra Kolomamba wynurzył się z rzeki?

— O mamó, odgadłaś — zdołała wreszcie przemówić zmęczona Zazura — to właśnie Ikakindra Kolomamba chciał porwać Faarę.

— Aj! — kiwnęła głową zmartwiona matka. — Być może, Faar; pozwoliła sobie na jakieś niecne drwiny, jak to ona potrafi! To niedobrze. Trzeba umieć trzymać język za zębami, moje dzieci.

Ale kiedy nazajutrz dziewczęta znów znalazły się nad brzegierzeki, lekkomyślna i zuchwała Faara wcale już nie pamięta: o przestrojach zacnej Udafy ani też nie zwracała uwagi na błagalny szept siostry, aby nie drażniła krokodyla.

— Nie bądź takim tchórzem — mówiła rezolutnie Faara — spójrz dokoła: nawet trzciny nadbrzeżne ani drgną i powierzchnia wody jest też zupełnie gładka i spokojna. Nie, nigdzie go pr: t cięż nie widać.

— Ale on jest bardzo podstępny, Faaro. Patrz, tam na woć: są jakieś ciemne plamy!

— Nie widzisz, niemądra dziewczyno, że to tylko cień łyszającej się palmy!

— Boję się, bardzo się boję Ikakindry — szepnęła Zazura.

— 18 —

strachu nie miała nawet odwagi wejść bodaj po kostki w rzekę.

— Ciągle mi się zdaje, że czyha na nas gdzieś w ukryciu!

— Ach, nie myśl o tym, chodź! Popływamy trochę — i Faara pociągnęła siostrę do wody.

Rzeczywiście! Nigdzie w pobliżu nie było widać Ikakindry. Słońce przygrzewało coraz silniej, pierzaste palmy kołysały się lekko, papugi pokrzykiwały wesoło swymi chrapliwymi głosami, małpki skrzecząc skakały po drzewach i chwytaly się pnączy, zabawiając się beztroską gonitwą. Świat był piękny.

Naraz... ach! Naraz stała się rzecz straszna. Najstraszniejsza, jaka mogła się wydarzyć. Z mętnych fal rzeki wynurzył się ogromny łeb i wielka, szeroko rozwarta paszcza, z niezliczoną ilością zębów, porwała smukłą Faarę, gdy właśnie zwinnie i śmiało, wśród śmiechu i żartów, wypłynęła na środek rzeki. Zdołała tylko krzyknąć przeraźliwie i zatrzepotała cienkimi i delikatnymi jak łodygi kwiatów rękami.

Drżąc z przerażenia Zazura szybko — niczym strzała wypuszczona z łuku wojownika — wyskoczyła na brzeg. Stała, ociekając wodą, i patrzyła na gładką powierzchnię wody, pod którą zginęła jej siostra.

— O Faaro! — wyszlochała Zazura, wyciągając bezradnie ręce.

— Faaro!

Po chwili z wody wynurzył się łeb krokodyla. Zazura padła na kolana.

— Ooo! Mamba! Zlituj się! Bądź wspaniałomyślny! Oddaj mi moją siostrę! O Ikakindra Kolomamba! Przysięgam ci, że już nigdy nie będzie sztydziła z twej szanownej postaci.

Ale stary krokodyl słuchając tych błagań najpierw zaśmiał się szyderczo, a potem powiedział gderliwie:

— Nie masz tu co sterczeć nad brzegiem, dziewczyno. Zatrzymam u siebie twoją siostrę. Będzie mi śpiewała piosenki, w których będzie sławiła moją urodę — ona przecież tak lubi śpiewać. Poza tym będzie mi służyła — będzie musiała starannie i delikatnie obmywać z błota mój gruby brzuch i czyścić z mułu mój łuszczaty grzbiet. A kiedy już mi się znudzi to wszystko, to ją zjem! — To mówiąc Ikakindra Kolomamba kłapnął okropnie zębami. —

Biedna Zazura zrozumiała, że nic już sama nie wskóra u bardzo złego krokodyla Ikakindry Kolomamby. Pobiegnęła więc szybko do domu ze straszną nowiną.

— 19 —

— O biada, biada! — zaczęła zawodzić zacna Udafa. — A przecież ostrzegałam ją tyle razy przed tym złym krokodylem. Być może, obraziła go jakimś niebacznym słowem?

— Śpiewała bardzo brzydką piosenkę — wyszeptała wśród szlochań Zazura.

— Jaką piosenkę?

— Boję się nawet powtarzać — westchnęła lękliwie Zazura i na wszelki wypadek obejrzała się wokoło.

— O biada! Biada nam, biada! — Zaczęła wobec tego jęczeć na nowo, ale jeszcze żałośniej dobra Udafa. — Co teraz poczniemy?

Dzielny i szlachetny Subu, ojciec Faary, nie mniej niż Udafa zmartwił się porwaniem lekkomyślnej córki przez okrutnego krokodyla. Ale ponieważ Subu był bardzo dzielny, więc wziął do ręki wielką dzidę i pobiegł nad brzeg rzeki. Za nim podążyły Udafa i Zazura.

Kiedy znaleźli się już nad leniwie płynącą wodą, zaczęli wzywać starego krokodyla:

— O Mamba! O! Oddaj nam Faarę. Była wprawdzie bardzo niedobra i nierozsądna, ale smutek nasz jest zbyt wielki. O Mamba! O! Oddaj nam Faarę!

Wezwany w ten sposób Ikakindra po chwili wynurzył z wody swój brzydki łeb. Wykrzywiając drwiąco olbrzymią, zębatą paszczę, odezwał się:

— Może chcecie odwiedzić waszą ukochaną córkę? W takim razie zbliżcie się nieco bardziej ku mnie.

— O nie! Nie jesteśmy tak zuchwali, aby zbliżyć się do ciebie, o wielki Mamba! O! — powiedziała grzecznie i przezornie zacna Udafa. Po czym szepnęła do męża:

— Teraz ty przemów do niego.

Wobec tego dobry i dzielny Subu zawołał:

— O Mamba! O! Zwróć nam Faarę. Zła była — to prawda.
Lecz zbyt wielka jest nasza boleść. O! Oddaj nam dziewczynę!

Ale Ikakindra Kolomamba zaśmiał się tylko szyderczo.

— Jak widzę, bardzo tęsknicie do waszej córki. Czemu więc
nie chcecie odwiedzić tej waszej ukochanej Faary, Faary, co ma
długi język!

— O Mamba! O! Bądź wspaniałomyślny i wybacz jej —
szepnęli

zrozpaczeni rodzice.

A Ikakindra szydził dalej:

— Może chcecie posłuchać ślicznej piosenki, którą potrafi
śpiewać wasza córeczka? Posłuchajcie więc, to brzmi tak. — I
zanucił chrypliwie:

O Mamba, Mamba, Mamba! Ikakindra Kolomamba! Jaki to ma
brzuch pękaty, jaki to ma grzbiet łuszczaty, jakie łapy ma
palczaste, jakie ślepia wyłupiaste — wzrok na pewno mnie nie
myli: najwstrętniejszy z krokodyli!

No i co myślicie o tej piosence?

— Oooo! Mamba! — zdołali tylko jęknąć w odpowiedzi
nieszczęśni rodzice. Po chwili zaczęli jednak naradzać się
szepem.

— Może byśmy mogli mu coś ofiarować w zamian za naszą
biedną Faarę? — spytała matka.

— Ofiarujemy mu wołu — postanowił dobry Subu. Wobec tego Udafa zawołała:

— O Mamba! O! Podarujemy ci wołu.

Ale Ikakindra machnął tylko pogardliwie ogonem.

— Jednego wołu? Żartujecie chyba!

— Zważ jednak, że Faara jest chudziutka i właśnie piękny wół opłaciłby ci się znacznie lepiej — ośmieliła się tłumaczyć krokodylowi Udafa.

— Nie — odpowiedział na to tylko twardo Ikakindra.

— O Mamba! O! Ofiarujemy ci dziesięć wołów! — zawołał wobec tego zrozpaczony ojciec.

— Nie!

— O Mamba! O! — rozległ się z kolei cienki i drżący głosik Za-zury. — Damy ci dwadzieścia wołów!

— Czy długo jeszcze zamierzacie żartować ze mnie? — warknął bardzo zły krokodyl Ikakindra Kolomamba i mruknął wzgardliwie:

— Dwadzieścia wołów! Słyszane rzeczy!

— To jest wszystko, co posiadamy... — wyznał dobry Subu, ale Udafa przerwała mu, nakazując milczenie, i krzyknęła:

— O Mamba! Damy ci sto wołów!

Ikakindra Kolomamba zastanowił się przez chwilę, wreszcie zgodził się łaskawie:

— No, niech będzie. Wasza córka jest co prawda bardzo złośliwa, ale trudno, niech stracę. Zawsze tracę przez moją ogromną dobroć. Tylko aby szybko przygnajcie tu na brzeg te woły, bo jeszcze mogę się rozmyślić!

Co tchu pobiegli więc biedni rodzice do wioski, aby błagać sąsiadów o pożyczenie im brakujących osiemdziesięciu wołów.

— Oddamy wam! — zapewniali. Wieśniacy okazali wielkie współczucie wobec nieszczęścia, jakie dotknęło rodziców Faary, i bez wahania oddawali swoje woły dla niedobrego krokodyla.

Kiedy więc już całe stado było zebrane, Subu i Udafa pagnali je przy pomocy sąsiadów na brzeg rzeki. Ikakindra Kolomamba czekał już na nich, wynurzywszy łeb z wody. Oświadczył też od razu, że zanim wypuści Faarę, musi koniecznie spróbować, czy woły są dość tłuste i czy będą mu smakować.

— Być może, są stare i żylaste — skrzeczał grymaśnie. Ale wieśniacy byli nieugięci.

— O, nie, Mamba! O Mamba! Najpierw oddaj dziewczynę Dziewczyna jest jedna, a wołów jest sto. O Mamba! O!

Wreszcie, po długich targach, nabrawszy apetytu na schrupanie paru wołów, Ikakindra Kolomamba zgodził się na wypuszczenie

Faary. Zanurzył się i odpłynął szybko, a po chwili ukazał się na powierzchni wody. Tym razem na jego grzbiecie siedziała Faara.

Kiedy uszczęśliwiona znalazła się już na brzegu, Ikakindr z otwartą paszczą oczekiwał teraz na obiecaną ucztę.

— Otwórz paszczę jeszcze szerzej! O Mamba! — wołali wieśn.: cy. — Nasze woły są ogromne i tłuste!

Ikakindra posłusznie otworzył paszczę najszerzej, jak tylko trafił, i przymknąwszy ślepią szykował się do spożycia przysmak.

I być może, że byłby objadł się porządnie, gdyby nie to, że czele stada znajdował się wielki, silny byk, który wcale nie zamieru zginać w paszczy krokodyla. Jedno mocne uderzenie | gów i oto stary Ikakindra Kolomamba znalazł się pod wodą, a kie wyrzał po chwili, zobaczył, że wszystkie woły stoją na brzegu z chylonymi łbami, gotowe do uderzenia. Ba! Niektóre z nich ważnie brnęły już w wodzie, zbliżając się do niego. Stanowczo pieczniej było uciekać!

22

I Ikakindra Kolomamba, wściekły na siebie za swoje łakomstwo — bo przecież jednemu wołu byłby na pewno dał radę — uciekł daleko i na zawsze z tych stron, gdzie mieszkały Faara i Za-zura ze swymi rodzicami. I nigdy już więcej od tego czasu nie słyszano o tym bardzo niedobrym krokodylu.

*

Taką to bajkę opowiadają starzy ludzie na dalekiej i pięknej wyspie Madagaskar.

KRYSZTAŁOWE SERCE

(Baśń wietnamska)

W mieście mieszkał w Tonkinie stary bogacz Shi Tang. Wokół jego pałacu, do którego wchodziło się po stu dwudziestu par -wych schodach, rozciągał się ogromny, ogrodzony grubym i wysokim murem ogród. W ogrodzie tym rosło mnóstwo różnorodnych i wonnych kwiatów. Ale najpiękniejszym kwiatem nie były w ogrodzie starego Shi Tanga, ale także i we wszystkich ogrodach

miasteczka była córka "bogacza - piękna dziewczyna.

— Nghi Cho jest jak srebrny blask księżycy — mówili ci, kiedy ją ujrzeli.

— A czy jest dobra? — pytały wtedy dzieci. Ale na to nikt nie umiał odpowiedzieć.

Posłuszna woli ojca, Nghi Cho nigdy nie wychodziła z ogrodu. Cóż więc robiła przez całe dni? Przeglądała się

-3A —

KRYSTAŁOWE SERCE

(Baśń wietnamska)

Dawno, tak dawno, że nikt nie potrafi zliczyć minionych lat. mieszkał w Tonkinie stary bogacz Shi Tang. Wokół jego wspaniałego pałacu, do którego wchodziło się po stu dwudziestu porfirowych schodach, roztaczał się ogromny, ogrodzony grubym i wysokim murem ogród. W ogrodzie tym rosło mnóstwo niezwykłych i wonnych kwiatów. Ale najpiękniejszym kwiatem nie tylko w ogrodzie starego Shi Tanga, ale także i we wszystkich ogrodach Fbnkinu była córka bogacza — młodzianka Nghi Cho.

— Nghi Cho jest jak srebrny blask księżycy — mówili ci, którzy ją ujrzeli.

— A czy jest dobra? — pytały wtedy dzieci. Ale na to nikt n:r umiał odpowiedzieć.

Posłuszna woli ojca, Nghi Cho nigdy nie wydaląa się poza ten ogród. Cóż więc robiła przez całe dni? Przeglądała się w srebr-

— 24 —

nym zwierciadle, wpinała w swe czarne włosy barwne kwiaty, przymierzała jedwabne, pięknie haftowane suknie lub też schodziła po stu dwudziestu porfirowych stopniach, aby przechadzać się po ścieżkach ogrodu. Czasem pielęgnowała

kwiaty, czasem karmiła złote rybki, a czasem po prostu nic nie robiła.

Siadała na ulubionej kamiennej ławeczce pod drzewkiem migdałowym i patrzyła w zamyśleniu na widoczne z ogrodu, roztaczające się w dolinie pola ryżowe, na mgły, które kładły się nad daleką rzeką, i na ciemniejący w oddali zagajnik bambusowy. Lubiła też wsłuchiwać się wieczorem w odgłosy dobiegające zza muru ogrodowego. Nieraz był to krzyk ptaków, czasem echo dalekiej piosenki, a czasem groźny ryk tygrysa w gaju bambusowym.

— Jacy są ludzie, ci za ogrodzeniem? — pytała Nghi Cho starej niani, gdy widziała daleko w polu pracujących wieśniaków. — I czemu ojciec nigdy mi nie pozwala wyjść na świat, zobaczyć z bliska i poznać tych ludzi? Czy na zawsze już będę musiała pozostać w ogrodzie?

Staruszka odpowiadała wtedy niezmiennie, że ludzie za murem, w wiosce nad rzeką, są biedni i ciężko pracują i że mądry i czcigodny Shi Tang, chcąc ustrzec swoją jedynaczkę od zetknięcia się z biedotą, od smutku i cierpienia — nie pozwala jej opuszczać ogrodu.

— Ale przyjdzie czas, kiedy wyjdiesz za te mury — dodawała zawsze staruszka.

— Ale kiedy? Powiedz kiedy? — dopytywała się niecierpliwie Nghi Cho.

— Wtedy gdy przyjdzie po ciebie jakiś wspaniały rycerz, albo może nawet i księżę, i zabierze cię stąd jako swoją żonę.

Nghi Cho słuchała tego kiwając poważnie główką i powracała do swych kwiatów i rybek, a dni płynęły dalej, podobne do siebie jak perły w naszyjniku.

Ale kiedyś, wieczorem, gdy na ziemię zaczął spływać mrok, przed którym ucieka światło dzienne, w takiej właśnie porze z daleka, znad rzeki, dobiegł do ogrodu cichy śpiew. Nie można było rozróżnić słów piosenki, ale głos, który ją nucił, był piękny i pełen niewypowiedzianej słodyczy.

Nie była to długa piosenka. Przebrzmiała szybko i tylko echo niosło ją jeszcze przez chwilę w usłanej mgłą dolinie. Nghi Cho siedziała na swej ławeczce pod drzewkiem migdałowym, zasłuchana.

— 25 —

Nazajutrz i dni następnych błądziła wieczorem po ogrodzie, daremnie nasłuchując niezapomnianego głosu śpiewaka.

Wreszcie kiedyś, w pewne słoneczne popołudnie, do ogrodu znów zabłądziła znana już melodia. Tym razem można było rozróżnić słowa:

...dni tak przekwitają jak kwiaty, a ja czekam na ciebie bez końca...

Odtąd prawie codziennie dobiegał do ogrodu Shi Tanga głos nieznanego śpiewaka. Nghi Cho tak bardzo przywykła do pełnej

smutku i słodczy piosenki, że jeśli któregoś dnia nie usłyszała jej, była smutna i niespokojna.

Tak minęło słoneczne lato i przyszła pora deszczowa. Opadły kwiaty z migdałowych drzewek, a wiatr w szuwarach zawodził żałośnie. Żałośniej też, zdawało się, brzmiała teraz pieśń nieznanego śpiewaka:

...już dżdżu ulewy zgięły grusz konary, mgła otuliła wawrzynowy krzew i wiatr bambusy pochyła ku ziemi, usłysz, kochana, mój daleki śpiew...

I Nghi Cho zaczęła marzyć — że może to jakiś książę błądzi po świecie, nie mogąc znaleźć drogi do jej ogrodu. Stojąc z przymkniętymi oczyma wśród miotanych wichrem krzewów, wyobrażała sobie, że nieznaną śpiewak jest piękny i młody jak bogowie, o których opowiadała jej czasem niania.

Gdy potem przez parę dni nie dobiegał do ogrodu znany już głos — pełna była smutku i niepokoju. Na próżno stała w te dni na wzgórzu. Słyszała tylko szum wiatru, pluskanie deszczu, kwilenie jakiegoś zabłąkanego ptaka i nic więcej.

Aż nagle znów któregoś popołudnia przez mgłę przedarły się słowa piosenki:

...już dżdżu ulewy zgięły grusz konary...

Nghi Cho słysząc głos, na który czekała — pobladła z ogromnej tęsknoty, jaka ją ogarnęła. Za wszelką cenę zapragnęła zoba-

■•m

m>

— 26 —

czyć tego, który śpiewał w oddali. Szybko, z bijącym sercem przebiegła sto dwadzieścia porfirowych stopni i zdyszana stanęła na progu komnaty, gdzie siedział jej ojciec pogrążony w czytaniu. Pochyliła się w powitalnym ukłonie i wyszeptała:

— Umrę, umrę z tęsknoty, jeśli nie ujrzę nieznanego śpiewaka! Rozkaż, aby go szukano i przyprowadzono do pałacu!

Możny Shi Tang zmarszczył w zamyśleniu czoło i długo patrzył na pochyloną przed nim ukochaną córkę. Wreszcie skinął przyzwalająco dłonią.

Przez wiele dni słudzy bogacza przebiegali okolicę w poszukiwaniu pieśniarza. Ale na próżno wyteżali słuch. Nikt nie nucił melodii, którą tak polubiła córka Shi Tanga. Ale gdy już zmęczeni poszukiwaniami postanowili, narażając się na gniew swego pana, powrócić do pałacu — znów od strony rzeki dobiegł ich cichy śpiew.

Gdy stanęli na brzegu, dostrzegli nędzną dżonkę, w której młody, blady chłopiec nucił:

...i wiatr bambusy pochyla ku ziemi, usłysz, dziewczyno...

Jakże zdumiał się i przestraszył biedny rybak, gdy bogato ubrani i uzbrojeni słudzy bogacza wywlekli go z dżonki i kazali pójść za sobą.

— O, powiedzcie, czy zawiniłem czymkolwiek? — pytał biedak. — Zarzucam sieci w wodę, nie wyrządzając nikomu szkody!

Kiedy wreszcie stanął przed oczekującą go w ogrodzie, wśród jesiennych kwiatów, Nghi Cho — przesłonił dłonią olśnione oczy.

— O, piękna Nghi Cho — szepnął — widywałem cię z daleka, ale nigdy nie myślałem, że jesteś aż tak piękna!

— Czemu śpiewasz? — spytała Nghi Cho, marszcząc cienkie łuki swych brwi. — Jak śmiałeś nucić pieśń, która budzi niepokój w moim sercu! Czemu, powiedz, czemu nie jesteś pięknym królewiczem, tylko nędznym rybakiem, którego widok wywołuje we mnie wstręt — rozgniewała się Nghi Cho.

I płacząc, kazała poszczuć nędzarza złymi psami. A potem już do końca dnia była zachmurzona i nic jej nie cieszyło.

Wieczorem zaś, kładąc się do snu, mówiła do niani:

— Ten zuchwały rybak był nędzny i obdarty, prawda?

— 27 —

1111 - IIIIIIIIIa niania.

Był obdarty,

bo by

— Czy to znaczy, że nic nie miał, zupełnie nic? Nianiu, wiesz? Żal mi go teraz.

Staruszka pokręciła trzęsącą się głową.

— Widzisz, Nghi Cho, nie miał ani pięknego ubrania, ani klejnotów, ale posiadał coś więcej — coś bardzo pięknego, coś bezcennego. I to właśnie tobie chciał podarować...

— To czemu mi nie podarował?! I cóż on miał do ofiarowania — ten nędzarz?

— Swoje serce, dziewczyno, dobre, ludzkie, kochające serce, a tyien dar odrzuciłaś — powiedziała ze smutkiem niania.

— Serce... — powtórzyła w zamyśleniu Nghi Cho.

Od tego dnia nie cieszył jej już śpiew ptaków uwieczonych w złotych klatkach, zawieszonych w ogrodzie. Nie cieszyły nowe suknie z najpiękniejszego jedwabiu. Nghi Cho był smutna i zamyślona.

— Czemu był tak biednie, brzydko ubrany? — szeptała.

Tymczasem ubogi rybak wrócił do swej dżonki tak zrozpaczony okrucieństwem pięknej Nghi Cho, że jego biedne serce nie wytrzymało zadanego bólu. I kiedy następnego ranka bracia Son Chu znaleźli go w kołyszącej się na falach rzeki dżonce — biedny chłopiec już nie żył. Ale jakież było zdumienie braci, gdy nachyliwszy się nad Son Chu, aby posłuchać, czy bije

jeszcze jego serce — na miejscu serca znaleźli wspaniały, mieniaący się wszystkimi barwami kryształ.

Płacząc gorzko po stracie brata, wrócili do domu, zabierając ze sobą tęczy klejnot.

Długo i boleśnie szlochali starzy rodzice Son Chu, a kryształowe serce swego chłopca, owinięte w jedwabną chustkę, schowali głęboko w skrzyni. Ale wkrótce nadszedł przednówek, a z nim bieda i głód. Na próżno poborca szukał w nędznej chacie rodziców Son Chu bodaj jednej miarki ryżu, aby ją zabrać za podatki. Ale za to znalazł na dnie starej skrzyni zawinięte w jedwabną chustkę kryształowe serce rybaka.

Na próżno rodzice i bracia prosili okrutnego człowieka, aby im zostawił ten bezcenny skarb. Zły poborca zabrał serce Son Chi. i sprzedał je za złote pieniądze pewnemu złotnikowi w Tonkinie.

— 28 —

„Cóż zrobię z tym kryształem w kształcie serca?” — myślał złotnik. Wreszcie wyłobił w nim wgłębienie, tak że powstała piękna, mieniaąca się barwami czara.

Tę właśnie czarę kupił dla swej ukochanej córki stary bogacz Shi Tang, gdy pewnego dnia przybył do Tonkinu i odwiedził złotnika, szukając urodzinowego podarku dla Nghi Cho. Wręczył jej tę czarę napełnioną purpurowym winem. Ale zaledwie Nghi Cho dotknęła wargami kryształu, rozległ się cichy, nigdy niezapomniany śpiew:

...mgła otuliła wawrzynowy krzew i wiatr bambusy pochyla ku ziemi, usłysz, kochana...

— To głos Son Chu — biednego rybaka! — szepnęła Nghi Cho. I naraz poczuła taką tęsknotę za jego śpiewem, że miała ochotę

wybiec za bramę wspaniałego ogrodu, aby pójść za głosem wzgardzonego rybaka. Ale ledwie przestała pić purpurowe wino, śpiew umilkł.

— Być może, jeśli znów śpiewa swoją śliczną piosenkę, to jeszcze kiedyś usłyszę jego głos — pocieszała się.

Jednak mimo to, że nieraz naumyślnie długo wieczorem krążyła po alejach ogrodu lub siedziała na ulubionej ławeczce pod drzewkiem migdałowym — nie mogła się doczekać znajomego, pełnego słodyczy głosu Son Chu.

Aż znów któregoś dnia, szczególnie upalnego, gdy przytknęła wargi do otrzymanej od ojca kryształowej czary, którą niania przyniosła jej napełnioną źródlaną wodą — usłyszała znaną pieśń:

.. usłysz, kochana, mój daleki śpiew...

Zaledwie jednak odstawiła czarę, śpiew ucichł, tylko echo niosło go poprzez mgły aż do bambusowego gaju i nad daleką rzekę.

— Czemu przestał śpiewać? — pytała Nghi Cho. I jeszcze raz poprosiła ojca, aby wysłał służbę na poszukiwanie rybaka.

— Przecież wtedy, kiedy po raz pierwszy spełniłem twoje życzenie, ze wstrętem i pogardą kazałaś wyrzucić go i nie chciałaś więcej patrzeć na niego — rozgniewał się na swą jedynaczkę stary

— 29 —

bogacz. I już więcej nie pozwolił nawet wspomnieć przy sobie o ubogim rybaku.

Tymczasem Nghi Cho coraz bardziej i coraz "serdeczniej tęskniła za smutnym śpiewakiem. O, gdyby mogła go usłyszeć!

Wreszcie zdołała uprosić nianię, aby posłała po kryjomu kogoś nad rzekę.

— Powiedz, nianiu, aby znów zaśpiewał — szeptała błagalnie.

— Spróbuję, spróbuję — mruzczała stara niania kręcąc trzęsącą się głową.

— O Son Chu — szepnęła Nghi Cho.

Po jej pobladłej twarzyczce stoczyła się gorąca łza. Kiedy zaś łza ta spadła na kryształową czarę — czara rozprysła się w dłoniach Nghi Cho. Pękło kryształowe serce.

— O Son Chu! — zawołała już głośno. A potem zbiegła szybko po marmurowych schodach pałacu swego ojca. Dopadła wielkiej ciężkiej bramy i kazała zdumionym służącym, aby otworzyli wielkie ciężkie wrota.

I wyszła z ogrodu nie oglądając się na nikogo.

I tak Nghi Cho opuściła na zawsze pałac swego ojca, pałac o marmurowych schodach, odcięty od świata wysokimi, grubymi ir. rami.

bogacz. I już więcej me pozwolił nawet wspomnieć przy sobie o ubogim rybaku.

Tymczasem Nghi Cho coraz bardziej i coraz •serdeczniej tęskniła za smutnym śpiewakiem. O, gdyby mogła go usłyszeć!

Wreszcie zdołała uprosić nianię, aby posłała po kryjomu kogoś nad rzekę.

— Powiedz, nianiu, aby znów zaśpiewał — szeptała błagalnie.

— Spróbuję, spróbuję — mruczała stara niania kręcąc trzęsącą się głową.

— O Son Chu — szepnęła Nghi Cho.

Po jej pobladłej twarzyczce stoczyła się gorąca łza. Kiedy zaś łza ta spadła na kryształową czarę — czara rozprysła się w dłoniach Nghi Cho. Pękło kryształowe serce.

— O Son Chu! — zawołała już głośno. A potem zbiegła szybko po marmurowych schodach pałacu swego ojca. Dopadła wielkiej ciężkiej bramy i kazała zdumionym służącym, aby otworzyli wielkie ciężkie wrota.

I wyszła z ogrodu nie oglądając się na nikogo.

I tak Nghi Cho opuściła na zawsze pałac swego ojca, pałac o marmurowych schodach, odcięty od świata wysokimi, grubymi murami.

TTTTTTTTIII

BIEDNY DIŻIKO

(Bajka armeńska)

Nawet najstarsi ludzie w Armenii nie pamiętają dokładnie, kiedy żył Diżiko, ale w każdym razie pamiętają, że losy jego były niezwykle.

A jakie były losy Diżiko? Posłuchajcie:

Diżiko był bardzo biednym i bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Nie miał żadnego majątku — miał tylko dwa koziołki i nieznośną, skaczącą krowę. A na dodatek miał żonę — ale była to bardzo niedobra kobieta! Wciąż dokuczała biednemu Diżiko i wciąż mówiła, że to on jest winien temu, że żyją w biedzie.

Nie miała jednak racji, bo Diżiko był pracowity i uprawiał ich maleńkie pólko bardzo starannie — ale jakież zbiory można mieć z maleńkiego pólka? A niedobra żona Diżiko wciąż powtarzała:

— Wynoś mi się z domu! Czyż nie możesz powędrować do dalekich krajów, aby tam zdobyć pieniądze, za które kupilibyśmy ubranie, woły, owce i konie?

Tak często to powtarzała, że biedny Diżiko postanowił wreszcie:

— Ucieknę z domu, aby uwolnić się od tej bardzo złej kobiety.

—

— 31 —

Wziął do ręki grubą pałkę, aby mieć się czym podpierać w drodze, i wyszedł z domu. Zabrał też z sobą swoją bardzo nieznośną, skaczącą krowę.

Wędrował tak przed siebie i podobała mu się ta droga. Gdy był głodny — żywił się mlekiem nieznośnej, skaczącej krowy, a kiedy był zmęczony, jechał na jej grzbiecie. Ponieważ jednak często słyszał o zbójcach napadających na samotnych podróżnych, więc bał się przy tym ogromnie i drżał ze strachu jak stojąca woda. Ale właściwie to już z dwojga złego wolał wpaść w ręce zbójników niż pozostać z własną, bardzo niedobrą żoną.

Przewędrował tak spory kawałek drogi i wreszcie, znużony, postanowił odpocząć trochę. Położył się więc w cieniu wielkiego drzewa i zasnął słodko, a jego nieznośna, skacząca krowa pasła się tymczasem na łące.

I byłby to naprawdę bardzo przyjemny wypoczynek, gdyby nie muchy, które siadając na twarzy i rękach biednego Diżiko

kąsały go boleśnie. Ponieważ przy tym Diżiko miał sen dość mocny, więc nie wiedział wcale, że to muchy go tak kują, tylko zdawało mu się, że to jego własna, niedobra żona tak go krzywdzi. Wobec tego przyśniło mu się, że jest bardzo, ale to bardzo odważny i że wymyśla swej własnej żonie. Ba, nie tylko zwymyślał ją we śnie, ale nawet zamierzył się na nią i uderzył ją śmiało i mocno.

Kiedy się obudził, przekonał się zaraz, że nie uderzył jednak swe; bardzo niedobrej żony, tylko po prostu tak mocno klepnął się w czoło, że aż go zabolalo. Ale przy tym klepnięciu zabił od jednego zamachu od razu siedem much, które siedziały mu na czole i kują boleśnie.

Zobaczywszy na swej dłoni siedem nieżywych, zabitych przez siebie much, biedny Diżiko od razu poczuł się lepiej. Wstąpiła weń odwaga. Śmiało teraz ruszył w dalszą drogę i pod wieczór znalazł się w pobliżu jakiejś wsi. Stanowczo czuł się bardzo dzielny.

A kiedy spotkał na drodze jakiegoś starego, dobrotliwie wyglądającego derwisza *, poprosił go grzecznie, aby na kawałku pergaminu napisał tak:

„Ja, Diżiko, od jednego zamachu mej ręki zabiłem siedmiu”.

Derwisz, usłyszawszy to, natychmiast spełnił życzenie biednego

* objaśnienia wyrazów oznaczonych gwiazdkami znajdziesz na końcu książki.

...

- . -

' 1

Г: _

рц

CZ *:%1

Diżiko, pełen szacunku i bo jażni dla tak niezwykłego męstwa, a Diżiko zawiesił zapisany pergamin na rogach swej krowy.

Wędrując dalej wesoło i odważnie, dotarł wreszcie do rozległego pola, a na k.rańcu tego pola, hen, w oddali, widoczny był olbrzymi zamek. I Diżiko miał nawet zamiar dotrzeć do tego zamku, ale tak był zmęczony, że znów postanowił odpocząć trochę. A że w pobliżu rosły niskie zarośla, które rzucały nieco cienia, więc położył się pod nimi i zasnął spokojnie. A nieznośna, skacząca krowa pasła się obok na łące.

Gdy tak smacznie spał, z zamku wyszło siedmiu braci, którzy tam mieszkali razem z jedną bardzo piękną siostrą. Niezmiernie

byli oburzeni, gdy spostrzegli, że jakiś obcy przybysz wysypia się tak zuchwałe na ich łące.

— Podejdźmy bliżej i dajmy mu nauczkę! — zaproponował najstarszy brat.

— Ale zwróćcie uwagę, o bracia, że w dodatku obok niego pasie się krowa, która zjada naszą szmaragdową trawę — dodał najmłodszy.

Ruszyli więc bracia ku biednemu Diżiko. Niezmiernie jednak zdumieli się, gdy zauważyli, że na rogach bardzo nieznośnej, skaczącej krowy wisi jakaś karta z napisem.

— Należałoby odczytać ten napis. Nie wiadomo, co tam jest — zaniepokoił się bracia.

Rada w radę postanowili, że najstarszy z nich, jako najbardziej odważny z odważnych, zbliży się do krowy i odczyta napis.

— „Ja, Diżiko, od jednego zamachu mej ręki zabiłem siedmiu!” — przesyabizował z trudnością najstarszy brat i aż podskoczył z przerażenia.

— Jedną ręką położył siedmiu! — powtórzyli bracia. — Oczywiście, że musi to być niezmiernie silny i odważny człowiek.

Odsunęli się więc nieco dalej i już rozmawiali teraz szeptem, aby nie obudzić niezwykłego przybysza.

— Musi być nie lada śmiałkiem, jeśli może tak spokojnie i beztrosko spać na naszym polu bez obawy, że zrobimy mu krzywdę!

— I w dodatku patrzcie, jak wielka musi być jego siła, jeśli nie zabrał z sobą ani broni, ani towarzyszy, tylko tę jedną krowę.

Ale właśnie w tej chwili krowa zaryczała, znudzona już zbyt długim pasieniem się na szmaragdowej łące. Na głos krowy Diżiko

■ Di- rzeki Fly

33 ----

obudził się. Przerażony widokiem siedmiu roślących młodzieńców, biedny Diżiko zerwał się na równe nogi i pochwycił swój kij. Bracia widząc to byli najzupełniej pewni, że Diżiko, zgodnie z napisem zawieszonym na rogach krowy, zamierza położyć ich wszystkich jednym uderzeniem swego kija. Padli wobec tego na kolana i zaczęli go błagać o darowanie życia.

— Nie zabijaj nas! Jesteśmy jeszcze młodzi i w dodatku słyniemy jako bohaterowie. Więc nie znany nam, ale bardzo dzielny przybyszu, zostań naszym starszym bratem! Zgódź się! Błagamy cię o to! Będziemy niezmiernie i niewysłowienie szczęśliwi, jeśli zezwolisz, abyśmy byli ci we wszystkim posłuszni, a ponadto oddamy ci do rozporządzenia cały nasz majątek razem z owym zamkiem, który widać w oddali. Twojej wspaniałej, aczkolwiek nieznośnej i skaczącej krowie

zapewnimy miejsce w najpiękniejszej na świecie oborze i będzie się pasła wyłącznie na najpiękniejszych łąkach o szmaragdowej trawie!

Słyszając to Diżiko uspokoił się nieco, odsapnął i szepnął wreszcie słabym głosem:

— Niech będzie, jak chcecie!

— Chwała niech ci będzie, o nasz wspaniały i niezmiernie dzielny bracie, którego imienia jeszcze nie znamy — ucieszyło się siedmiu braci.

— Imię moje Diżiko — powiedział skromnie.

Oczywiście, że dalej bał się porządnie, ale opanowując drżenie łydek pozwolił się zaprowadzić na zamek.

Był to w istocie zamek niezmiernie wspaniały. Siedząc na honorowym miejscu i patrząc na schylających się przed nim w pokornym pokłonie siedmiu braci, biedny Diżiko ciągle bał się. Myślał tylko o tym, jak by tu się wykręcić z tej historii, aby bracia nie domyślili się wreszcie całej prawdy i nie rzucili się na niego. Ci zaś widząc, że Diżiko nie odzywa się wcale do nich i nawet nie patrzy w ich stronę — szeptali między sobą:

— Do jakiego stopnia jest on wspaniały i wyniosły, jeśli nawet nie patrzy na nas...

Ale ponieważ już nogi bolały ich od ciągłego stania, a plecy od zginania się w pokłonie, więc lekko zakasłali, pragnąc zwrócić na siebie uwagę swego nowego, niezmiernie odważnego brata.

— Hm, hm!

— 34

юе-

|riny

• cię i ze-iamy dem, :śnej ecie ach

: :ie

::el-I sie-

-eme

:io-■ :or-

Diżiko spojrział wreszcie na nich, zaniepokojony coraz bardziej, ale widząc, że przeginają się w pokornym ukłonie, raczył uśmiechnąć się lekko, bardzo leciutko, bo ciągle jeszcze bał się ich, i poprosił grzecznie, aby usiedli.

To wszystko zachwyciło, ucieszyło i nieco ośmieliło siedmiu bardzo dzielnych braci, wobec tego usiedli skwapliwie i zapytali:

— O nasz wspaniały nowy bracie Diżiko! Gdzie twój koń, gdzie twój oręż i gdzie służy? Pozwól, abyśmy pojechali po nich i przywiedli do ciebie!

Serce biednego Diżiko zupełnie prawie przestało bić ze strachu, ale zdobył się na odwagę i oświadczył:

— Tylko tchórze posługują się orężem i koniem, ja używam ich tylko w czasie wielkich bojów. A służba? Na cóż mi służba! Moja służba — to cały świat! Czyż nie wiecie, że uzbrojony jedynie w ten kij, w towarzystwie mojej bardzo nieznośnej i skaczącej krowy dotarłem z bardzo daleka aż do tej miejscowości? Jam jest Diżiko — jednym zamachem kładę siedmiu!

Bracia pochylili się w niskim i pokornym ukłonie i jeszcze bardziej starali się dogodzić biednemu Diżiko. Wreszcie postanowili wydać za niego swoją jedyną, bardzo piękną siostrę.

— Nie jestem jej godzien — bronił się Diżiko, myśląc przy tym z lękiem o swojej niedobrej żonie, od której uciekł — w żaden sposób nie mogę jej poślubić. Ponadto jestem przecież, tak jak wy, jej bratem — więc już i choćby dlatego to małżeństwo jest niemożliwe.

— Prawda — powiedzieli bracia. — Ale wobec tego wybierz dla niej sam męża, gdyż teraz jesteś głową naszej rodziny.

— Hm — mruknął w zamyśleniu Diżiko — wydamy ją oczywiście za jakiegoś dzielnego młodzieńca. Już wiem! Kto potrafi jeździć na mojej bardzo nieznośnej i skaczącej krowie, ten niewątpliwie jest bardzo mężny, urządzimy wobec tego zawody. Zwycięzca ;: stanie naszym szwagrem!

Spodobał się ten pomysł siedmiu braciom bardzo pięknej siostry, która miała na imię Dżilah. Do zawodów stanęło bardzo wielu młodzieńców — każdy bowiem chciał poślubić urodziwą siostrę niezwykle dzielnych braci. Ale nieznośna i skacząca krowa wcale nie była łatwa do ujeżdżenia. Skakała jak szalona i każdego zrzucała ze swego grzbietu.

35

Aż wreszcie znalazł się jeden taki mądrała, który potrafił ujeździć tę nieznośną krowę. Wsiadł na nią trzymając przed pyskiem krowy zawieszony na wędce pęczek siana. Krowa, chcąc dosięgnąć paszy, biegła ciągle przed siebie, nie zważając już na to, że niesie na grzbiecie jeźdźca.

Ten więc sprytny młodzieniec został szwagrem siedmiu braci i poślubił Dżilah.

I zdawało się już, że życie dla biednego Diżiko potoczy się wreszcie spokojnie, w szczęściu i dostatku, gdy naraz okazało

się, że wcale się na to nie zanosi. A dlaczego? Ach, nie ma na świecie chyba nic gorszego niż zazdrość.

Bardzo piękna Dżilah, zanim poślubiła dzielnego jeźdźca, który potrafił ujeździć bardzo nieznośną i skaczącą krowę, miała poprzednio już czterech innych wielbicieli, których za nic na świecie nie chciała. Obrażeni wielbiciele, a każdy z nich był potężnym paszą, wyruszyli na czele swoich uzbrojonych oddziałów na zamek siedmiu braci. Ale bracia wcale się nie ulękli napaści wroga.

— Mamy przecież naszego najstarszego brata, bardzo bohaterskiego Diżiko, i on nas na pewno obroni — powiedzieli wesoło.

A biedny Diżiko ledwie trzymał się na nogach ze strachu. Chciałby zapaść się pod ziemię albo po prostu uciec od siedmiu braci. Ale o tym nie można było nawet pomyśleć, gdyż bracia ciągle byli przy nim, ciesząc się jego towarzystwem.

Gdy zaś przybiegł wartownik z wieścią, że wrogie oddziały już nadciągają, bracia zapytali biednego Diżiko:

— Jak rozkażesz, nasz bardzo dzielny bracie? Czy najpierw my mamy ruszyć do boju, czy też sam raczysz wystąpić przeciw wrogom?

Biedny Diżiko z przerażenia szczekał głośno zębami, lecz siedmiu braciom wydawało się, że jest tak bardzo rozgniewany

na nieprzyjaciół, że aż zgrzyta ze złości, i na pewno chce zniweczyć wszystkich wrogów jednym zamachem swej ręki.

— Raczysz więc sam ruszyć do boju? — zapytali jeszcze raz bracia.

— Raczę — odparł słabym głosem Diżiko, bo pomyślał, że już chyba lepiej będzie zginąć od razu niż tak ciągle żyć w strachu i w dodatku narazić się na hańbę. Było mu więc wszystko jedno.

Biedny Diżiko! Dosiadł najpiękniejszego, karego rumaka, wybra':

— 36 —

najpiękniejszą, wysadzaną turkusami szablę. Ale takie to było i dosiadanie rumaka! Biedny Diżiko wcale przecież nie umiał jeździć na koniu. I dlatego postanowił, że chyba jednak do boju ruszy na krowie.

Zsiadł więc z karosza, wgramolił się na ocieżałą i dobrze teraz wypasiona krowinę.

— Wyglądasz niezwykle i bardzo groźnie — orzekli bracia z zadowoleniem. I popędzili krzykiem krowę, aby szybciej pomknęła na szeregi wroga, ustawione pod zamkiem. Krowa ruszyła galopem i biedny Diżiko byłby na pewno spadł, gdyby w porę nie chwycił jej za rogi. Ponieważ jednak w szeregach nieprzyjacielskich rozeszła się już wieść o jego niezwykłym

męstwie, pojawienie się tak groźnego przeciwnika wywołało poważne zamieszanie.

A dusza biednego Diżiko była w tej chwili ze strachu tak maleńka jak ziarenko prosa. W dodatku krowa, biegnąc niezgrabnie i ciężko, zawadziła bokiem o sęk starego, spróchniałego drzewa. Lekki pniak zaczepił się o przypiętą do boku Diżika szablę, co wyglądało bardzo dziwnie i wywołało popłoch wśród żołnierzy nieprzyjacielskich. Rzucili się więc gwałtownie do ucieczki i przegrali bitwę.

— Nie sposób z nim walczyć — orzekli czterej paszowie — przecież on, jadąc na bardzo dziwnym i strasznym rumaku, wyrywał w dodatku po drodze drzewa z korzeniami. Nie nam się z nim

aż mierzyć.

I wysłali posłów z zapytaniem, czy Diżiko zgodzi się na podpisanie ay pokoju, jeśli w zamian każdy z nich ofiaruje mu tysiąc owiec,

dziesięć żrebaków, pięćset łokci pięknej tkaniny, misę turkusów

: beczkę srebra.

— Niech będzie — odpowiedział biedny Diżiko szczękając ciągle zębami ze strachu.

lcn A gdy otrzymał już przyrzeczone dary i podpisał
pokój, zabrał

:o wszystko i swoją wierną, nieznośną i skaczącą krowę,
pożegnał

raz się z siedmioma braćmi, którzy nie śmieli go już teraz
zatrzymać,

: wrócił do domu, do swojej żony.

•uz — Nie jest ona najlepsza — mówił potem do
sąsiadów — ale

, nu bywają gorsze rzeczy na świecie.

Poza tym działo mu się dalej bardzo dobrze.

brał

HISTORIA JEDNEGO KWIATU

(Baśń z Haiti)

Na dalekiej wyspie Haiti mieszkają dobrzy i piękni ludzie o
ciemnej skórze — na dalekiej wyspie Haiti rosną niezwykle
bujnie najdziwniejsze krzewy i drzewa i kwitną
najpiękniejsze na świecie kwiaty. A wśród tych najpiękniejszych
kwiatów najbardziej niezwykle są dziwno-barwne i dziwno-
kształtne orchidee. Opowiem wam historię jednego kwiatu.

Było to dawno, tak dawno, jak tylko w baśni być może — w
owych czasach, kiedy zwierzęta i kwiaty, i ludzie rozumieli

nawzajem swój język. W tych więc dawnych czasach, w małej wiosce, w samym sercu wyspy, mieszkała razem z matką niezwykle urodziwa dziewczyna. Wołano na nią Taala.

Ale Taala była nie tylko urodziwa — była również i bardzo dobra, i pracowita. To ona, chcąc wyręczyć matkę, biegła codziennie do źródła po wodę. Nie narzekała nigdy, że duży gliniany dzbai: który niosła na głowie, jest dla niej za ciężki, nie narzekała też że droga do źródła jest długa i męcząca.

Ta droga wiodła najpierw przez rozległe pole. Na polu rosły bujme zielska, wysokie trawy i krzewy bawełniane, rosły też rozłożyste ^rzaki o kolących boleśnie liściach. A dalej była dżungla, zarośnięta gąszczem dziwnych i dziwnie splatających się z sobą drzew, iian i kwiatów.

Pewnego dnia śliczna Taala, wesola jak koliber, biegła wąską drogą przez pole bawełnianych krzewów. Jej nowa spódniczka z trawy poruszała się przy każdym kroku, na głowie niosła Taala wielki gliniany dzban, a we włosy miała wpięty biały kwiat. Szczupłe, ciemne ręce podniosła do góry, aby przytrzymać puste naczynie. Biegąc Taala nuciła wesołą piosenkę. Piosenka była tak pogodna, że nawet złośliwe osty i drapieżne krzewy odchylały się łagodnie w bok i nie raniły stóp dziewczyny. Krzewy bawełny pochylały się w jej stronę, ofiarowując swe nadpęknięte owoce, z których wyglądały kłaczki białego puchu, a trawy słały się pod nogi Taali.

— Dziękuję wam, o trawy zielone! Dziękuję wam, kolące krzewy! Dziękuję wam, o dobre krzewy bawełny! — wołała Taala w odpowiedzi i biegła dalej.

Kiedy już miała wejść na wąską dróżkę, która wiodła poprzez dżunglę, z sąsiedniej wioski wyszła gromada ludzi prowadzących : siołki obładowane koszami pełnymi bananów, świeżo zerwanych ananasów, młodych liści palmowych i owoców manga. Osiołki drep-

em- :liiy powoli i zajęły całą dróżkę i żadne nawoływania nie mogły

fcaj- zmusić ich, aby szły prędzej.

ecie — Pójdę wobec tego inną drogą — postanowiła Taala i skręciła

nie- w bok. Po chwili weszła w ciemny gąszcz dżungli. Nigdy tędy

iem ~;e szła, ale ciągle była pewna, że nie zabłądzi. Do źródła należało

i;, mając słońce po prawej stronie. Co prawda w dżungli panował

— r.ok i słońce tu nie docierało, ale przecież za chwilę powinny się

na- kończyć zarośla, a za nimi jest polana, gdzie znajduje się źródło.

sce, Więc jeszcze parę kroków i jeszcze...
vkle Jakież było zdziwienie Taali, kiedy po jakimś
czasie znalazła się
-i polanie, ale zupełnie niepodobnej do tej, którą znała, do-
Nie było tu żadnego źródelka, a pośrodku polany wznosiło się
nnie ::omne, dziwaczne drzewo rzucając dookoła
chłodny cień. Koro-
iban, -a drzewa była niezmiernie gęsta, a w jego ponurym
cieniu nie ro-
też, sr. żadne rośliny, tylko szarzała pusta ziemia. Taala
zatrzymała się
zdumiona. Nie śpiewała już swojej wesołej piosenki, tylko
rozglą-
3uj- dała się przestraszona panującym tu milczeniem.
Wokół dziwnego

39

drzewa me słyhać było śpiewu ptaków, a na jego grubych i
dziwacznie skreconych konarach nie przysiadaly kolorowe,
gadatliwe papugi ani nie skakały wesołe i psotne małpki. Pień
drzewa-olbrzy-ma pokryty był szarą, brzydką korą, po której
tylko przebiegały szybkie, zwinne jaszczurki. — Po coś tu
przyszła? — pytały, patrząc na Taalę swymi złotymi oczkami.

„Przyszłam po wodę” — chciała odpowiedzieć Taala, kiedy naraz usłyszała, że ktoś szeptem wymawia jej imię. Kiedy spojrzała w tamtą stronę, ze zdumieniem spostrzegła, że przywołuje ją piękny kwiat rosnący na pniu wielkiego drzewa.

W mroku otaczającym drzewo-olbrzyna kwiat jaśniał przedziwnie. Jego rozchylone dopiero co listki miały kształt skrzydeł motyli, a barwa?... trudno było określić i nazwać barwę kwiatka. Miał płatki błękitne jak niebo, ale środek miał różaną barwę zorzy porannej. A chwilami zdawało się Taali, że płatki kwiatu różowieją, a środek przybiera barwę szafiru ciemnego jak noc. Stała więc jak zaczarowana jego urodą, zapatrzona i nie pamiętająca o całym świecie.

— O Taalo — szeptał kwiat — zabierz mnie stąd. Zabierz mnie, bo zwiędnę z ogromnej tęsknoty za tobą!

Naraz nad jej głową rozległ się głośny trzask, a na jej nagie, ciemne ramiona spadł deszcz suchych łupinek. To zazdrosne o kwiat drzewo rozsypało na nią swoje suche i boleśnie raniące skórę na-sionka. Jednocześnie wyciągnęło ku niej swe pokrzywione, czarne konary, niczym ogromne szpony.

— Ooch! — jęknęła żałośnie Taala. Przestraszyła się bardzo. Wypuściła z rąk gliniane naczynie i kuląc ramiona, poczęła biec szybko do domu, a biegnąc oglądała się jeszcze z lękiem, bo ciągle zdawało się jej, że złe drzewo wyciąga do niej swe węzłowate konary, aby ją pochwycić. W dodatku krzewy

szeptały po drodze: — Uciekaj! — Ptaki ćwierkały
niespokojnie: — Uciekaj!

Kiedy przybiegła do chaty, była tak zmęczona, że nie mogła
wymówić nawet jednego słowa. Matka ułożyła ją na posłaniu ze
świeżo zerwanych liści palmowych.

— Odpocznij, córko — powiedziała. — Może później
pójdiesz po wodę.

Ale tego dnia Taala już nie poszła więcej po wodę. Taala
zachorowała. Ciało jej było gorące. Nie poznawała wcale swojej
dobrej.

— 40 —

dzi-iliwe brzy-ały pa-

-zeptem ieniem wiel-

J7iW-

oty-

Miał

. po-

ieją,

więc łym

mnie,

gie, wiat

na-arne

dzo.

biec

agle

ko-

wy-

ziesz

cho-brej,

Kochającej matki ani nikogo z wioski i tylko ciągle mówiła o niezwykle pięknym kwiecie.

— Chciałabym go mieć — szeptała — ale drzewo, złe drzewo : zazdrości chciało mnie zabić i nie pozwoliło mi zerwać kwiatu. O. tak bardzo pragnę mieć ten kwiatek, najpiękniejszy na świecie.

Mijały dni, a Taala ciągle była chora i nieprzytomna.

— Kwiatek... daj mi śliczny kwiatek — szeptała żałośnie do - atki.

— Kwiatek? — pytała matka.

Aż wreszcie piątego dnia, kiedy Taala była coraz słabsza i kiedy
:iwało się, że nic już nie zdoła jej uratować, matka postanowiła
: do być niezwykły kwiat.

— Przynieś go — szeptała w gorączce Taala — rośnie na pniu
irzewa-olbrzyna. Przynieś mi ten kwiat. On umrze beze mnie, _
a umrę bez niego...

— Przyniosę ci — obiecała matka i wyruszyła w drogę.

A ponieważ nie wiedziała, gdzie znaleźć kwiat, więc pytała
wszy-"•:ch po drodze — pytała bawełnianych krzewów, pytała
kolcza-:h zarośli i wysokich palm.

— Idź w tę stronę, gdzie ciemnieje dżungla — mówiły jej. — *
a- dżungli pytaj dalej o drogę.

Pytała więc znów małych jaszczurek i pytała drzew figowych,
iizie rośnie drzewo-olbrzym, w którego cieniu zakwita
najpiękniejszy kwiat Haiti... Wreszcie po długiej wędrówce
stała na . r:nej, pozbawionej słońca polanie, na którą rzucało
cień drzewo-: brzym. W pierwszej chwili nie mogła nic
dostrzec, tak gęsty był -_rok wokół drzewa. Dopiero po chwili
spozregła błękitny kwiat ; rurpurowym sercem, rosnący na
pniu olbrzyna.

— Kwiatku — szepnęła — śliczny kwiatku! Przyszłam...
Kwiat pochylił się w pokłonie.

— Bądź pozdrowiona — szepnął. Delikatne płatki drżały, gdy
:;ekiwał, aby zerwała go ciemna dłoń starej kobiety.

A tymczasem zazdrosne olbrzymie drzewo zaszumiło gniewnie. Deszcz ostrych nasion spadł na zgarbione plecy matki. Wielkie, sę-t^:e konary przygięły się ku ziemi, wyciągając swoje palczaste :e. aby ją pochwycić. Szare jaszczurki o złotych oczach zaczęły krzycząc ostrzegająco: Uciekaj! Uciekaj! Bo zginiesz!

41

Strasznie się zrobiło starej kobiecie.

— Uciekaj, uciekaj! — wołało wszystko wokoło. Bała się bardzo. Drzewo oplatało ją swymi gałęziami, ale ona wyęszczając wszystkie siły, odgarnęła je i zerwała błękitny kwiat.

I w tejże chwili drzewo-olbrzym straciło swoją złą moc. Grube, węzłowate konary odgięły się łagodnie. Stara kobieta mogła spokojnie wyjść z ponurego cienia i wracać do domu. Biegła więc teraz szybko z powrotem, trzymając w ręce kwiat błękitnej orchidei.

Kiedy wreszcie, zmęczona niezmiernie, przypadła do posłania córki, usłyszała znów jej gorączkowy, nieprzytomny szept:

— Kwiatek, daj mi kwiatek!

— Przyniosłam go, przyniosłam! — uspokajała ją matka i delikatnie położyła orchideę na piersiach dziewczyny. I w tejże chwili: stała się rzecz najdziwniejsza na świecie. Oto kwiat

rozchylił swe płatki, jakby miał się jeszcze bardziej rozwinąć — a jednocześnie błękitna ich barwa zaczęła zmieniać się w krwistą purpurę. Wtedy płatki zaczęły kurczyć się i skręcać, jak gdyby trawił je ogień, a wreszcie kwiat stał się małą garstką lekkiego jak oddech popiołu..

I wtedy Taala otworzyła oczy i spojrzała przytomnie na matkę. Jej ręce i twarz były chłodne.

— Jestem zdrowa, matko — powiedziała radośnie. — A zdaje mi się, że spałam bardzo długo. A kiedy spałam, miałam sen — sen niezwykły: śniło mi się, że pokochał mnie ponad życie kwiat: błękitnej orchidei, który rósł na pniu drzewa-olbrzyna. A chwilami znów nie wiem, czy to mi się śniło, czy też tak było naprawdę...

— Tak było naprawdę — szepnęła stara matka. I zebrawszy ostrożnie lekki popiół, zdmuchnęła go z dłoni na cztery strony świata.

I od tego czasu na dalekiej wyspie Haiti w mrocznej dżungli rośnie najpiękniejsze i najdziwniejsze kwiaty orchidei.

matka i deli-

- ie chwili

■chylił swe

; - wcześniej

_-e. Wtedy

: gień, aż

?opiołu...

i matkę.

A zdaje

i sen —

z kwiat

wiłami

:?rawszy . strony

igli rosną

DZIELNY TIITII

(Baśń z wysp Samoa)

Przed wieloma tysiącami lat na jednej z wysp Samoa żył wielki z Talanga. Słynny był ze swej odwagi i mądrości, a także ze r«e; dobroci dla ludu samońskiego. Ale jeszcze dzielniejszy był r jedyny syn, piękny i szlachetny Tiitii.

Tiitii był również bardzo silny, nikt nie mógł mu dorównać — .eczr.ą ręką wyrywał palmy z ziemi; gdy rzucał kamieniem — rzuci: nim tak daleko, że trafiał aż na koniec świata; gdy ścisnął w dło-garść ziemi — wyciskał z niej krople wody. _^xi silny był młody Tiitii. Ale nigdy nie używał swojej siły, uczynić komukolwiek krzywdę, o nie! Tiitii dla wszystkich był dobry i

wszyscy bardzo go kochali, a on tylko o tym myco by uczynić, aby życie ludzi na wyspach Samoa było lepsze ueiße.

się więc zdarzyło, że idąc przez las Tiitii poczuł dziwną, nie-ż. - von. Szybko i zwinnie zaczął biec w stronę, skąd rozsnuwał

43

się białą smugą ów zapach. Jakież było zdziwienie dzielnego Tiitii. gdy znalazłszy się w głębokim wąwozie skalnym zobaczył, że dziwna woń ciągnęła się smugą od ułożonego stosu drzewa jaśniejącego czerwonym światłem. Nigdy w życiu Tiitii nie widział nic podobnego. A co było również niezmiernie dziwne — nad owym stosem stała pochylona młoda i bardzo piękna dziewczyna. Trzymała w ręku sporą gałąź z nadzianym na nią kawałkiem mięsa jakiegoś zwierzęcia. Gdy zobaczyła Tiitii, krzyknęła przestraszona głosem tak pięknym jak śpiew ptaka, a potem rzuciwszy na ziemię gałąź, zgarnęła w obie dłonie sporą garść piasku i zasypała nią świecący jasno stos. Stos przygasł i ściemniał, a dziewczyna, roześmawszy się zuchwale, poderwała się do biegu i zniknęła w wąwozie. Na ziemi, przy szerniałym stosie, leżała tylko gałąź z nadzianym na nią kawałkiem mięsa, pociemniałym dziwacznie. Tiiti: przyjrzał mu się ciekawie i wreszcie ugryzł kawałek mięsa. Bardzo mu smakowało. O wiele bardziej niż wszelkie mięsa, jakie dotychczas jadał.

Wszystko to wydało się Tiitii bardzo dziwne. Pobiegl śladem dziewczyny, ale przekonał się tylko, że za wąwozem znajdowały

sie wielkie, porosłe trzcina moczary, a za nimi czerniały wysoki: skały. Zabrawszy więc tylko ze sobą ową gałąź z kawałkiem mięsa wrócił szybko do ojca i opowiedział o swojej przygodzie.

— O mój synu Tiitii — powiedział dobry wódz Talanga. — Nie wątpliwie spotkałeś jedną z córek samego Mafnie, władcy podziem: Mafnie jest ogromny, bardzo silny i nikt go jeszcze dotychczas nie pokonał. Posiada on ponadto w swoim państwie podziemnyr ogień.

— Co to jest ogień? — zapytał Tiitii.

— To właśnie, co tak jasno świeciło. Ogień, mój synu, jest niezmiernie cenny — ogrzewa zziębniętych i można na nim piA mięso.

— A czemu nasz lud na wyspach Samoa nie posiada ognia?

— Bo wielki i bardzo silny Mafnie, władca podziemi, nie ch; ludziom udzielić swego skarbu. Jest o niego bardzo zazdrosny.

— Jeśli, jak mówisz, ogień jest czymś dobrym i pożyteczny dla ludzi, to muszę go zdobyć — postanowił dzielny Tiitii.

— O, nie dasz rady, synu — odradzał wódz Talanga. — Mafr jest niezmiernie silny i żaden człowiek nie może go pokonać.

- :

-

.

. (est nie-

;:m piec

. ia? nie chce

i.

-.lecznyrr. Mafnie

A jednak Tiitii nie uląkł się tych przestróg i postanowił pójść do samego Mafnie, aby otrzymać od niego ogień dla ludzi.

Wyruszył wczesnym rankiem i z łatwością odnalazł wąwóz, ■ którym spotkał przy płonącym stosie córkę Mafnie. Ale dziś nie : ło tam zuchwale śmiejącej się dziewczyny. Tiitii poszedł więc ialej, aż do samych moczarów. Wielkie to były moczary, rozległe, porośnięte gęstą trzcina. Nad nimi unosiła się mgła, a przez mgłę -idać było daleko, daleko czarne skały.

Stanął Tiitii nad brzegiem moczarów, a trzcina pochyliła się przed nim w pokłonie i zaszumiała:

— O Tiitii, patrz, ściele się pod twoje stopy, abys mógł przejść : _zez moczary, które wciągają ludzi w swe głębie. Tobie nic się ___;e stanie, Tiitii, przejdź spokojnie.

I Tiitii przeszedł przez moczary, i dotarł do czarnych skał. Sta-- ał przed nimi zamyślony, zastanawiając się, jak by tu przez nie "zejść i dostać się do podziemnego państwa Mafnie — a skała roz-^Tapiała się przed nim, mówiąc:

— O Tiitii, przejdź spokojnie. Oto droga do podziemnego państwa. Nigdy dotychczas żaden człowiek tędy nie przeszedł, ale ty jesteś tak dobry i dzielny, że nawet skała rozchyła przed tobą ramiona. Przejdź, Tiitii.

I Tiitii przeszedł przez rozwartą skałę, i znalazł się w podziemnym państwie Mafnie. Poczul tu od razu woń dymu i aż zmrużył oczy wobec blasku bijącego od płonącego wokół ognia. Już chwycił kawałek z płonących głowni, aby wynieść w ten sposób ogień na powierzchnię ziemi — gdy naraz rozległ się groźny grzmot i zjawił się Mafnie, władca podziemi. Był wielki i straszny. Ale Tiitii nie bał się wielkiego Mafnie. Stał, trzymając płonącą głownię, a gdy Mafnie wyciągnął rękę, aby go pochwycić — Tiitii ujął jego dłoń w swe silne jak z żelaza palce i ścisnął tak mocno, że Mafnie nie mógł znieść bólu. Zwarli się w walce, aż ziemia zadrżała.

— Tiitii okazał się silniejszy.

— Puść moją rękę, a oddam ci jedną z moich stu córek za żonę, którą spotkałeś w skalnym wąwozie! — ryknął wreszcie Mafnie.

Piękna jest twoja córka, o wielki Mafnie, ale to za mało — wiedział Tiitii. — Puszczę twoją rękę, jeśli, oprócz córki, dasz mi też i ogień, bym mógł go zanieść ludziom z naszego plemienia.

— Nie mogę ci dać ognia! — zawołał gniewnie Mafnie. A gło jego rozległ się potężnym grzmotem po podziemiach.

Jednak Tiitii nie zląkł się tego głosu, tylko dalej silnie trzyma' rękę władcy.

— Puść mnie! Podaruję ci dym!

— O nie, nie chcę dymu — chcę otrzymać ogień.

— Podaruję ci wobec tego ogień, ale razem z dymem.

— Nie, pragnę otrzymać tylko ogień, jasno płonący, trzaskający wesoło ogień — upierał się Tiitii.

— Niech tak będzie — zgodził się wreszcie Mafnie. — Dam ci córkę i ogień. Tylko puść moją rękę!

W tejże chwili z głębi pieczary wybiegła owa piękna dziewczyna którą Tiitii spotkał wówczas w wąwozie. Stała przy nim i ujęł; go za rękę, w drugą rękę wziął teraz Tiitii płonąca głownię.

— Żegnaj, wielki Mafnie! — powiedział i razem z dziewczyną; opuścił podziemie. Ale dym, któremu rozgniewany Mafnie kaza iść razem z nim, tak wmotął się we włosy dziewczyny, że nie mogli się od niego uwolnić. I dlatego nie ma teraz na ziemi ognia

dymu.

Ale od tego czasu ludzie na wyspach Samoa grzeją się przy ogniskach i jedzą pieczone mięso, wspominając dobrego i nieulekłego Tiitii, który zdobył dla nich ogień. Kiedy zaś ziemia na wyspa drży od podziemnych wstrząsów, wiedzą, że to Mafnie gniewa : jeszcze ciągle na bohaterskiego Tiitii, który zabrał z jego państwa płonącą jasno głownię.

A głos trzymał

sskający

- Dam ci

глицыпа,

- i ujęła

rwczyną

- e kazał nie mogli

znia bezj

rrzy ogni-

- ulękiego . wyspach miewa się) I państw

PAPUGA

(Bajka arabska)

W jednej z ciasnych, ubogich uliczek niewielkiego miasteczka,

ж ciemnej lepiance mieszkał Hassan, biedny sprzedawca fig i

dak-

_. Doprawdy, wiodło mu się bardzo źle. Można było powiedzieć
ło, że z dnia na dzień wiodło mu się coraz gorzej. Zarabiał bar-
niewiele, prawie nic, a kiedy wracał do domu, gdzie czekała
-iego żona i dzieci, przyniesione grosze nie wystarczały nawet
kupno posiłku dla całej rodziny. Wobec tego musieli zjadać figi
akryle przeznaczone na sprzedaż. A nazajutrz biedny Hassan
miał już czym handlować.

Ńońcu doszło do tego, że biedaczysko poszedł pewnego dnia na
tylko z wielkim, glinianym dzbanem pełnym wody. Była to co
rda woda zimna, świeża, krystaliczna, przyniesiona rano ze stu-
rrez Dilah, żonę Hassana, ale stanowczo nie był to towar, na
ym można było wiele zarobić. Hassan jednak pocieszał się:
Przecież w gorące dni iudzie na targu są zmęczeni i sprag-
III. Myślę, moja droga Dilah, że wrócę dziś z jakim takim
zarob-

47

I przytrzymując na ramieniu dzban z wodą, Hassan podążył w
stronę rynku. A na rynku, od samego początku, wszystko tego
dnia zapowiadało jak najlepszy handel.

— Woda! Woda źródłana, woda kryształowa do picia! — zachęcał przechodniów Hassan. — Woda z mojego dzbana orzeźwi cię i doda młodzieńczych sił!

Przechodnie zatrzymywali się i wypijali czarę wody.

— Niech Allah da ci zdrowie — mówił uprzejmie Hassan do każdego klienta, chowając w zanadrzu zarobione groszaki.

Kiedy dzbanek był jeszcze do połowy napełniony, ale wszystko zapowiadało, że reszta będzie równie szybko sprzedana, zbliżył się do Hassana jakiś starzec z papugą na ramieniu i zażądał czarę wody, mówiąc, że jest niezwykle zmęczony daleką drogą. Rzeczywiście wyglądał na niezmiernie znużonego, a odzież jego była pokryta kurzem; kiedy zaś Hassan podawał mu napełnioną czarę podróżny zachwiał się i potracił naczynie z wodą.

— Biada! — wrzasnął Hassan, widząc rozlaną wodę i skorupę na ziemi. — Biada! Był to zupełnie nowy i bardzo piękny, można powie dzieć, niezwykle piękny dzban, w którym nosiłem wodę na sprzedaż

— Nie rozpaczaj! — uspokajał go słabym głosem starzec. — Pl staram się wynagrodzić ci sownie tę stratę. Błagam cię tylko na wszystko, zaprowadź mnie gdziekolwiek, abym mógł spoczą choć trochę. Nie pożałujesz tego.

— Mogę cię zaprowadzić tylko do mojej lepianki — mruknął Hassan. I wzięwszy nieznajomego pod rękę, zaprowadził go do

d mu. Wyskubana papuga, siedząca na ramieniu nieznanego, u docznie zaniepokojona tym wszystkim, w pewnej chwili podsk[^] czyła niezgrabnie i dziobnęła Hassana w głowę.

— Wstrętne ptaszysko! — Hassan pogroził papudze, ale star stanął w jej obronie:

— Nie krzywdź jej! To niezwykły ptak. Kiedy wreszcie znaleźli się w lepiance, starzec położył się na s:

rych szmatach stanowiących posłanie rodziny Hassana i jęczał c raz słabszym głosem:

— Oooh! Umieram, Widać Allach chce, abym opuścił ten dół...

— Może wezwać jakiegoś lekarza? — zaofiarował się Has ale nieznanomy zaprotestował.

— 48 —

— Nie, nie, zacny Hassanie. Nikt nie zdoła przeciwstawić się woli Allacha. Dogasa już płomyk mego życia. Ale zanim stąd odejdę, aby przechadzać się w wiekuiście pięknych ogrodach Allacha, ~_agnę ci się odwdzińczyć za twoją uczynność i dobroć. Pozostawię ci wobec tego moją papugę!

Papuga, jakby na potwierdzenie słów swego pana, zaskrzeczała przeraźliwie, zaś Hassan, bynajmniej nie zachwycony darem star-ra — pomyślał:

..Cóż pocznę z tym wstrętnym ptaszyskiem? Chyba ugotuję :
niego rosół. Ale mięso będzie na pewno twarde i suche".

Tymczasem nieznamy, odgadując widocznie myśli Hassana,
mówił z trudem dalej:

— Nie rób jej krzywdy. Dzięki temu ptakowi, mój zacny
Hassanie, dojdiesz do dobrobytu. Niech ci to będzie nagrodą za
twój be zbity przeze mnie dzban i rozlaną wodę. Jeśli postąpisz
według — ojej rady — nie zaznasz już biedy. Słuchaj tylko
uważnie tego, . : ci powiem. Masz oto parę sztuk złota...

— Dzięki ci, panie — zdołał wymamrotać biedny Hassan na
wi-iok złotych monet.

— Widzę błysk w twych oczach! — szeptał dalej starzec. —
Hassanie, nie wolno ci wydawać lekkomyślnie tych pieniędzy!
Na-

: miast jeśli postąpisz z nimi według mojej rady, zdobędziesz
mają-

rx. który wystarczy ci do końca oby najdłuższych dni twoich i
za-

:r\vní również dostatek twoim dzieciom. Jednakże muszę ci
jeszcze,

π odejdę z tej ziemi, powiedzieć, jak masz zużytkować
pieniądze.

'onieważ rada moja musi pozostać okryta tajemnicą, a nie ufam

tym względem żadnej niewieście, przeto rozkaż twjej małżonce, ?rej Dilah, a także i dzieciom twoim, aby zostawili nas samych, mógł swobodnie mówić do ciebie.

— Pewnie — odezwała się w tej chwili skrzeczącym głosem pa-T_ga — pewnie!

— Mądry ptak — zdziwił się Hassan — rzeczywiście, muszę :- i.znać, że moja małżonka, dobra Dilah, nie nadaje się do utrzymania tajemnicy.

— A widzisz, że moja papuga jest mądra! Sam to widzisz — 7 ;ył się nieznajomy. — Posłuchaj, co ci teraz powiem...

I z trudem unosząc głowę zaczął szeptać:

— Weźmiesz trzy sztuki złota z tych, które ci pozostawiam,

• ■■Γ-:

--- 49 ---

i wczesnym rankiem, gdy nie ma jeszcze przechodniów, zakopiesz na najbardziej ruchliwych uliczkach miasta...

Szept umierającego był coraz słabszy, ale Hassan, nachylając się nad nim, zdołał jednak widać pojąć wszystko, co mówił, gdyż tylko przytakująco kiwał głową, siedząca zaś u wezgowia starca papuga skrzeczała od czasu do czasu to jedyne słowo, które potrafiła powiedzieć:

— Pewnie! W dwa dni później, kiedy zmarły starzec został pochowany, na

co Hassan wydał jedną ze sztuk złota, sprzedawca fig zbudził się o świcie. Podniósł się cicho z posłania, aby nie budzić nikogo z rodziny, wziął papugę i wyszedł na ulicę. Szarzało za ledwie i nie widać było żadnego przechodnia. Rozejrzawszy się ostrożnie wokoło. Hassan przyklęknął na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic i wykopawszy w ziemi płytki dołek, zakopał w nim jedną złotą monetę. Po czym, rozglądając się znów przezornie, czy czasem nie będzie miał niepożądanych świadków, zakopał jeszcze dwie złote monety w dwóch najruchliwszych punktach miasta. Dokonawszy tego, wrócił do domu i położył się spokojnie spać.

Wstał dopiero wówczas, kiedy na ulicach panował ożywiony ruch i pełno było przechodniów i kupców. Z papugą na ramieniu, uzbrojony w małą łopatkę poszedł najpierw tam, gdzie zakopał pierwszą monetę. Przystanąwszy, zapytał ptaka głośno, tak aby wszyscy przechodnie mogli go dosłyszeć:

— Jak myślisz, czy tu warto kopać? Ten i ów z przechodzących spojrzeli na Hassana i uśmiechnęli się

z politowaniem, szedł dalej, inni znów pukali się znacząco w czoło,

aby pokazać, że biedny Hassan stanowczo ma coś w głowie:

nie w porządku. Lecz byli i tacy, którzy z ciekawości słuchali.

: r

biednie ubranego człowieka z wyskubaną papugą na ramieniu

—

przystawali i patrzyli, co będzie dalej.

A tymczasem Hassan głośno powtórzył swoje pytanie skierowane do papugi:

* - :

— No więc, jak myślisz, warto tu kopać?

— Pewnie! — zaskrzeczała wreszcie papuga.

— Wobec tego posłucham cię, mądra papugo — te słowa Hassan wyrzekł głośno i uroczyście i zaraz zabrał się do rozkopywania.. ziemi w tym miejscu, gdzie o świcie zakopał monetę. Gdy wreszcie

50

rSZ

ifła

na I się

I : rosne wi-

soło,

. i wy-r:netę. {będzie monety ::. wró-

zywiony imieniu, zakopał :ak aby

rjrmąwszy

.; ? W CZO-

j *■ głowie

: słowami

.-ieniu —

kierowane

siowa Has ixopywania ;-. wreszcie

wydobył po chwili prawdziwy złoty pieniądz, podziw otaczających go mieszkańców miasta nie miał granic.

— Niezwykłe! To jest naprawdę niezwykle — powtarzali. — Cóż to za ptak nadzwyczajny! Co za mądrość! A jak rozsądnie przemawia, gdy ją pytać!

Otoczony już sporą gromadką widzów, Hassan powędrował w drugie miejsce, gdzie poprzednio ukrył złoty pieniądz. Tam powtórzył znów swoje pytanie:

— Czy mam tu kopać, kochana papużko?

— Pewnie! — wrzasnęła papuga, nieco zdenerwowana coraz liczniejszym otaczającym ich tłumem ludzi.

— Papugo mądra, powiedz, czy znajdę co w tym miejscu?

— Pewnie! — skrzeczało zniecierpliwione ptaszysko.

I tu oczywiście wydobył Hassan spod grudek ziemi złotą, błyszczącą monetę.

Gdy zapytawszy po raz trzeci, znalazł pieniądze w jeszcze innym punkcie miasta, spostrzegł, że otacza go ogromny tłum ludzi, z których każdy chciał zobaczyć na własne oczy tak niezwykłego ptaka.

Wieść o mądrej papudze szybko obiegła całe miasto. Zaledwie Hassan zdołał powrócić do swej ubogiej lepianki, już czekali na niego chętni kupna ptaka, który potrafił wskazywać, gdzie zakopane są pieniądze.

— Sprzedaj ją, Hassanie! — mówili.

— Czemu mam pozbywać się papugi, jeśli dzięki niej mogę szybko zdobyć majątek — wzdragał się Hassan.

— Ależ dostaniesz za nią tyle pieniędzy, że i tak od razu staniesz się bogaty — tłumaczyli.

— Wobec tego — powiedział Hassan, udając głęboki namysł — ?ec tego sprzedam ją temu, kto mi najwięcej za nią zapłaci.

To oświadczenie wywołało niesłychany hałas — amatorzy nier*ykłej papugi rzucili się teraz do Hassana wywrzaskując coraz :sze stawki.

Wreszcie szczęśliwym właścicielem niezwykłego ptaka został ~:ody i bardzo bogaty nicpoń, słynny ze swoich awantur i

hulanek, ~:eniem Abdullah. Chwyciwszy mocno ptaka, który skrzeknął zaśnie w tym uścisku, pobiegł szybko do swego wspaniałego domu.

— Hej! Służba! — wrzasnął, stanąwszy na progu. — Zaraz po-
iL-ać mi się o piękną i obszerną klatkę dla mojej papugi!

L

— 51

-J^^J_JL41 jr

^r-^^7£^t=>^=^

"«« Щи^хХТ0Рг0 ***П fef^ W

' о э^угуа ^еишолЗо ouoisara.tajd /Срэг*

Kiedy przyniesiono ogromną klatkę o pozłaczanych drutach, Abdullah rozkazał następnie przynieść naczynie z wodą i ziarno.

— Masz, jedz, kochana papużko. Abyś mi tylko znalazła dużej złota — przemawiał do nastroszonego ptaszyska. — Nie bój się. Jeśli pomożesz mi zdobyć bogactwo, nie zapomnę o tobie — każe wtedy twoją klatkę ozdobić drogimi kamieniami.

— Pewnie! — zaskrzeczała papuga.

— Patrzcie, jaki to mądry ptak! — cieszył się i dziwił Abdullah. Nazajutrz, ledwie zaczęło świtać, wyjął ptaka z klatki i

wziąwszy łopatę pobiegł na miasto. Zatrzymawszy się na jednej z uli. zapytał:

— Czy mam tu kopać? Czy znajdę tu coś?

— Pewnie! — odpowiedziała papuga.

Abdullah zabrał się więc ochoczo do kopania. Ale mimo że kopali tak długo, aż mu ręce mdlały — nie znalazł nic.

— Może omyliłaś się, kochana papużko? — zapytał więc uprzemie, aby nie rozgniewać niezwykłego ptaka.

— Pewnie! — zaskrzeczało ptaszysko, trzepocząc skrzydłami.

— Czy wobec tego mam zacząć kopać gdzie indziej?

— Pewnie! — brzmiała odpowiedź.

Ale kopanie w innym miejscu też nie dało pożądaných wyników
I

— Zaryzykuję jeszcze raz — postanowił cierpliwie Abdullah.1 — A teraz, papugo kochana, jedyna, najmądrzejsza papużko, niJ żartuj sobie ze mnie, tylko odpowiedz — czy na przykład w tym miejscu warto kopać?

— Pewnie! — powiedziała zgodnie papuga.

Abdullah, pokrzepiony tą odpowiedzią, zabrał się z nowym zapałem do pracy. Kopał w głąb i kopał wszerz i wzdłuż, ale w rozkopanej ziemi nie było żadnego skarbu. Ba! Nie było nawet

najmniejszego grosika. Omdlewając ze zmęczenia Abdullah przysiad wreszcie, aby odpocząć, i podejrzliwie mruknął:

— Czyżby twój poprzedni pan oszukał mnie?

— Pewnie! — zaskrzeczała wesoło papuga. Bowiem była porządnie najedzona i nic jej nie brakowało do szczęścia.

— Zdaje mi się, że tym razem powiedziałaś prawdę, moja kochana — szepnął melancholijnie Abdullah. — Ale na wszelki wypadek pójdę do Hassana i zażądam wyjaśnień. Może źle zrozumiałe jego pouczenia, jak należy do ciebie przemawiać.

;h drutach, Ab-śa i ziarno.

^^7ła dużo

- - bój się!

r.e — każę

Jhdullah.

i wzię-ei z ulic

:

kopał .przej-

iim.

,:ków. idullah.

■ o, nie tym

Papuga pominęła te słowa milczeniem. Milczała również wtedy, gdy Abdullah na próżno przez dłuższą chwilę dobijał się do chaty Hassana. Wreszcie od zwabionych hałasem sąsiadów dowiedział się, że Hassan wraz z całą rodziną opuścił miasto i przeniósł się gdzieś hen, daleko, na południe.

— Teraz jest zupełnie jasne, że mnie oszukał! — krzyknął rozgniewany Abdullah.

— Pewnie! — potwierdziła skrzekliwie papuga. — Pewnie! •

— Ale czy naprawdę to on mnie oszukał? — zastanowił się na 'az Abdullah. — Przecież to nie on mnie namawiał do kupna ptaka, ryłko ja sam chciałem, kupując papugę, w łatwy sposób dojść do -ajátku.

— Pewnie! — powtórzyła papuga.

— Wobec tego, moja kochana papugo, okazuje się, że jestem ostatnim głupcem!

— Pewnie! — skwapliwie, aczkolwiek grzecznie, zgodził się ptak.

— Tak, tak — smutnie pokiwał głową Abdullah — to jest nauczka dla mnie. Drogo za nią zapłaciłem. Ale może i nawet było л-arto. Bo w ten sposób nareszcie nauczyłem się rozumu.

— Pewnie! — odpowiedziała wesoło papuga. I podskakując dzio-mnęła przyjaźnie Abdullaha w ucho.

I jak para przyjaciół wrócili do domu.

DOBRY NURRUNDERE

(Baśń australijska)

W pradawnych czasach żył w dalekiej Australii dzielny wojownik imieniem Nurrundere. Niczego nie bał się Nurrundere — an ludzi, ani dzikich zwierząt, ani ognia, ani wody. Bez lęku przebiegał przez płonące stepy, bez trwogi przepływał najbardziej; wzburzone rzeki. Ścigał się z kangurami i rzucał bumerangiem tak zręcznie, jak nie potrafił nikt od początku świata, a gdy tupną, nogą, ziemia rozstępowała się i ukazywała ukryte w swej głębi po-1 kłady złota. Taki był dzielny i niezrównany Nurrundere.

Ale ongiś, w owych pradawnych czasach, przepływała przez ziemię australijską rzeka, największa z australijskich rzek i najdumniejsza. Nikt już dziś nie pamięta, jak ta rzeka nazywała się, a sta rzy ludzie mówią o niej po prostu: Rzeka. Ta więc dumna Rze nie mogła pogodzić się z potęgą Nurrundere i gdy tylko słyszą jego imię, wody jej ciemniały, burzyły się i rozlewały gniewnie okolicy, a głos jej potężny i huczący niósł się echem po czarny skałach nadbrzeżnych.

— 54 —

ojow-

ani

prze-

: ardziej

:em tak

tupnął

fębi po-

:ez zie-ajdum-a sta-Rzeka słyszała raie po iycii

— Strzeż się Rzeki — ostrzegały Nurrundere ptaki przylatujące do niego z daleka — strzeż się!

Nurrundere w odpowiedzi śmiał się również potężnym i huczącym jak głos Rzeki głosem i nie bał się wcale. I biegł dalej na łowy ■■ ścigał się z wiatrem, albo siadał przy ognisku i słuchał piosenek, które mu śpiewała jego ukochana żona Waangoo.

Aż zdarzyło się pewnego razu, że gdy Nurrundere polował w da-ekim, ciemnym lesie, dobra i piękna Waangoo spostrzegła niezwykle pięknego motyla unoszącego się nad jakimś kwiatem. Zachwy-Dona, podeszła bliżej, chcąc mu się przyjrzeć. Motyl mienił się • szystkimi barwami tęczy, a skrzydła miał przy tym przezroczyste ak krople wody. Dziwny był i piękny.

I Waangoo całym sercem zapragnęła schwytać motyla, aby podać go swemu małemu synkowi. A motyl, jakby bawiąc się : nią. odlatywał z jednego kwiatka i siadał na sąsiednim. Tak w pościgu za motylem dobra i piękna Waangoo biegła i biegła

coraz ialej, aż wreszcie znalazła się nad brzegiem gniewnej i zazdrosnej i.ieki.

Wtedy piękny motyl siadł na grzbiecie jednej ze spienionych fal — sam stał się wodną pianą — a przerażoną Waangoo otoczyły ciemne, gniewne i wartkie ramiona rzeki. Na próżno wołała pomocy, na próżno wzywała Nurrundere — wody wokół niej było coraz więcej i więcej, bezlitosnej i huczącej. Wkrótce zalała ją aż po ramiona, potem już tylko widać było piękne jak kwiaty dłonie trze-: czące ponad falami, a potem porwał Waangoo gniewny nurt i zaniósł hen, daleko.

Nie miała granic rozpacz Nurrundere, gdy po powrocie z łowów zasrał przy ognisku małego, płaczącego synka i dowiedział się od maków o porwaniu ukochanej Waangoo.

Ujawszy dziecko w ramiona pobiegł szybciej niż wichur w stronę :.ieki.

em.

— Czemu zabrałaś mi moją Waangoo?! — wołał stojąc nad brze-Ale woda nie chciała nawet z nim rozmawiać, tylko pieniała i;e i płynęła dalej.

— Czemu zabrałaś moją Waangoo?! — wołał ciągle Nurrundere. Głos jego niosło echo daleko i powtarzało: — Waangoo! Waangoo!

Wreszcie woda Rzeki wzburzyła się, pociemniała i fale wzniosły r.ę wysoko, tworząc ciemną, huczącą ścianę.

55 —

— Chciałam ukarać twoją pychę! — krzyknęła Rzeka. — Pokazałam ci, że jestem potężniejsza od ciebie, i zabrałam twoją żonę.

— Oddaj mi żonę, oddaj moją Waangoo! — zawołał w odpowiedzi Nurrundere.

— Przecież jesteś tak potężny, że sam możesz ją wyrwać z moich ramion — szydziła Rzeka — spróbuj!

— Spróbuję! — zawołał zrozpaczony Nurrundere i rzucił się w fale Rzeki. Rozgarniając wodę mocarnymi ramionami płynął w tę stronę, w którą Rzeka zanosła Waangoo.

Długo płynął Nurrundere, długo zmagął się z falami, aż wreszcie dojrzał w oddali postać ukochanej żony. Stała wśród ciemnych wód z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy już był dość blisko, aby wyraźnie rozróżnić jej rysy — dostrzegł z rozpaczą, że okrutna Rzeka zamieniła jego drogą Waangoo w kamienny posąg. A iir bardziej zbliżał się do tego posagu — rósł on i stawał się powoli coraz potężniejszą skałą.

Ratując się przed zalewającymi go falami — Nurrundere wdrapywał się coraz wyżej na rosnącą górę — aż wreszcie stała się ona ta? wysoka, że sięgała niemal nieba. I stanął Nurrundere na jej szczyc: okryty obłokami, które otoczyły wierzchołek

wysokiej skały.

A kiedy stał się niewidoczny — wtedy usłyszał rzewny płac: swego synka, który został sam na ziemi, nad brzegiem Rzeki.

Cóż miał uczynić Nurrundere? Nie chciał już wracać na ziemię — wolał pozostać na wierzchołku wysokiej skalistej góry w którą Rzeka zamieniła jego dobrą Waangoo — ale nie chciał również rozstawać się ze swym ukochanym synkiem.

I wówczas z przedzierających się przez obłoki i chmury złocistych promieni słońca ukłęcił Nurrundere sznur bardzo długi i bardzo mocny i rzucił koniec tego sznura swemu małemu synkowi który pozostał na ziemi. Chłopczyk pochwycił sznur i począł wspiąć się po nim. Wspiął się tak długo, aż w końcu znalazł się szczyt góry. I pozostał już tam na zawsze ze swoim ojcem.

Ale od tego czasu, ilekroć jakiegoś człowieka spotka nieszczęście jeśli jest mu bardzo źle na świecie, dobry Nurrundere rzuca z góry sznur z promieni słońca sznur. I człowiek może wdrapać się po owym sznurze i dotrzeć do samego Nurrundere...

Ale musi to być naprawdę bardzo dobry i uczciwy człowiek.

DZIEWCZYNA I GWIAZDY

(Baśń Buszmenów — Afryka)

W tych bardzo odległych czasach, kiedy jeszcze na niebie nie to gwiazd, a noce bezksiężycowe były ciemne i nie rozjaśnione żadnym blaskiem — w tych czasach pradawnych żyła w głębi afrykańskiego lądu dziewczyna. Nazywała się Mbi.

Była najpiękniejszą z dziewcząt, jakie kiedykolwiek żyły wśród głębokiej dżungli, niezmiernych stepów i pustynnych przestrzeni Afryki. Mbi była smukła jak młoda palma gnąca się na wietrze, skóra jej miała jasną, złocistą barwę, a włosy miała Mbi bujne

śniąco. Ale wcale nie to jest najważniejsze, że Mbi była piękna, najważniejsze jest to, że była również i dobra.

Serce Mbi zawsze było pełne współczucia dla wszystkich cierpiących i potrzebujących pomocy.

Umiała opatrywać rany zadane myśliwcom przez drapieżne zwierzęta — a potrafiła leczyć chore dzieci i przywracała zdrowie ukąszonym przez jadowite węże.

Dobra była dla ludzi i dla zwierząt. Zwierzęta nie lękały się do-
- Mbi i nawet płochliwe antylopy pozwalały, aby je głaskała

— 57 —

po zdumionych pyszczkach, a drapieżne zwierzęta w jej obecności stawały się łagodne i mruczały przyjaźnie.

Do Mbi przychodziły zrozpaczone, ryczące smutnie lwice, którym zabrano małe. Mbi wyciągała umiejętnie i delikatnie ostre kolce tkwiące boleśnie w wielkich łapach słoni. Jej opiece powierzały ptasie matki swoje gniazda, tylko jej słuchały małe małpki, z którymi matki nie mogły sobie dać rady. Nawet wielki nosorożec Kwamb przychodził do niej ze swymi troskami.

Taka była Mbi, która mieszkała w sercu afrykańskiego lądu.

Ale nie zawsze mogła i umiała dobra Mbi pomóc ludziom i zwierzętom. I tym się najbardziej martwiła. Cóż bowiem mogła poradzić na to, że noce nad ziemią Afryki były ciemne? Że w bezksiężycowe noce ginęli w dżungli zabłąkani ludzie, że w ciemnościach nie mogli znaleźć drogi na stepach i w pustyni, że zmęczone dziennym upałem zwierzęta nie mogły w czarne noce trafić do wodopoju, a łagodne kozice lub płochliwe żyrafy wpadały w pazury drapieżników. Bardzo się tym ciągle martwiła dobra i piękna Mbi.

Aż wreszcie pewnego razu, kiedy głęboko wzruszona słuchała skargi antylopy, która w mrokach nocy straciła swoje małe — Mbi postanowiła dopomóc ludziom i zwierzętom. Ale jak dopomóc?

Klęcząc wśród złocistych piasków pustyni błagała słońce, aby zechciało choć trochę swego wspaniałego blasku podarować ludziom i zwierzętom i w nocnej porze. Ale słońce było nieubłagane. Dumnie płonęło na niebie i nie chciało wysłuchać prośby dobrej Mbi. Milczało, gdy wołała:

O słońce!

Zechciej wędrować po niebie czarnym od nocy!

Poczekaj więc Mbi na nadejście księżycowej nocy i proszą białego księżycyca:

Biały księżycu! Przychodź do nas co noc! Proszę cię o to ja, Mbi, i proszą wszyscy ludzie i wszystkie zwierzęta! Zdawało się jej, że księżyc skinał przytakując swoją okrągłą głowę, więc pełna otuchy czekała na niego przez następne noce.

-

■

Z._

\ M B I M Kiedy w n

SI chatą, Mb;

wszyscy ludzie i nienależni o drug: •Γ?i nie czuła

— Co zamierzasz ; -■ parzy? — p

— Co zamierzasz zrobić, tylko ca r

Aż wreszcie, o te egrzane przez wytnraB| : płomyczkiem. Mb ręk. zbliżyła go do suchu rrrle i wesoło przesz- .; : już cały stos. A ze fał ponad stopami i ?skach ludzie spoglądali - . - do wodopoju nie błą — To Mbi zwyciężyła n Tymczasem Mbi sied :ona.

■rym

κOICE

wrzały z któ-

: rożec

: zwie-I pora-ezksię-sściach

izien-: ?poju,

'ipież-

: achąła

lałe —

dopo-

ce, aby .udziom ł. Dum--ej Mbi.

siła bla-

.oją okrągli stępne noc^

Jeszcze trzy razy blady księżyc ukazał się, a potem znowu zniknął : noce stały się czarne.

Posmutniała dobra Mbi, usiadła przed swoją chatą nad jeziorem i myślała. Przez trzy dni i trzy noce siedziała nieruchomo, aż wreszcie czwartego dnia wstała i zwołała ludzi i zwierzęta.

— Przynieście mi dużo, bardzo dużo suchego drzewa i suchych raw — powiedziała.

Zbierali więc ludzie suche gałęzie, słonie dźwigały całe pnie zrzew i nawet małe małpki przynosiły drobne, zeschnięte gałązki. Ji Mbi układała wszystko w wysoki stos.

Kiedy wreszcie stos był tak wysoki, jak najwyższa palma przed jej chatą, Mbi zabrała się do rozniecania ognia, tak jak to robili -szyscy ludzie z jej plemienia. Siedząc na macie, cierpliwie tarła eden o drugi — dwa kawałki drzewa. Ciężka to była praca, ale Mbi nie czuła zmęczenia, tylko śpiewała:

Noc jest ciemna, noc jest czarna, noc jest zła. Mbi zwycięży noc, Mbi rozjaśni niebo.

— Co zamierzasz zrobić, Mbi? Czemu chcesz otrzymać ogień, : ry parzy? — pytali ludzie, którzy przychodzili do jej chaty.

— Co zamierzasz zrobić? — pytały zwierzęta. Ale Mbi nic nie z powiadała, tylko dalej wytrwale pracując nuciła swoją piosenkę.

Aż wreszcie, o tej porze, kiedy mrok zaczyna ogarniać świat, zgrzane przez wytrwałe tarcie dwa kawałki drzewa zapłonęły Labym płomyczkiem. Mbi, zasłaniając dłonią od wiatru słaby ogiera, zbliżyła go do suchych traw, ułożonych wokół stosu. Ogieniek "c:nie i wesoło przeskoczył na suche gałęzie i oto po chwili pło-już cały stos. A że był to bardzo wielki stos, więc

blask jego liał ponad stepami i lasami i uderzał w niebo. W odległych --.ach ludzie spoglądali z podziwem na jasną lunę, a zwierzęta r io wodopoju nie błądziły tej nocy w ciemnościach. To Mbi zwyciężyła noc — cieszyli się ludzie i zwierzęta. — czasem Mbi siedziała przy dopalającym się stosie za-

^59

Cóż z tego, że w ciągu jednej nocy udało się jej rozjaśnić mroki? Co z tego? Ale stos przygasa i za chwilę zostaną z niego tylko zgliszcza. Czy ona, Mbi, zdoła utrzymać płomień?

Zwierzęta przybiegały do niej ufnie i mówiły:

— Dziękujemy ci, Mbi, odtąd bezpiecznie będziemy w nocy przemykać się przez leśne drogi.

Ludzie cieszyli się — jak to dobrze, że noce będą jasne.

A tymczasem stos mimo podsycania przygasł, bo Mbi miała wokół siebie za mało drzewa; a zresztą płomień pożerał je tak szybko, że nigdy, nawet przy pomocy ludzi i zwierząt, nie zdołałaby nagromadzić takiego zapasu drzewa, aby starczyło na wszystkie noce rozciągające się nad afrykańską ziemią.

Kiedy tak siedziała zamyślona przy ciemniejącym stosie, przybiegła do niej mała gazela.

— O, Mbi, taka jestem szczęśliwa. Od razu znalazłam drogę do rzeki. I teraz już zawsze noce będą jasne, prawda?

— Prawda — odpowiedziała Mbi i zakryła twarz rękami. Gazela pobiegła dalej, tupiąc wesoło drobnymi kopytkami po twardej dróżce. A Mbi spojrzała z rozpaczą na rozpościerające się ponad nią czarne niebo.

— O, zechciej rozjaśnić swoją straszną ciemność! — zawołała żałośnie. — Czy nie masz litości nad biedną gazela? O, gdyby na twojej czarnej szacie, rozpostartej nad ziemią, było chociaż tyle światła, ile jest w tej chwili w iskierkach dogasającego stosu!

I Mbi zgarnęła rękami jeszcze jarzący się popiół i rzuciła go wysoko, wysoko, aż na czarną kopułę nieba. Drobne iskierki rozsypały się po niebie rozjaśniając je swoim blaskiem. I pozostały tam już na zawsze. A ludzie nazwali je później gwiazdami.

Odtąd dzięki dobrej Mbi gwiazdy rozjaśniają mroki nocy nad ziemią afrykańską. A Mbi?

Kiedy nazajutrz po swym zuchwałym czynie przejrzała się przy padkiem w małym jeziorku o głębokiej szafirowej wodzie, ze zdumieniem przekonała się, że jej jasna skóra stała się bardzo ciemna, prawie czarna — to żarzący popiół tak ją osmalił! A piękne i lśniące włosy dziewczyny, opalone przez płomienie, stały się krótkie, bez połysku i drobno kręcone.

A że Mbi pochodziła z plemienia Buszmenów — od tego czas
wszyscy Buszmeni mają ciemną skórę i krótkie, kręcone włosy.

■czy piękną. iaał się, że bie ■~yć się w jegc

"aobabem i poi s ab nieprzeniknioi

KSIĘŻNICZKA UNTOMBINDE

mi po

(Baśń Zulusów — Afryka) ice się

Księżniczka Untombinde — była to najpiękniejsza z czarnych
:ężniczek na świecie. Wszyscy zachwycali się jej urodą. Podzi-

- :ały ją małe małpki skaczące po drzewach i kołyszące się na
lia-■ich, chwaliły jej urodę kolorowe i skrzekliwe papugi,
chwaliły i słonie, ryczały z zachwytu wielkie lwy, mruczały z
uznaniem

pantery, marzyły o jej urodzie hipopotamy i nawet krokodyle
mó-*~sy. że jest bardzo piękna. Nic więc dziwnego, że poprzez
Czarny Łąd szła szeroko sła-

- i; jej niezwyklej urody. I ta sława dotarła do ogromnego, naj-
:r-omniejszego na świecie potwora, który mieszkał niegdyś w
sa-

iyT sercu dżungli.

Słyszac te wszystkie pochwały, postanowił ujrzeć na
własne :czy piękną, czarną księżniczkę Untombinde. Kiedy więc

dowiedział się, że biega codziennie rankiem do niewielkiego jeziora, aby cmyć się w jego kryształowej wodzie, potwór zaczął się za wiel-l baobabem i porwał księżniczkę Untombinde. Porwał i zaniósł r ąb nieprzeniknionej dżungli.

— 61 —

-wołała

::.by na

■ .e świa-

■ruciała go

K-*: rozsy-

kały tam

;ad zie-

I ę przy-

ze zdu-

ciemna,

i lśniące

krótkie,

K czasu

-iosy.

Na próżno bardzo piękna, czarna księżniczka błagała potwora:

— O, ogromny potworze, zlituj się nade mną i puść mnie!
Pozwól wrócić do mego rodzinnego kraalu *. Pozwól!

— Nie pozwolę! — mruczał potwór. — Nie pozwolę! — A jego I mruczenie było tak silne, że przypominało odgłosy burzy.

— O, ogromny potworze! Czemu mnie zatrzymujesz?! — szlochała czarna księżniczka Untombinde.

— O, Untombinde! — odpowiadał na to potwór. — Jesteś tak piękna, że postanowiłem poślubić cię!

Słyszając to księżniczka wybuchnęła płaczem i pomyślała, że już chyba lepiej by było zginąć od ukąszenia jadowitego węża niż I zostać żoną ogromnego potwora.

— O, straszna jest moja dola — szlochała czarna księżniczka Untombinde i błagała potwora: — Puść mnie! Oddam ci w zamian za wolność wszystkie moje złote i bardzo piękne bransolety, jakie noszę na rękach i na nogach!

— Nie puszczę cię! — upierał się potwór.

— Dam ci moje wspaniałe złote koła, które noszę w uszach! — wołała księżniczka.

— Nie chcę złotych kół — mruczał pogardliwie potwór. — Zostaniesz u mnie.

— O, czy już nic mnie nie ocali? — płakała biedna, czarna Untombinde.

A tymczasem, kiedy księżniczka tak rozpaczała w niewoli u bardzo ogromnego potwora, jej ojciec, znakomity wódz plemienia Zulusów, dzielny i nieustraszony Maa, zebrał swych wszystkich wojowników i ruszył na ich czele, aby odebrać ogromnemu potworów śliczną, czarną księżniczkę Untombinde. Ale cóż? Gdy już odnaleźli bardzo ogromnego potwora w jego legowisku w głębi dzungh wystarczyło, aby zbliżyli się do niego, gdy potwór naraz szłyń ko otworzył swą wielką jak pieczara paszczę i połknął wszystkie wojowników z nieustraszonym wodzem Maa, ojcem księżniczki U tombinde, na czele. I gdy ich połknął, to już zniknęła ostatnia nadzieja ocalenia księżniczki przed małżeństwem z potworem.

Tak się przynajmniej zdawało. Bo naprawdę to potwór nie pknął wszystkich wojowników. Jeden z nich, młody i dzielny Uf zdołał przemknąć się zwinnie między zębami potwora i skryć

— 62 —

ora: Po-

jego

szło-

tak

już niż

iczka

zamian

jakie

*śród zarośli. Ale nie uciekł, o nie, tylko skrył się i przemyśliwał nad tym, jak by tu ocalić piękną, czarną księżniczkę.

Myślał bardzo długo. Myślał trzy dni i trzy noce. A potem wyszykował starannie swą dzidę i pełzając wśród zarośli dżungli, zbliżył się do potwora. I gdy potwór usnął, tak mocno rzucił swą dzidę I tak dobrze wycelował, że przebiła ona serce potwora.

Zwalił się olbrzym, łamiąc swym olbrzymim cielskiem drzewa wokoło, a bohaterski Ufule czekał tylko na to. Oстрыm krzemiennym nożem przeciął zaraz skórę na brzuchu potwora i wydobyl z jego wnętrza wodza Maa i wszystkich wojowników.

I tak wojownik Ufule uwolnił księżniczkę Untombinde. A gdy potem poślubił ją, panował długo i sprawiedliwie i pamięć o nim pięknej księżniczce przetrwała aż do dnia dzisiejszego.

h! —

Zo-

zarna

bar-a Zu-wojo-orowi ż od-ungli.

szyb-stkich

• Unia na-

poł-Ufule.

sie

— t9 —

■шэойзвч z !9ч № софа да Э!Ю!Ш° L, „uo^ojd KApd n^JL7S
„ш «P»!3

«M4D !№ 11fo"uT»oldда: =*^P!.aooou a

L»ffi> 40*A° » 3^№S иэИР » 0? '^f ,P,ТplL i,zp0<>0d

<mT^% dTaz ox-nih *vt

nawet

upał.

słońce, I

:zasach I

chwili

Łiły lasy

ш życio-

f; .elskiej.

i księżyc,:

I świecił

t dzielny ;nać go

i miecze. koś dnia

Γ

Szedł prze:

■ ;ał rzeki, III

• :em rzeki »

calone przr:

Gdy mina:

:nał się pc

"- : nagie. ;.

wierze hołkac-

Gdy eh *:erzchołki nonę pola c oężkich i c

przesrrzc-^

Szedł przez pola pożółkłe, na których nie chciał już rosnać ryż, mijał rzeki, w których sączyła się odrobina wody, wszystkie bowiem rzeki wysuszył niedobry księżyc, wędrował przez na wpół spalone przez księżycowy żar lasy.

Gdy minął pola, rzeki i lasy, wszedł do krainy skalistych gór. Wspinał się po ich szczytach coraz wyżej i wyżej. Skały były ciem--e i nagie, gdyż księżyc stopił wszelki śnieg, który leżał na ich wierzchołkach.

Gdy chłopiec Hin-to, tak bowiem brzmiało jego imię, minął wierzchołki górskie, zaczął wędrować poprzez ogromne, nieogarnione pola chmur. Szedł przez nie, zanurzony po pas w chmurach ciężkich i ciemnych, skakał lekko i zwinnie po białych obłokach : przebiegał po mostach z tęczy. Aż wreszcie trafił na ciemnobłękitną przestrzeń, po której wędrował księżyc.

Szedł więc chłopiec Hin-to śmiało na jego spotkanie, trzymając -ocno w dłoniach dwa srebrne, dobrze wyostrzone miecze. Szedł I rozglądał się nie wiedząc, z której strony ujrzy swego przeciwnika. Ale długo, bardzo długo szedł wśród ciemnobłękitnych przestrzeni, i nim dostrzegł w oddali jakiś świecący punkt.

Był to księżyc, który właśnie wschodził na niebie. Zbliżał się ::< chłopca Hin-to, odziany w zbroję tak piękną i tak błyszczącą, :c Trzeba było aż oczy zamykać od jej blasku. Równie błyszczące y jego szaty, a już najjaśniej świeciła jego okrągła twarz.

— Czego chcesz?! — zakrzyknął, gdy zobaczył chłopca Hin-to. Był to krzyk tak groźny, tak straszny, że ziemia i niebo zadrżały.

*i.e chłopiec Hin-to wcale się nie bał. Rzekł tylko:

— Chcę, abyś nie tak silnie palił swymi promieniami ziemię "iiwanu. Musisz przygasić swój blask.

— Nie przygaszę mego blasku i nikt mnie nie zdoła do tego zmusić! — krzyknął znów księżyc tak gromko, że tym razem od je-i: krzyku aż morze zaczęło falować i faluje do dzisiejszego dnia. »_e chłopiec Hin-to wcale się nie bał. Tylko znów powiedział:

— Jeśli nie chcesz przygasić swego blasku, ja to uczynię!

I rzucił się z mieczami w dłoniach na księżyc. Była to straszna

■alka. Ścierające się miecze chłopca Hin-to i księżyc zapalały r.-skawice na ciemnym błękicie nieba. Ogarnął ich wichur i pło-

Uew końcu chłopcu udało się mieczem, który trzymał w prawej

1 kr racŁi Fly

----- 65

ręce, dotknąć boku księżycy i zranić go. Księżyc jęknął boleśnie, pokonany przez chłopca Hin-to, i ze zranionego boku zaczęła spływać krew.

Była to krew srebrzystej barwy, tak jak srebrzysty jest sam księżyc. Kapiące krople księżycowej krwi zrosiły ciemny błękit nieba i zostały na nim świecąc. I pozostały aż do dnia dzisiejszego w postaci milionów gwiazd.

Sam zaś księżyc stawał się coraz szczuplejszy, coraz cieńszy, aż wreszcie zamienił się w cienki sierp. Blask jego stał się słaby. a promienie utraciły swą palącą moc.

I tak Hin-to pokonał księżyc.

OGRÓD TYŚIĄCA PIWONII

(Baśń chińska)

Posłuchajcie starej, bardzo starej baśni o czcigodnym Cho-Czi :
Ogrodu Tysiąca Piwonii.

Posłuchajcie...

Czcigodny Cho-Czi mieszkał niegdyś w małym miasteczku Czing, w pięknej i żyznej prowincji Czing-Tu-Fu.

Pewnego dnia — a był to niezwykle piękny, wiosenny pora-^{*ek} — czcigodny ogrodnik Cho-Czi krzątał się jak zwykle w swo-

: ogrodzie wśród rozkwitłych krzewów piwonii, których mocna

.[^]odka woń wypełniała całą dolinę. Lekki, młodziutki wietrzyk

Hykał delikatnie świeżo rozkwitłych kwiatów i głaskał pączki, i porcelanowe dzwoneczki na pagodzie dźwięczały cichutko i śli-
::e.

Bardzo szczęśliwy czuł się tego ranka czcigodny ogrodnik Choin w swoim wspaniałym ogrodzie, który nie darmo nazwano j[^]rodem Tysiąca Piwonii, bo w żadnym innym ogrodzie nie rosło

e barwnych i wonnych krzewów piwoniowych. Płatki kwiatów <:crwanych przez czcigodnego Cho-Czi delikatniejsze były od naj-

I лшээа»

- N "~~ z?v<\oz zo

шп —

— 89 —

fc ЛСТИВД !*udMS H , мголод 08 ««о

-nsoun ЧЯ»1°^P " „»,»,d _- itout*ojd И«° (w _

-o* ш,и,,o* тм^^S ^ —,*да S-ОЧЭ V

MU ^«- *— ' -nr esu o -

-d ^4T5-Э «^ TuooTnUo OP * .«p-W ЧИ «OTNoS!d° !,i« 0ł
?tó°!1 . op to«n^P *

- \dv

:adły rriia-■e... i jak

razy więc

pa pro-j grodu

z sze na

bież nie

cm ogro-

Ka aż do

tle wspa-

:~ kolum-i narożni-

-. godnia- I Czi słuchał I

,;"=-. I gru-

i zmarłego I

mniastecz-

Let tytui

I pałacu. to hafto-.kle moc-

: nie tylkc

Hu — ale

:K unOSih

-\sko stary s\uga, ktÓYy od mdu Vat pn&bywał w pałacu —

WraSpj Wą-%&, \лБТ^ xi\fe bmo шши mpamaty tytui sunącego Talentu, pozwól niegodnemu słudze zwrócić ci uwagę, że owa woń cudowna pochodzi z Ogrodu Tysiąca Piwonii, uprawianego przez starego ogrodnika Cho-Czi.

Sung-Hu zachmurzył się.

— A gdzie jest ten Ogród Tysiąca Piwonii? — mruknął niechętnie.

Stary sługa wychudłą ręką wskazał widoczny z tarasu ogród, który wyglądał jak jeden wielki bukiet. Naraz uwagę młodego panicza zwrócili ludzie idący i jadący drogą przecinającą rozległe pola.

— Dokąd idą ci ludzie? — zainteresował się syn mandaryna.

— Czy dziś jest jakieś święto, czy też może jarmark w miasteczku?

Stary sługa zaprzeczył w milczeniu.

— Więc po co idą i jadą ci ludzie w tę stronę?

— Zapytaj ich, panie — szepnął stary.

Zmrużone oczy Sung-Hu zwięzły się jeszcze bardziej.

Wychylając rękę z tarasu zakrzyknął:

— Hej, wy tam, dokąd idziecie?

— Do miasteczka, panie! — odpowiedzieli wędrowcy. A jeden z nich dodał: — Idziemy, aby zobaczyć najwspanialszą ozdobę tej okolicy i całej prowincji Czing-Tu-Fu...

— Rozumiem — ucieszył się łaskawie Sung-Hu — pragnęlibyśmy zobaczyć mój pałac. O, wart jest obejrzenia! Jest tak bogaty...

— Nie, panie — przerwał młodzieniec wyglądający na poetę
— chcemy ucieszyć nasze oczy i serca widokiem Ogrodu
Tysiąca Piwonii!

Rozgniewany syn mandaryna zwrócił się teraz do starego sługi:

— Jak to? Czy nikt nie przychodzi zwiedzać mego
wspaniałego pałacu?

Przestraszony starzec zgiął się w pokornym ukłonie i milczał.

— Ach tak! — wrzasnął młodzieniec noszący tytuł
Kwitnącego "iientu. — Ach tak! Poczekajcie!

I nie bacząc na swoje tytuły, uniesiony gniewem, młodzieniec
wybiegł z pałacu prosto na drogę wiodącą w stronę Ogrodu
Tysiąca Piwonii.

Czcigodny Cho-Czi przywiązywał właśnie do palika młode
pędy rozkwitłych krzewów.

.710

"

— Teraz nie będziecie pochylać główek — mruzczał staruszek
do swych ulubieńców.

— Czy to ty jesteś właścicielem tego ogrodu, ogrodnikiem
Cho--Czi? — zapytał naraz ktoś bardzo srogo.

Kiedy Cho-Czi odwrócił się, ujrzał bogato ubranego młodzieńca. Twarz nieznanego była chmurna, a zmrużone oczy połyskiwały gniewem.

— Tak, panie, ja jestem ogrodnikiem Cho-Czi — odpowiedział grzecznie.

— Ach, tak! — wrzasnął zamożnie wyglądający młodzieniec.

— Więc ci wszyscy głupcy, którzy tu nadciągają do miasteczka, wolą oglądać te twoje obrzydliwe badyle zamiast podziwiać mój bogaty pałac z marmurowymi schodami i złoconymi smokami na dachu? Ale gdyby nie było tego wstrętnego ogrodu, to wtedy najpiękniejszą i najgodniejszą uwagi rzeczą w miasteczku i w całej prowincji byłby mój pałac!

Czcigodny Cho-Czi chciał coś powiedzieć w obronie swoich kwiatów, ale zanim zdołał wymówić bodaj jedno słowo, syn mandaryna wpadł między krzewy piwonii i począł deptać je i łamać bez litości.

Po chwili śliczny ogród wyglądał tak, jak gdyby przeszła nad nim straszna burza gradowa: wszystkie krzewy były poniszczone, a ścieżki zasypane płatkami kwiatów. Wśród tego zniszczenia stał czcigodny Cho-Czi, zakrywając oczy spracowanymi rękami, a łzy spływały po jego zapadniętych policzkach.

— Moje kwiaty, moje ukochane kwiaty — szeptał zrozpaczony. Był tak znękany wyrządzoną krzywdą, że nie miał już siły do niczego, i tylko po chwili przysiadł na jakimś kamieniu pod

jednym z krzewów, a jego stare, pokryte spłowiałym, łatanym kaftanem plecy trzęsły się żałośnie od tłumionego szlochu.

Nagle ktoś szepnął tuż obok niego:

— Cho-Czi! Nie martw się, zacny Cho-Czi! Cho-Czi!

Głos był cichy i melodyjny. Brzmiał ni to jak dźwięk dzwoneczków, ni to jak gruchanie białych gołębi. Cho-Czi nigdy jeszcze nie słyszał podobnie pięknego i pełnego słodczy głosu.

— Cho-Czi!

Starzec, urzeczony niezwykłą melodyjnością wołania, odsłonił oczy i zaraz przymknął je znowu. Zdawało mu się bowiem, że śni. I bał się spłoszyć ten prześliczny sen, jaki mu się jawił.

A śliczny |

— Wsta-, kwiaty! Pe~v

Kwiaty! I i patrzył terei z najbardz.t postać młodą urodzie. Je. niejszych : j4

— Cho-: ratowałabym je —

Stary

: - e gł z n

grodzie

".ekko. iai

Bary, cm
pod krze
zniszczę-.
Wszyr
"rzyk, ke
porcelano
;ak bezee
e : i: ~
::
70

A śliczny głos wołał dalej serdecznie:

— Wstań, dobry Cho-Czi! Wstań! Będziemy ratować twoje biedne światy! Pomogę ci.

Kwiaty! Trzeba ratować kwiaty! Cho-Czi znów podniósł powieki : patrzył teraz zdumionymi oczami na przedziwne zjawisko. Oto z najbardziej zniszczonych krzewów piwonii zdawała się wykwiatać zostać młodej i smukłej jak łodyga kwiatu kobiety o niezwykłej urodzie. Jej śliczna twarzyczka miała delikatność i barwę najpiękniejszych blad różowych płatków piwonii.

— Cho-Czi — powtórzyła jego imię — nie martw się! Pomogę ci ratować twoje biedne kwiaty. Przynieś mi tylko nieco wody, abym je mogła skropić.

Stary ogrodnik posłusznie chwycił wielki, gliniany dzban i pobiegł z nim do strumyka, ale gdy powrócił, był znów sam w swoim ogrodzie. Tylko gałązki pięknego krzewu piwonii drżały jeszcze ekko, jak gdyby je ktoś przed chwilą poruszył. A jednocześnie — stary, czcigodny Cho-Czi aż przysiadł ze zdumienia na kamieniu pod krzewem berberysowym — w ogrodzie nie było ani śladu zniszczenia!

Wszystkie krzewy piękne i świeże, poruszane przez lekki wiatr, kołysały się na swoich łodygach w takt cichego dźwięku porcelanowych dzwoneczków na pagodzie. Na ich płatkach lśniły ak bezcenne diamenty krople świeżej rosy — a przecież Cho-Czi nie zdążył jeszcze tego ranka zrosić świeżą wodą swoich kwiatów! L.. co to? Nie, to było wprost nie do wiary. Oto krzew piwonii, który jeszcze rano miał zupełnie nie rozwinięte pąki — zakwitł teraz -ajpiękniejszymi kwiatami o niespotykanej barwie błękitu nieba! Błękitne piwonie! Nowa, niezwykła odmiana, nad którą tyle lat -adaremnie pracował czcigodny Cho-Czi.

Zatrzepotało mocno serce starego ogrodnika. Teraz już zrozumiał — przecież to sama Bogini Piwonii była w jego ogrodzie i to ona przywróciła życie jego kwiatom i kazała rozwinąć się błękitnym pąkom!

Wkrótce już całe miasteczko Czi-Siang mówiło o niezwykłym rydarzeniu w Ogrodzie Tysiąca Piwonii. Wszyscy mówili o cudo-

mie pięknej Bogini i wszyscy cieszyli się razem z czcigodnym Cho-

-Czi — bo w miasteczku Czi-Siang wszyscy też bardzo kochali < «daty, a zwłaszcza wonne piwonie.

— 71 —

Tylko we wspaniałym pałacu, do którego wchodziło się po marmurowych schodach i który miał złocone, smoki na narożnikach dachu, nikt się nie cieszył i nie śmiał. Młody panicz Sung-Hu szalał wprost z gniewu i biegał po marmurowych posadzkach swego pałacu, krzycząc ze złości. Jak to! Kwiaty w ogrodzie Cho-Czi, jak powiadają w miasteczku, podniosły się na swych łodyżkach, i nawet te połamane, te podeptane i wgniecione w piasek znów są piękne i świeże? Jak to? Znikły wszelkie ślady zniszczenia, a w dodatku zakwitł krzew błękitnych piwonii! Ha! Ten stary Cho-Czi to po prostu czarownik!

Jeszcze przez chwilę biegał po marmurowych posadzkach swego pałacu niedobry Sung-Hu. Biegał ze zmarszczonym czołem — widać obmyślał coś złego. A potem — potem wsiadł do swej wspaniałej lektyki i kazał się zanieść do najważniejszego sędziego w miasteczku Czi-Siang.

Widząc to ludzie w miasteczku szeptali:

— Nic dobrego nie wyniknie ze zmowy bogacza z sędzią. Mieli rację ludzie w miasteczku... Nie minęła jeszcze godzina

Smoka, gdy słudzy sędziego wpadli z groźnym krzykiem do Ogrodu Tysiąca Piwonii, porwali biednego Cho-Czi i powlekli go .do| więzienia.

Tego samego jeszcze dnia niedobry sędzia, przepłacony przez bogacza Sung-Hu, oskarżył czcigodnego Cho-Czi o użycie czarów „Bo jakże inaczej, jeśli nie dzięki czarom, mógł ogród ten, podeptany i zniszczony, odzyskać znów swój kwitnący wygląd? W jak sposób połamane kwiaty znowu odżyły?” — napisane było w wyroku ogłoszonym na placu miejskim przez trębaczy.

Na próżno czcigodny Cho-Czi zaklinał się, że nie używał żadnych czarów, że to sama Bogini Piwonii przywróciła życie jego krzewom — nieubłagany sędzia zbył go drwinami i skazał zacnego Che -Czi na wychłostanie prętami bambusowymi.

Wśród uderzeń w gongi i bębny słudzy sądowi obwieścili ludności miasteczka, że wyrok wykonany będzie na placu przed świątynią wkrótce przed zachodem słońca.

Odgłos bębnów docierał aż do pałacu mandaryna. Sung-Hu a cierał ręce z radości.

— Teraz kiedy ten stary Cho-Czi siedzi w więzieniu, jeszcze raz zniszczę jego ogród — postanowił — i nikt już więcej nie po-

72

ię po mar-arożnikach ng-Hu szafach swego e Cho-Czi.

łodyżkach. ek znów są da, a w do-

Cho-Czi to

kach swego

?łem — wi-

swej wspa-

10 sędziego

dział.

cze godzina m do Ogro-dekli go .do

icony przez yćie czarów, d ten, pode-dąd? W jaki było w wyrwał żadnych e jego krze-Lacnego Cho-

rieścili ludne-przed swią.; •

Sung-Hu za-

ieniu, jeszcze

z ii\ IIIE PO-

• :e. że Ogród Tysiąca Piwonii jest piękniejszy i bardziej wart
zwierzania niż bogaty pałac rodziny Sung! Od jutra podróżni
będą podziwiać tylko moje marmurowe schody i złożone smoki
na naroż-- xach dachu zamiast oglądać i wachać badyle starego
Cho-Czi!

Podtrzymując oburącz poły swej długiej, jedwabnej i bogato
raftowanej szaty zbiegł młody Sung-Hu ze swych stu marmuro-
I-/eh schodów i szybko wsiadł do lektyki. Nosiciele lektyki,
gnąc |r strachu karki, szepnęli:

— Dokąd każesz zanieść się, panie?

— Dokąd? — wrzasnął młodzieniec, noszący zaszczytny tytuł
Kwitnącego Talentu. — Dokąd? — powtórzył i, nie mówiąc nic
-ięcej, ręką o bardzo długich paznokciach wskazał drogę prowa-
izującą do Ogrodu Tysiąca Piwonii.

Ogród stał cichy i wonny tysiącami rozkwitających w nim
kwiatów. Tylko stara furтка skrzypnęła trwoźnie, szarpnięta
niecierpliwą ręką młodego pana w jedwabnej, haftowanej sukni.
Dysząc z gniewu Sung-Hu wpadł na wąską ścieżkę i już miał
zacząć na nowo deptać i łamać śliczne kwiaty, gdy naraz
pogodne dotychczas niebo pociemniało gwałtownie i zasnuły je
ciemne, nisko nad ogro-iem zwisające chmury. Zerwał się też
gwałtowny wicher, który poruszył gałęziami drzew i przygiął do
ziemi krzewy berberysu.

Przygięte przez wiatr konary pochwyciły mocno w swe drapieżne ręce młodego pana Sung-Hu, krzewy oplotły mu się wokół nóg, i ciernie ich raniły mu ręce i stopy, wichur smagał go po twarzy

chłostał gałęziami młodych drzewek.

— Ratunku! — wołał pan Sung-Hu.

Ale nikt nie przychodził z pomocą niedobremu młodzieńcowi, córy nosił wspaniały tytuł Kwitnącego Talentu.

— Ratunku! — wrzeszczał, ale tylko gałęzie drzewek, przygięte przez wiatr, smagały go silniej i chwytaly za włosy, a ludzie

miasteczka, zwabieni jego okrzykami, stali za ogrodzeniem — wskazując się wskazywali uwięzionego przez krzewy i drzewa młodego.

— Ratunku! — powtarzał nadaremnie.

Wreszcie spośród otaczającego ogród tłumu zaczęły odzywać się rosy:

— Odwołaj oskarżenie przeciwko czcigodnemu Cho-Czi!
Odwołaj!

73 —

— Odwołuję! Trzy razy odwołuję! — zaskomlił Kwitnący Talent — W tej samej chwili gdy te przeklęte drzewa i krzewy puszczą mnie ze swoich drapieżnych łap, zaraz pobiegnę

osobiście J do Wysokiego Sędziego prosić, aby zwolnił Cho-Czi.

Wobec tych przyrzeczeń Sung-Hu drzewa rozluźniły zaciśnięć wokół niego gałęzie, a krzewy rozsunęły się uwalniając nogi pan* I Sung-Hu. Nie oglądając się nawet na swoją lektykę, podrapar.. i w podartej przez gałęzie szacie, Kwitnący Talent zwinnie bież. | teraz co sił w stronę miasteczka, goniony śmiechem i drwinami: mieszkańców. Bardzo zdyszany i sromotnie rozczochrany stanął: przed Wysokim Sędzią wołając:

— O Wysoki i Sprawiedliwy Sędzio! Odwołuję moje oskarżenie Cho-Czi jest niewinny! Przysięgam!

Gdy słońce kłoniło się ku zachodowi, czcigodny Cho-Czi, uwalniony z Więzienia, wracał już do swego ogrodu odprowadzany przez ludność miasteczka.

— Chwała czcigodnemu Cho-Czi! — wołali wszyscy. Mali chłopcy biegli na czele pochodu z zapalonymi lampionami, a dzwonecz na pagodzie dźwięczały mocniej i ładniej niż zwykle.

Nazajutrz, jak zwykle, już wczesnym rankiem Cho-Czi krzątał się w swoim ogrodzie. Sąsiedzi, którzy właśnie chcieli dowiedzieć się o jego zdrowie, widzieli go pochylonego nad świeżo rozkwitły: krzewem piwonii o kwiatach blad różowych jak twarz młode dziewczyny. Krzew ten był wyższy niż inne krzewy w ogrodzie a po chwili z ogromnym zdumieniem ujrzała wszyscy, że spośród rozchylonych gałęzi krzewu wychylała się młoda i niezwykle piękna kobieta. Jej twarzyczka miała barwę i

delikatność płatków piwom a na szyi i we włosach lśniły krople rosy niczym wspaniałe klejnot

—■ To Bogini Piwonii — szepnął któryś z sąsiadów.

Cho-Czi przypadł do ziemi w niskim ukłonie.

— Wstań, Cho-Czi — odezwała się Bogini głosem dźwięczniejszym niż dźwięk najdelikatniejszych dzwoneczków. — Wstań!

Jednocześnie podniosła do góry piękną i białą jak kwiat lotos dłoń i skinęła lekko. Na to skinienie rój barwnych motyli zawinął nad głową Bogini, a na niebie ukazał się różowy obłok. Obi: zbliżał się szybko, jakby niesiony lekkim powiewem wiatru, a g znalazł się już nad ogrodem, stał się pięknym, złocistym rydwane:

74

acy Ta-

krzewy asobiście

aciśnięte ogi pana odrapany nie biegł Irwinami iy stanął

karzenie!

!zi, uwol-any przez

[ali chłop-zwoneczki

;zi krzątał lowiedzieć ■ozkwitłym rz młodej t ogrodzie, że spośród ,-kle piękna >w piwonii, te klejnoty.

źwięczniejszy — stań! wiat lotosu ryli zawiro-biok. 0\Pio\ iatru, a
gd\ n rydwanem

zaprzężonym w cztery kormorany. Jeszcze jedno skinienie
Bogini — : pojazd stał już na ziemi, gotowy w każdej chwili do
odlotu.

— Cho-Czi! — zadźwięczał pełen słodczy głos Bogini. —
Podaj mi rękę. Chodź!

— Jestem przecież tylko nędznym ogrodnikiem — szepnął
Cho--Czi, nie śmiąc podnieść schylonej głowy. Jego stare plecy,
pokryte błękitnym, łątanym kaftanem, zgięły się jeszcze bardziej
w pokornym pokłonie, słomkowy kapelusz spadł z posiwiałej
głowy i potoczył się po ścieżce.

— Podaj mi swoją spracowaną rękę, Cho-Czi — powtórzyła
Bogini Piwonii.

Cho-Czi podniósł się teraz posłusznie z kolan, a Bogini ujęła
jego zniszczoną, pokrytą żyłami dłoń. I w tejże chwili zgięta
wiekiem i trudem postać Cho-Czi wyprostowała się, stała się
kształtna i smukła jak pień młodej palmy. Znikły zmarszczki ze
starczej twa--zy, twarz Cho-Czi stawała się piękna i
młodzieńcza, a siwe włosy przybrały barwę hebanu.
Jednocześnie spłowiały i łątany kaftan srał się wspaniałą,
haftowaną w złociste smoki szatą.

Zdumieni sąsiedzi patrzyli w milczeniu na te niezwykle
przemiany, nie śmiąc nawet odetchnąć mocniej.

Tymczasem Bogini Piwonii wsiadła do złocistego pojazdu i skinęła na Cho-Czi, aby zajął miejsce obok niej, a gdy stał, onieśmieszony i nieruchomy, uśmiechnęła się do niego z niewysłowioną słodyczą. Teraz i młodą, i piękną twarz Chó-Czi rozjaśnił porywczy uśmiech szczęścia, a gdy zasiadł przy Bogini, kormorany zatrzepotały skrzydłami i wraz z pojazdem wzniosły się ponad ogród, ponad miasteczko, hen! pod obłoki. Złocisty pojazd płynął po niebie coraz wyżej, coraz dalej, tak że w końcu błyszczał tylko na błękitnie jak maleńka gwiazdka.

I nigdy już nikt w miasteczku Czi-Siang nie ujrzał ogrodnika Cho-Czi. Pozostał tylko po nim jego piękny Ogród Tysiąca Piwonii, w którym co roku rozkwitały blad różowe i rubinowe kwiaty.

ИЗ

SERCE DZWONU

(Baśń chińska)

Jeśli kiedykolwiek usłyszycie dźwięk dzwonów, przypomnijcie sobie baśń o młodziutkiej Li-sen, córce mistrza Ho-ena.

* Wielka sala w pałacu cesarza była złota. Tron cesarski, ozdobiony i drogimi kamieniami, połyskiwał jak wielki,

bezcenny klejnot. Ce- I sarz poruszył się, wyciągając dłoń o długich, złożonych paznokciach. Przed tronem klęczał człowiek.

— Ho-en — powiedział cicho władca — poseł z barbarzyńskiego kraju przechwalał się wczoraj przed moim obliczem, iż w jegc ojczyźnie, daleko stąd, hen, na zachodzie, odlewają dzwony, które brzmieniem swoim poruszają serca ludzkie. A ja — władca zmarszczył cienkie linie swoich brwi — ja pragnę posiadać dzwon o stokroć piękniejszym dźwięku niż tamte barbarzyńskie dzwony. J: pragnę posiadać dzwon o dźwięku jedynym na świecie, o dźwięki: pięknym, niezapomnianym. Rozumiesz, Ho-en?

Czoło mis rowej posa::

— WsZcJ

dostarczone nie, słyniesi czej. Gdy : odlanego r" nie dzwon* ię...
Jeś.

Mistrz Hi ze pojał i-" Wracą; Ъ^ konać polea ychać Ale gdy «c .
mną ::" -w strumieeB

1ÓW C I -

cesarski ЛиИ

Czoło mistrza odlewniczego Ho-ena dotknęło chłodnej, marmurowej posadzki. Tak nisko pochylił głowę słuchając słów cesarza.

- Wszelkie potrzebne kruszce, jakich tylko zażadasz, będą ci iostatcLCttYe, Ho-en.. Kazałem, ciebie wezwać i tobie daję to polecenie, słyniesz bowiem jako najznakomitszy mistrz sztuki odlewniczej. Gdy minie dziesięć dni i dziesięć nocy — chcę usłyszeć głos odlanego przez ciebie dzwonu. Hojnie cię wynagrodzę, jeśli brzmienie dzwonu będzie tak piękne, jak tego pragnę, ale jeśli nie uda ci się... Jeśli nie potrafisz...

Mistrz Ho-en znów trzykrotnie dotknął czołem posadzki na znak, że pojął słowa cesarskie.

Wracając do domu mistrz Ho-en z trwogą myślał, jak zdoła wykonać polecenie władcy... Dzwon, w którego uderzeniach byłoby słyszeć bicie ludzkiego serca... Jakże ciężkie zadanie...

Ale gdy wchodząc do ogrodu Ho-en dostrzegł w jego głębi ukochaną córkę Li-sen, która z wysokiego mostka karmiła rybki • strumieniu — rozchmurzył się. Przecież już tyle pięknych dzwo-kjw odlał w swoim życiu. A teraz dołoży wszystkich sił, aby ten :tsarski dzwon był najwspanialszy na świecie.

*

Zaraz nazajutrz mistrz Ho-en wraz ze swoimi czeladnikami przy-■ąpił do pracy. Starannie i długo przygotowywał stop różnych metali, dobierając je tak, aby dały ton jak

najpiękniejszy, jak najbardziej czysty. Łączył cynk z czerwoną miedzią, dodawał jasnego ^{^b^a} i ciemnego ołowiu, [^]reszcie po dziesięciu dniach dzwon był gotów. Wielki wóz, iriony w czterdzieści siwych wołów, wjechał na plac, na którym przebrane tłumy czekały na próbę dzwonu. Na wysokim, ^{:-} ^{_}amie na tę uroczystość wzniesionym tronie zasiadł cesarz. Ierzono w gongi, trębacze podnieśli do ust długie, błyszczące

- słońcu trąby, a potem zaległa cisza. Pięćdziesięciu siłaczy zdej-
- [?]wało dzwon z wozu — pięćdziesięciu siłaczy ciągnęło grube liny, i^y wwindować dzwon na wysoką wieżę. Rozkołysane serce dzwo-
- - uderzyło o ściany i rozległ się jego głos. Był tak silny, że dobiegł -: do ogródka daleko za miastem, gdzie córka Ho-ena stała wśród [•]erberysowych krzewów. Ale jednocześnie głos dzwonu był tak ["]zykry, tak chropawy, że wszyscy aż się wzdrygnęli.

— 77 —

Cesarz zmarszczył brwi. Skinął dłonią i rzekł, że w dowód swej łaski wyznacza nowy termin — niech mistrz Ho-en za dziesięć dni przywiezie na plac nowy dzwon. Może tym razem lepiej uda mu się trudny stop metalowy.

Li-sen, słysząc chropawy ton dzwonu, rozpaczliwie zakryła uszy dłońmi białymi jak kwiat lotosu. A jednocześnie serce jej

ścisnęło się boleśnie i z niepokojem pomyślała o ojcu. Co uczyni teraz cesarz... Zamyślona, idąc przez swój mały ogródek, zatrzymała się na ulubionym mostku. Wtem jej niespokojne myśli przerwał jakiś szept — za niskim murem ogrodu stał żebrak w opończy ze słomy i głosem, przypominającym szelest suchych liści, prosił o wsparcie. Był tak stary i tak nędznie wyglądał, że Li-sen, tknięta litością zapragnęła dopomóc mu w jakikolwiek sposób. Szybkim ruchem wyjęła więc z wysoko uczesanych włosów srebrny grzebień, migocący od drogich kamieni, i podała go starcowi.

— Bądź za to obdarowana przez potężnych i miłosiernych bogów wszelkimi łaskami — dziękował swym szeleszczącym głosem biedak — obyś nie zaznała nigdy smutku. Lecz cóż widzę? Na twym obliczu pięknym i jasnym jak księżyc toczą się łzy.

Li-sen schyliła nisko głowę, kryjąc przed wzrokiem żebraka pobladłą twarzyczkę.

— Wiem, co cię niepokoi, córko Ho-ena — szeptał dalej żebrak. — Wielkim, bardzo wielkim mistrzem jest twój ojciec. Je największym mistrzem w całym ogromnym cesarstwie.' Może potrafi odnaleźć stop, który uczyni dźwięk dzwonu najpiękniejszym na świecie. Może... Najłaskawszy nasz władca dał mu nowy termin...

„Skąd wiesz o tym?” — chciała zapytać Li-sen, ale stary człowiek, pokaszując i szepcząc dziękczynienia, oddalił się szybko.

I

Nadeszły nowe dni ciężkiej, niewysłowienie męczącej pracy di^
mistrza Ho-ena.

— Może należy wziąć więcej srebra — szeptał do siebie. — Srebro daje jasny i czysty dźwięk. A może za mało jest miedzi i cynki które czynią dźwięk głębszym, silniejszym?

Czynił różnorakie próby, a czas mijał szybko i coraz mniej di i mniej godzin dzieliło Ho-ena od nowej próby.

Wreszcie dzwon był gotów. Znowu zaskrzypiały koła wielkiej

78

swej

-eć dni

_ia mu

■-a uszy

ścisnęło

: teraz

wnała się wał jakiś

ze słomy

-sparcie. litością, ruchem

-_. migo-

:h bogów :sem bie-Na twym

tką po

rracy dla

— Sre- | i cynku, I

wozu, znowu czterdzieści siwych wołów ruszyło w zaprzęgu, znowu na wielkim placu, na wysokim złotym tronie zasiadł władca.

I znów rozkołysane serce uderzyło o ściany dzwonu. I znów brwi władcy ściągnęły się gniewnie. Tym razem głos dzwonu brzmiał równie przykro i chrapliwie jak poprzednio. Ludzie na placu zamarli w bezruchu, strwożeni, w oczekiwaniu gniewu cesarza.

Zastygła także w bezruchu, w ogrodzie pełnym jesiennych chryzantem, Li-sen. Strumyk szemrał pogodnie pod jej ulubionym mostkiem. Ale Li-sen nie słyszała szmeru strumyka, tylko przykry, ponury dźwięk dzwonu odlanego przez ukochanego ojca.

— Nie trwóż się — szepnął naraz ktoś w pobliżu.

Li-sen drgnęła przestraszona. Ale zaraz uspokoiła się — ach, :o ten sam stary żebrak. Stał teraz w swej opończy ze słomy ; w wielkim stożkowatym kapeluszu. Drżał z zimna.

— Jestem głodny — szepnął.

Li-sen bez namysłu wyjęła z uszu kolczyki z chalcedonu i rzuciła je starcowi. Nędzarz zgiął się aż do ziemi w pokornym ukłonie.

— Dzięki ci, Li-sen piękna jak kwiat jaśminu! Niech serce twoje :ozna pociechy.

Li-sen pochyliła głowę, kryjąc zapłakaną twarzyczkę przed wzrokiem żebraka. A ten szeptał dalej głosem podobnym do szelestu suchych liści:

— Wiem, lękasz się o swego ukochanego ojca. Nie lękaj się. I tym razem władca przebaczył mu nieudaną próbę. Zezwolił na :rzecią, ale i ostatnią.

— A jeśli ta trzecia próba nie powiedzie się?

— Och, mistrz Ho-en jest wielkim artystą. Trudna to próba. Ale ;eśli twój czcigodny ojciec zechce, niewątpliwie uda mu się osiągnąć ów stop jedyny na świecie. Uda mu się odlać dzwon, który by śpiewał i łkał, i śmiał się ludzkim głosem. A do tego jest potrzebne...

— Co jest potrzebne? — spytała głośno Li-sen. Ale odpowiedziało jej tylko słabe echo jej własnego głosu. Starzec zniknął • gęstniejącej mgle jesiennego wieczoru.

niej dni I ielkiego I

Jeszcze tego samego wieczoru Ho-en, powróciwszy do domu, za-rał się na nowo do pracy. Na nowo rozpalono wielki piec, na iowo szykowano formy do odlewu. Jeszcze raz Ho-en próbował

L

79

podczas bezsennych nocy i pełnych troski dni stworzyć nowy stop metali, które dałyby ów żądany i upragniony przez cesarza dźwięk, jedyny na świecie. Jeszcze raz mieszał wszystkie szlachetne i półszlachetne metale. Jeszcze raz odważał bryły cynku, bladego srebra i czerwonej miedzi.

Gdy już tylko trzy dni pozostały do wyznaczonego przez władcę terminu, Li-sen, wbrew zakazom ojca, odważyła się zajrzeć do jego pracowni. Ho-en spojrział na nią oczyma zaczerwienionymi od bezsenności i patrzenia na palenisko.

— Ojczy — szepnęła — ojczy...

Ale mistrz Ho-en odwrócił głowę na jej widok i tylko w milczeniu dał jej znak ręką, aby odeszła.

Oddaliła się więc posłusznie. Serce zamierało w niej z żalu — tyle beznadziejnego smutku wyczytała w zmęczonej twarzy ojca, że nie miała już wprost odwagi myśleć o tym, że przecież za trzy dni raz jeszcze rozlegnie się dźwięk dzwonu wytapianego teraz przez jej ojca. Od jego brzmienia będzie zależało życie Ho-ena. Łzy spływały po jej pobladłych policzkach. Przecież kiedy tu stała wówczas na mostku po

drugiej nieudanej próbie, stary żebrak zaczął coś mówić o tym dzwonie. O, gdyby zechciał zdradzić tę tajemnicę. Oddałaby za to wszystko, co posiada... Jakież to metal powinno się domieszać, aby dzwon rozśpiewał się pięknym, srebrzystym, nie słyszonym dotąd głosem? Jeszcze tylko trzy dni, jeszcze trzy dni... I znów Li-sen ze ściśniętym sercem myśli o tym, że oto godziny mijają i ojciec ciągle jeszcze kładzie na szale wielkiej wagi bryły metalu: od tego, jak potrafi połączyć je i stopić w czerwonym ogniu — zależy jego życie...

Jeszcze jeden dzień minął. Od czeladników Li-sen dowiedziała się, że nazajutrz dzwon zostanie odlany po raz trzeci...

Gdy zapadał zmrok, Li-sen jak zwykle przeszła przez wąskie ścieżki ogródka, minęła krzewy chryzantem fioletowych jak jesienny wieczór i przystanęła na ulubionym, rzeźbionym, kamiennym mostku.

— Już tylko dwa dni pozostało — Li-sen kryje bladą twarzyczkę w dłoniach podobnych do pąków lotosu.

— Niech serce twe dozna pociechy, o Li-sen, piękna jak blask księżycy — zaszeleścił naraz w pobliżu znajomy, starczy głos. Li--sen spojrzała na starca i wyciągnęła do niego ręce...

— 80 —

rop ęk,

ł-e-

z-

mu

ca.

edziała

wąskie esien-

rmennym

zyczkę

blask Li-

— O, oddam ci wszystko, co posiadam — powiedz tylko, błagam cię i zaklinam, powiedz...

— Nie chcę dziś nic od ciebie, Li-sen — zamruczał nędzarz widząc, że Li-sen ma zamiar zdjąć swój piękny naszyjnik z pereł — nie chcę nic. Wiem, że lękasz się o swego czcigodnego ojca, mistrza Ho-ena. Trudna to próba!

— O mądry starcze — załkafa Li-sen — przecież ty wiesz...

— Wiem — przerwał starzec — wiem. Dzwon ma być jutro odlany.

— Tak, ale boję się, że ojciec mój ciągle jeszcze nie może znaleźć odpowiednich proporcji metali. Widziałam go

zmęczonego, z oczami pełnymi rozpacz. O, powiedz... Za dwa dni dzwon jeszcze raz "ozkołysze się na wielkim placu miejskim w obecności władcy. A jutro ojciec ma odlać dzwon po raz trzeci i... ostatni. Ostatni, słyszysz?

— Tak — mruknął żebrak — to trudna próba. Zacny Ho-en jest co prawda wielkim mistrzem, ale na to, aby dzwon śpiewał i łkał, : śmiał się ludzkim głosem, trzeba sporządzić stop według prastarego przepisu wielkiego mistrza Sun-li. Gdyby twój ojciec zechciał zastosować się do mądrości prastarego Sun-li...

— Może ojciec mój zapomniał, jak brzmi ten przepis — mówiła gorączkowo Li-sen — może zechcesz mi dopomóc i wyjawić tę ta-

emnicę, abym mogła przypomnieć ją ojcu... O, powiedz, jaki metal powinien być w tym stopie, aby dzwon łkał i śmiał się, i wołał ludzkim głosem. Jaki metal jest potrzebny do tego?

— To nie metal jest potrzebny — zaszeleścił głos nędzarza.

— A co jest potrzebne — spieszenie dopytywała się Li-sen — co należy jeszcze dodać do stopu przygotowanego przez mojego ojca?

— Trudna to rzecz — niechętnie wyznał żebrak — trudna. I nikt jej chyba nie wykona.

— Powiedz — błagała Li-sen — powiedz, nieznany starcze! Żebrak przygiął jeszcze bardziej swą nędzną postać.

— Serca — mruknął swym szeleszczącym, suchym głosem — serca ludzkiego brak jest w tym stopie...

— Jak to: serca? — spytała Li-sen.

— Kochającego, ludzkiego serca — serca zdolnego do najwyższego poświęcenia. Czy rozumiesz?

Córka mistrza Ho-ena w milczeniu pochyliła głowę. Na kości-

■ Dar rzeki Fly

stą dłoń stojącego pod mostkiem żebraka upadła czysta jak rosa kropla.

— O — mruknął stary — ła! Łzy pięknie dźwięczą w uderzeniu dzwonu...

Li-sen długo jeszcze stała na mostku zapatrzona w błękitniejąc; mrok. Nie wiadomo, czy widziała oddalającą się, zgiętą postać starego żebraka w stożkowatym kapeluszu i słomianej opończy.

Nazajutrz dzwon miał być odlany po raz trzeci. Czeladnicy już przygotowali formę — za chwilę roztopiony kruszec wlany do niej zastygnie i stanie się dzwonem. Ale jeszcze w tej chwili żar ogromny bucha od płynnego metalu.

Naraz w czerwonym blasku wielkiego paleniska ukazała się drobna postać.

— Li-sen — szepnął mistrz Ho-en.

— Przyszłam, mój czcigodny ojcze.

— Idź stąd — schrypniętym ze zmęczenia głosem rozkazał Ho-en. — Idź.

— Jutro będzie próba, ojcze...

— Sporządziłem stop najszlachetniejszych metali według przepisu, jaki mi zostawił mój najczcigodniejszy pradziad, Sun-li, niech chwała będzie jego ceniom...

— Pradziad Sun-li? — szepnęła Li-sen. — A czy wzięłeś pod uwagę, mój czcigodny i wspaniały ojcze, wszystkie składniki, o których mówi najmędrszy Sun-li?

W zmęczonych oczach mistrza Ho-ena błysnął niepokój.

— Skąd wiesz, córeczko, o przepisie Sun-li?

Ale Li-sen nie odpowiedziała już na to pytanie. Zgięła tylko swoją drobną postać w niskim ukłonie aż do stóp ojca. — Żegnaj, ojcze! — a potem poderwała się szybkim ruchem i jak biały ptak zatrzepotała rękami nad roztopionym metalem. Zanim mistrz Ho-en zdołał uczynić jakikolwiek ruch, powierzchnia płynnego kruszcu zamknęła się i znów tylko falowała ciężko i połyskliwie.

,

■czy

Pięćdziesiąt lik u, aż z?ciście, ale

"ebrnymi

Wreszcie " :: ciągnął lin ялу i tak pię?

— Li-sen! Ho-en pi

:cał, jak sa— • oła go. ?"

— HO-:"

- piękne cLic:

igroc; -czemu w aa szaty?

Mistrz a»

Potem wart*

— Nic wm

co miaic

Kle.

:

Czterdzieści siwych wołów raz jeszcze ciągnęło wielki wóz. Obok wozu szedł mistrz Ho-en w żałobnych szatach, z pochyloną głową. Po raz trzeci zasiadł na złotym tronie potężny władca i po raz trzeci tysiące ludzi zgromadziły się na wielkim placu. Pięćdziesięciu si-

— 82

.; erzemu

t .TcMtniejący ęxą postać sta-pończy. Czeladnicy już : wlany do
niej iii żar ogromny

ka ukazała się

iosem rozkazał

iii według prze-id, Sun-li, niech

czy wzięłaś pod składniki, o któ-

niepokój.

gięła tylko swoją Żegnaj, o^czel — iały ptak zatrze-P mistrz Ho-
en ► fynnego kruszcu - :e.

iaczy trzymało grube liny przy wciąganiu dzwonu na wysoką
wieżę. Pięćdziesięciu siłaczy nateżało swe mięśnie w
największym wysiłku, aż wreszcie dzwon zawisł ponad
tłumem, wielki, połyskujący złociście, ale jeszcze milczący.
Słońce świeciło tego ranka łagodnie, a wokół wieży unosiły się
białe gołębie z przyczepionymi do nóżek srebrnymi
dzwoneczkami, które dźwięczały cichutko i melodyjnie.

Wreszcie cesarz skinął dłonią. Na ten znak mistrz Ho-en,
poblady, : ociągnął linę i rozkołysał serce dzwonu... Rozległ się
dźwięk donośny, i tak piękny zarazem, że ludzie zasłuchani
zamarli w bezruchu. — Li-sen! Li-sen\ — powtarzał dzwon
śpiwnie. — Li-sen! Ho-en przymknął oczy. Słyszał głos swej
małej córeczki. Słyszał, jak sama powtarzała swe imię. Zdawało

mu się, że zaraz zawoła go, stojąc na swym ulubionym mostku w ogródku...

— Ho-en — odezwał się po chwili władca — stworzyłeś wielkie : piękne dzieło. Ciesz się nadal życiem i powiedz, jakiej pragniesz nagrody. Ale czemu — tu czoło władcy zmarszczyło się gniewnie — czemu w dniu tak uroczystym i pamiętnym przywdziałeś żałobne szaty?

Mistrz Ho-en w pokornym ukłonie dotknął czołem stopni tronu. Potem wstał i patrząc w oblicze cesarskie szepnął:

— Nie możesz mii me dab, panie — \o ja ci podarowałem \b, co miałem najdroższego — moje dziecko.

Kiedy oddalał się powoli, pierwszy minister zerwał się chcąc ukarać śmiałka, który tak zuchwale odpowiedział na pytanie Syna Niebios. Ale cesarz niecierpliwym ruchem oddalił ministra i siedział zasłuchany w cichnące tony dzwonu.

Echo ich snuło się po ryżowych polach i bambusowych zagajnikach, słało się ponad żółtymi wodami rzek i tułało się wśród migda-owych drzewek i krzewów berberysu.

wielki wóz. Obok

pochyloną głową.

Ica i po raz trzeci

3:ecdziesięciu si-

M99

III

III fiWMW*

LENIWY TUSI I JEGO PODDANI

(BaŚU Zulusów — Afryka)

— Mówić:-burzone ich * ;zym odchocj Nawet drić' wiatru swe

— Nie * -Nie wdrapn.i i Dwe, tylko 1Γ spadną. Kwiaty

— Przejedna: : emiona.

— O::' rosną zasil

żziom ^i-

Cc

-■■/-.

Kiedy dżungla była tak gęsta, że żaden człowiek nie mógł się przez nią przedrzeć, kiedy ludzie znali mowę zwierząt i ptaków, kiedy kwiaty i ryby miały głos i kiedy jeszcze działały się na świecie różne inne dziwne rzeczy — w owych odległych czasach, w pewnej pięknej wiosce w głębi afrykańskiego lądu, nieopodal jeziora, ' mieszkalo plemię zwane Amafeme.

Było to plemię, o którym plotkowano w całej dżungli, a nawe! I hieny biegając po pustyni też nieraz wypowiadały swoje zdanie, gdy była mowa o plemieniu Amafeme. Bowiem ludzie z tego plemienia słynęli z tego, że byli najleniwszi na całym świecie. Nawe: stary hipopotam, kiedy jego żona robiła mu wymówki, że

jest tak leniwy, że nic by cały dzień nie robił, tylko spał —
zawsze odpowiadał jednakowo:

— Nieprawda, nie jestem jeszcze taki bardzo leniwy. Murzyn: z
plemienia Amafeme są jeszcze bardziej leniwi. A poza tym ja 1
przecież jestem bardzo grubym i dużym hipopotamem...
'ąc hałas i

Słonie również mówiły lekceważąco:
w, mrukną

— 84-

— Mówicie o tych ludziach z plemienia Amafeme? Jesteśmy
oburzone ich lenistwem i w ogóle nie chcemy mówić o nich...

— Po czym odchodziły, wachlując się gniewnie uszami.

Nawet drzewa dorzuciły parę słów. Palmy, gnąc pod powiewem
wiatru swe smukłe pnie, zaszeleściły:

— Nie widziałyśmy jeszcze nigdy, aby ludzie byli tak leniwi.
Nie wdrapują się na nasze smukłe pnie, aby zdobyć orzechy
kokosowe, tylko kładą się w cieniu i czekają, aż dojrzałe
orzechy same ipadną.

Kwiaty szeptały smutnie:

— Przez lenistwo nie dostrzegają nawet naszej urody.
Jednakże najbardziej były oburzone sąsiadujące z Amafeme
inne

ślemiona. Ludzie z tych plemion skarżyli się słońcu, wodzie i ziemi:

— O dobre słońce i dobra wodo! Cóż z tego, że z waszą pomocą -osną zasiane przez was w ziemi ziarna i dają plony, które służą

udziom za pożywienie. Cóż z tego, kiedy leniuchy z plemienia Amafeme nie chcą uprawiać swoich pól i żywią się tym, co zbiorą na polach przez nas uprawianych.

Co prawda wszystkie te skargi nie przynosiły żadnego skutku. _udzie z plemienia Amafeme ciągle bezkarnie objadali swych sąsiadów próżnując bez końca.

Największym jednak próżniakiem wśród nich był ich wódz I władca imieniem Tusi. Tusi leżał przez cały dzień w cieniu palmy. Jeżeli chciał się odwrócić na drugi bok, odwracały go dwa wy-:resowane słonie. Jeśli chciało mu się pić, pił wodę z tykwy przez 'arkę z trzciny, aby czasem nie zmęczyć się. Jeśli było bardzo gorąco, Tusi spał przez cały dzień i budził się tylko po to, aby jeść — i nic na świecie nie mogło zmusić go do podniesienia się, podobnie postępowali jego wszyscy poddani.

Wreszcie któregoś dnia zbuntowały się wszystkie sąsiadujące l Amafeme plemiona.

— Nie będziemy uprawiać naszych pól po to, aby żywić leniuchów Amafeme — postanowili.

Przy biciu tam-tamów wojownicy otoczyli wioskę leniuchów. Oczywiście, że wcale nie doszło do żadnej bitwy, gdyż ludzie z Amafeme zbyt byli leniwi, aby chwycić za broń. Ich wódz, słysząc hałas i widząc zgromadzonych wokół swego posłania wojowni-• 5w, mruknął otworzywszy jedno oko:

— 85 —

— Proszę mi nie przeszkadzać w odpoczynku.

I wcale a wcale nie miał zamiaru rozmawiać dalej. Wobec tego wszyscy wojownicy z innych plemion zawołali:

— Ooo, dość tego wstrętnego lenistwa!

— Ooo, nie damy już więcej ani tobie, ani twoim poddanym objadać naszych plonów!

— Jeśli nie dacie, to sami sobie weźmiemy — odparł na to ziewając ze znużeniem Tusi i właśnie miał zamiar odwrócić się na drugi bok i spać dalej, kiedy rozgniewani wojownicy siłą postawili: go na nogi.

— Hej, Tusi! Leniu obrzydliwy! — wołali. — Zabieraj się do roboty! Nie myślimy dalej żywić ciebie, Tusi, i twojej żony, i całego twego obrzydliwego plemienia!

— Zobaczymy — mruknął leniwy wódz plemienia Amafeme. Ale stojący wokół wojownicy nie pozwolili mu już dłużej się wylegiwać. Postawili go na nogi, jak również i wszystkich leniwych poddanych leniwego władcy.

— Czego chcecie ode mnie i mego plemienia?! — wrzasną? wreszcie rozgniewany Tusi.

— Chcemy, abyś razem ze swoimi ludźmi zabrał się nareszcie do pracy! Macie — oto dajemy wam narzędzia, których nigdy nie chcieliście wziąć do rąk, aby uprawiać ziemię! — To mówiąc Murzyni z innych plemion wręczyli zdumionym Amafeme motyki.

— Tu jest wasze pole, zabierajcie się do pracy, musicie przekopać ziemię, aby móc ją uprawiać.

Ale leniuchy z plemienia Amafeme wcale nie myślały posłucha: rozkazu. Wziąwszy motyki wbili je ostrym końcem w ziemię, przysiadając na nich. Gdzie tam, wcale nie mieli ochoty do pracy!

Otaczający ich Murzyni z innych plemion spojrzeli po sobie z rozpaczą. Jak to! Więc naprawdę te darmozjady nie myślą o zabraniu się do roboty i dalej chcą ich objadać niczym szarańcza?

Wszyscy Murzyni rozgniewali się ogromnie.

— O, o, jesteście leniwi niczym pawiany i staniecie się pawianami! — zawołali. Ledwie zaś zdążyli wypowiedzieć te słowa — leniuchy z plemienia Amafeme poczuły, że kije motyk, na których usiadły, przyrastają im do ciała i stają się po prostu — ogonom: Jeszcze chwila — a oni sami zamienili się w pawiany!

Dopiero teraz wstyd im się zrobiło swego karygodnego lenistwa
f

A z tego ;adne zwiei

I od teg< rostaci.

Jeśli kied ę bajkę i i tról Tusi! 1

26

I

; tego wstydu zarumienili się w tym miejscu, gdzie na ogół e
zwierzę się nie rumieni — to jest w okolicy ogona, i tego czasu
nigdy plemię Amafeme nie odzyskało ludzkiej

III

ą postawi

raj się zi . i cała;

dłużej ■ len:

wrzasną:

nareszcie

nigdy nie

' Mu-

tyki.

icie prze-
posłuchac
' , przy-
cy!
po sobie
yślą o za-
ię pawia-
wa — lej
a których
ogonami.
lenistwa.

■ci.

rsli kiedy zobaczycie brzydkiego pawiana, przypomnijcie sobie rajkę i przyjrzyjcie mu się dobrze — może jest to sam leniwy

■ -

PRZYGODY AHMEDA, SYNA MYDLARZA

(Baśń perska)

Od najdawniejszych czasów miasto Meshed uważane było w
сь tej Persji i za najpiękniejsze miasto na świecie. Nic więc

dziwneg: że przybywały tam pielgrzymki z najodleglejszych stron kra> aby podziwiać piękne pałace olśniewające bielą kamiennych ściar. zachwycać się złotymi kopułami meczetów i strzelistymi wieżyc kami minaretów.

W tym bogatym mieście, zwanym także Żrenicą Wschodu, miesz kał niegdyś bardzo, ale to bardzo biedny handlarz, który od świt aż do wieczora chodził po gwarnych ulicach Meshedu, dźwigają: na plecach wielki kosz z mydłem. Uginając się pod jego ciężare człowiek ten wołał niezmordowanie:

— Kupujcie, kupujcie mydło! W całym mieście nie znajdziec równie doskonałego mydła. Tylko w moim koszu znajduje się na lepsze mydło. Kupujcie! Kupujcie!

Lecz jeśli ktokolwiek zajrzał do kosza, mógł od razu przeko

Persja

dawna nazwa Iranu.

e. że mydło to wcale nie było w najlepszym gatunku. Można wła-riwie śmiało powiedzieć, że był to najgorszy gatunek mydła. Było .zarne i twarde, a po umyciu nim skóra stawała się szorstka i czer-• ona. Biedny handlarz, który nosił imię Abdullah, nieczęsto miał - :ęc okazję sprzedania swego marnego towaru i wskutek tego nigdy nie mógł zarobić tyle, aby wystarczyło na wyżywienie jego samego

syna, małego Ahmeda.

Zmęczony i zmartwiony wracał więc co wieczór biedny stary Abdullah do swojego mieszkania, które nie było niczym innym, jak

jak bardzo nędzną lepianką. Wchodząc do izby, zazwyczaj w milczeniu zsuwał z ramion swój kosz, z którego tak niewiele ubywało

* — a jeśli był to dzień, w którym nic nie zdołał sprzedać, i dał w kącie i krył twarz w dłoniach, aby nie patrzeć na swego niedźnego syna. Ahmed pocieszał wtedy ojca:

— Nie martw się, ojcze! Nie martw się! Może jutro sprzedasz więcej mydła i zarobisz dużo, dużo pieniędzy. A tymczasem opowiedz mi, co widziałeś dziś i którymi ulicami wędrowałeś.

Wobec takiej zachęty stary Abdullah zaczynał opowiadać: jak idąc przez gwarne ulice zachwalał swój towar, jak to widział; — jakomady pielgrzymów różnie ubranych, jak wyglądają rycerze na pięknych koniach, świetnie i bogato przyodziani, albo jakie niezwykle towary przywożą na rynek zagraniczni kupcy.

Potem zazwyczaj Abdullah zasypiał znużony w swoim kącie na podartym posłaniu, a mały Ahmed przed zaśnięciem marzył u tym, że dokona czegoś niezwykłego, czegoś, co odmieniłoby na lepsze ich smutne i monotonne życie.

Ale mijało wiele dni i nic nadzwyczajnego nie działo się w życiu Ahmeda i jego ojca Abdullaha. Aż wreszcie przyszedł jeden dzień -:ezwykły.

A było to tak: ponieważ dzień był wyjątkowo skwarny, Ahmed idąc ulicą przystanął na chwilę w cieniu wielkich platanów, które -osły nad brzegiem strumienia. Strumień ten przecinał targową _licę i tu właśnie gromadziło się zawsze sporo ludzi — byli tam rodróżni, którzy poili swoje konie i wielbłądy i pragnęli obmyć imęczzone stopy w chłodnej, świeżej wodzie, były też kobiety, które przyszły z dzbanami po wodę, nie brakło i praczek piorących bieliznę w strumyku.

Ahmed przyglądał się wszystkim z otwartymi ustami, ale naj-

— 89 —

bardziej zaciekał go pewien derwisz, który trzymał na łańcuchu oswojonego lwa. Derwisz przysiadł właśnie nad strumieniem, aby nabrać wody do picia, gdy naraz rozległy się okrzyki:

— Miejsce dla króla królów! Zasłońcie wasze niegodne twarze! Miejsce dla władcy!

To straż przyboczna torowała drogę dla szacha *, który nadjechał na wspaniałym koniu, otoczony orszakiem bogato wystrojonych dygnitarzy i rycerzy. Tuż za monarchą cztery muły, okryte haftowanymi złotem czaprakami, niosły lśniącą od złocen lektykę. Ahmed patrzył na to wszystko z otwartymi z

zachwytu ustami. Naraz orszak zatrzymał się, a z lektyki wysiadła jakaś mała, smukła postać, okryta przejrzystym szalem.

— Zasłońcie wasze niegodne twarze! — nawoływali ciągle ludzie ze straży przybocznej.

Pochyliwszy się pokornie ku ziemi, Ahmed zapytał szeptem jakiegoś kupca, który stał obok niego z naręczem małych dywaników:

— Kto to jest?

— Tss, cicho — szepnął zapytany — czyż nie wiesz, że to najmłodsza i najbardziej ukochana córka szacha? Mówią, że ma na imię Lallah.

— Lallah! — powtórzył z zachwytem Ahmed, śledząc spod spuszczonej skromnie powiek każdy ruch księżniczki. Pomyślał przy tym, że na pewno jest niezwykle piękna, mimo że woal nie pozwalała: dojrzeć jej twarzy.

Tymczasem księżniczka lekkim, zwinnym krokiem szła w tę stronę, gdzie kupcy z obcych krajów rozłożyli nad strumykier piękne i cenne tkaniny. Kiedy minęła spoczywające wielbłądy, zatrzymała się przy jednym z kupców, oglądając jakiś wzorzysty jedwab.

Właśnie ujęła w swe paluszki białe i smukłe niczym kwiaty lii: (Ahmed widział to doskonale) rąbek delikatnej tkaniny, gdy nara: rozległ się straszliwy ryk. To lew, dotychczas leżący

spokojnie, podrażniony czymś, wyrwał się derwiszowi i przysiadłszy na tylnych łapach szykował się do skoku. Wszystkich, nie wyłączając orszak, szacha, ogarnęło przerażenie i każdy starał się ukryć przed rozgniewanym zwierzem.

Toteż po chwili z placu nad strumykiem zniknęli wszyscy ludzie zostały tylko szarpiące się niespokojnie wielbłądy i muły, i ma

szczupła dz rawarach. i oczyma w :.arza my di Jeszcze j< :zkę Lallah.

lopuścić. :

właśnie w I ego stały <

ebo poc płonąca wa. Zwie pies. Tera ąosem, Wszyscy

Stała pi цгпка, i *Vtedy

Tak I r-imiał. Męstwo, ■ając w ^zan sachie "a zakre; z, WreszoJ

■1

ańcucr.

em. ar

y na. irystrc

y. okr\r_ i lektykę. ami. Na-' ц smukła]

ciągle Lufl

eptem ja-1 waników

że to na-że ma r.i

spod sp_-nyślał prz ie pozwala

szła w itrumykier: ;lbłądy, za-

worzysn

kwiaty lik: . gdy nar;; >kojnie, po-

na tylnyck pae orszaks zed rozgnie

: scy ludz:t nuh. i mała

::zupła dziewczynka w zasłonie na twarzy i w turkusowych szawarach. Nie, był jeszcze ktoś, kto został dzielnie na miejscu,

»czyma wlepionymi w córkę szacha — to był Ahmed, syn han-; arza mydłem Abdullaha.

l jeszcze jeden skok i straszny lew na pewno rzuci się na księżnicz_<e Lallah. Lecz Ahmed pomyślał w tej chwili, że nie może do tego bpuścić. Szybko rozejrzał się wokoło. Jak to dobrze, że stał . :aśnie w pobliżu kuźni, w której podkuwano konie i muły.

Ruchy rzo stały się tak szybkie jak błyskawica, która przecina ciemne

eDo podczas burzy, w okamgnieniu wyciągnął z ogniska w kuźni zionącą głównię i trzymając ją w ręku, odważnie ruszył w stronę va. Zwierz przestraszył się ognia i przywarował jak posłuszny ries. Teraz jego pan, stary derwisz, mógł już ująć łańcuch i gromkim iir-sem, używając znanych tylko sobie

zakłęk, uspokoić lwa. * szyscy odetchnęli — księżniczka była ocalona.

Stała przy lektyce i łkała cicho, jak zwykła przestraszona dziewczynka, i nawet uniosła swą cienką, cenną zasłonę, aby otrzeć łzy. edy Ahmed przekonał się, że jest niezwykle piękna.

Tak był oczarowany tym widokiem, że nawet nie bardzo zrozumiał, co mówi do niego sam szach, najlaskawiej chwalać go za -estwo. Stał potem jeszcze przez długą chwilę nieruchomo, trzy-rając w rękę wręczoną mu z rozkazu szacha przez jednego z dwo--zan sakiewkę pełną pieniędzy. Orszak szacha zniknął już dawno

- zakręcie, a on ciągle jeszcze stał zapatrzony i zachwycony.

•Yreszcie, potrącany przez przechodniów, przypomniał sobie, że :eba wracać do domu, że być może, jego dobry, stary ojciec czeka .z na niego zaniepokojony. Pobiegnął więc szybko w tę stronę, adzie stała ich uboga lepianka. Gdy wpadł do izby, zastał już ojca. Nie, tego dnia stanowczo handel nie powiódł się Abdullahowi. Pomyśleć tylko — nie sprzedał ani jednego kawałka mydła!

Trudno, naprawdę bardzo trudno jest opisać radość handlarza 1 ?dullaha, kiedy jego syn Ahmed oddał mu napełnioną pieniędzmi siewkę i opowiedział całą swą przygodę.

Otworzywszy sa-i-ewkę, znaleźli w niej dużo, dużo złotych monet. Ach, nikt nie po-Tafi opisać radości starego handlarza

Abdullaha! Pobiegnął zaraz, .- kupić jedzenie, i pierwszy raz od wielu lat ojciec i syn ułożyli

r do snu syci i szczęśliwi. A nazajutrz rozpoczęli nowe życie. Stary Abdullah już nie sprzedawał brzydkich, czarnych i twar-

91 —

dych jak drzewo kawałków mydła, tylko założył sobie ładny stragan z wonnościami, a Ahmed — Ahmed pomagał ojcu, a poza tyrr uczył się czytania i pisania, i rachunków u pewnego uczonego starca. I już zdawało się, że jest im najlepiej na świecie, kiedy niedobrzy ludzie, którzy zazdrościli mu powodzenia, zaczęli namawiać: ojca i syna, aby dla zdobycia lepszych zarobków udali się po zakup wonności do innego miasta.

— Zobaczcie przy tym kawałek świata — namawiał ich pewien zły i zazdrosny człowiek. Miał on stragan w sąsiedztwie straganu Abdullaha i zależało mu na tym, aby pozbyć się konkurencji. Bowiem stary, zacny Abdullah sprzedawał wonności w dobrym gatunku i po niewygórowanych cenach.

Ahmed był zachwycony tą radą.

— Pójdziemy tam, ojczy — mówił — ja tak chciałbym poznać choć trochę świata. Przecież nigdy w życiu nie widziałem nic więcej, jak tylko Meshhed.

— Meshhed jest piękny — odpowiedział na to Abdullah i widać było, że nie bardzo ma ochotę wypuszczać się w daleką i

na pewn: niebezpieczną drogę. Ale mały Ahmed tak bardzo chciał podr: zować!

Początkowo podróż była przyjemna i niemęcząca. Jechali na siW nych mułach, mieli z sobą zapasy żywności i wody i zdawało się.1 że obawy starego, dobrego Abdułaha były nieuzasadnione. A jeć- j nak...

A jednak, gdy już byli w połowie drogi, zaczęły się zmartwieni! W małej gospodzie, w której zatrzymali się na nocleg, jacyś II busie ukradli im ich piękne muły. Ponieważ nie mieli dość pienię-1 dzy na kupno innych, a byli już w połowie drogi, musieli więc wędrować dalej pieszo. Było to bardzo męczące, zwłaszcza dla stareg Abdułaha, a w dodatku droga stawała się coraz cięższa do prz bycia.

Przed nimi rozciągały się dzikie, pustynne przestrzenie, brak by. słodkiej wody do picia, bo jedyna rzeka, która płynęła w pobliż. miała wodę o smaku słonawym. Wyczerpał się również i zapas daktyli, zabranych na drogę. W dodatku, ponieważ w ciągu dnia | nował upał trudny do zniesienia, wędrowali wśród nocy.

I właśnie pewnej nocy, gdy szli wzdłuż brzegu słonej rzeki, sz kając na próżno jakiegoś brodu lub mostu, aby przedostać się

i III

\

-: ■

92

e ładny япм

.. a poza tyz onego starca. iy niedobrr' i namawia, się po żaku:

wiał ich pe-edztwie stra-konkurencz ■ dobrym ga-

tbym pozna: iłem nic wię-

ullah i widać ą i na pewne :hciał podró-

echali na sil-

zdawało się.

nione. A jed-

zmartwienia leg, jacyś ra-i dość pienie-sieli więc węża dla

stareg: zsza do prze-

nie, brak byk

^a w pobliżu

ż i zapas dak-

iagu dnia pa-

y.

lej rzeki, szu-

rdostać się m

rugą stronę — niebo zaciągnęło się chmurami i spadł deszcz tak . ewny, że przesłonił wszystko dookoła, a wezbrane fale rzeki za-r:y występować z brzegów. Biedni wędrowcy, przemoczeni do jzamej nitki, przysiedli pod jakimś krzakiem i oczekiwali ranka.

— O Allachu! Ześlij jutrzeńkę — wzdychał od czasu do czasu l.?dullah, drżący z zimna i zmęczenia.

Naraz poprzez szum wody dobiegł ich długi, bolesny jęk. I chociaż wycie wichru przygłuszało go chwilami, jednak słychać było zupełnie wyraźnie: ktoś wzywał ratunku, zawodząc żałośnie.

Posłyszawszy te wołania, Ahmed zerwał się, gotów biec z pomocą, ale stary Abdullah chwycił go silnie za rękę.

— Nie ruszaj się z miejsca i nie odpowiadaj na te wołania, o mój ;edyny synu, żrenico mego oka — prosił Abdullah. — To Starzec Pustyni! Zginiesz, jeśli dasz zwieść się jego jękowi.

K\|e k\|me& vi\|t c\|e\|a\ |гю\|exx^c. ^ \|e>, to móm o}c\|e.c.

— Jak to? Przecież wyraźnie ktoś wzywa pomocy! Trzeba mu ■ięć nieść ratunek! — I wyrwawszy się ojcu, chłopiec pobiegł v kierunku, skąd dochodził jęk.

Nie było to łatwe tak biec w ciemności. Ale właśnie deszcz przelał padać i księżyc wypłynął spoza chmur, oświetlając rzekę

i skalisty brzeg. W błękitnym świetle księżyca Ahmed dostrzegł w po-?liżu skał jakiegoś człowieka leżącego na ziemi. Gdy podbiegł bliżej, przekonał się, że był to stary derwisz w stroju pielgrzymim. Obok wyciągniętej dłoni starca leżała okuta laska. Ahmed przyklęknął przy nim, nie wiedząc, co począć. Derwisz miał twarz bladą zamknięte oczy i wyglądał tak, jakby uleciało z niego ostatnie Tchnienie. Naraz poruszył się lekko, otworzył na chwilę oczy i szep-nął ledwo dosłyszalnie:

— Kimkolwiek jesteś, błagam cię w imieniu Proroka o kroplę «•ody!

Ahmed pobiegł szybko w kierunku skał, w wydrążeniach których nagromadziło się nieco wody deszczowej, i po chwili przyniósł : drobinę w złożonych w miseczkę dłoniach. Starczyło jej zaledwie za zwilżenie warg i czoła derwisza, jednak widocznie i to przyniosło zzu ulgę, gdyż odetchnąwszy głęboko, wyszeptał:

— Niech cię Allach błogosławi! Czy wiesz, komu przyszedłeś : pomocą? Jam jest znany w całej Persji derwisz Ali. Wędruję : Mazandaran do Meszhedu, ale przed paroma dniami zachorowa-

.

93 -

łem na straszną chorobę, zwaną gorączką pustyni. To już jest trzeci atak. A wiesz o tym, że trzeci atak jest najgorszy. Błagam

cię i zaklinam — pozostań przy mnie, bo czekają mnie jeszcze ciężkie i straszne chwile.

Starzec zamilkł na chwilę, widać siły go opuściły. Wyglądał na bardzo wyczerpanego. Tylko blade wargi poruszały się, jak gdyby bezgłośnie odmawiał jakąś modlitwę. Wreszcie zaczął mówić na nowo, coraz cichszym głosem:

— Chłopcze, dobry chłopcze... Jeśli tak się stanie, że choroba zmoże mnie i dusza moja odejdzie do Krainy Śmierci, zdejmij mi z szyi skórzany woreczek. Znajdziesz w nim kryształową czarę. Jeśli będziesz umiał posługiwać się nią — dojdiesz do bogactwa i potęgi. Pamiętaj: co rano wlej do czary kroplę wody źródlanej, czystej jak łza. I patrz uważnie. Jeśli w ciągu nadchodzącego dnia tobie lub bliskim twoim będzie groziło niebezpieczeństwo, dostrzeżesz je w tej czarze. Jeżeli...

I już nic więcej nie zdołał powiedzieć przed śmiercią derwisz Ali.

Ahmed, ocierając łzy, pożegnał zmarłego, zdjął mu z piersi skórzany woreczek i szybko pobiegł do ojca. Znalazł go zmarzniętego, na wpół żywego ze zmęczenia, na tym samym miejscu, gdzie go zostawił.

— O! Jesteś, synu! — wołał Abdullah. — Nie wierzę oczor. że powróciłeś szczęśliwie!

— Jestem, ojczy, i nie odejdę już od ciebie — uspokajał stare Ahmed. A potem opowiedział mu swoją niezwykłą przygodę i po kazał cudowną, kryształową czarę.

Ponieważ Abdullah czuł się już lepiej i na razie była piękna po goda, ruszyli w dalszą drogę. Ale już po paru godzinach, gdy wła śnie wędrowali przez pustynne przestrzenie, zerwał się naraz straszny wichur. W pobliżu nie widać było żadnej siedziby ludzkiej drzew, ani nawet zarośli, gdzie można by było skryć się prz huraganem.

Walcząc z wichrem, smagani piaskiem, oślepieni i ogłuszeni przewracając się co chwila, błądzili długo, aż wreszcie nie widzą; się i nie słysząc wzajemnie, stracili się z oczu. I gdy wreszcie poc wieczór wichur przycichł, stary Abdullah był tak daleko od Ah-meda, że już nie mogły pomóc ani żadne nawoływania, ani poszukiwanie.

Zabiał

=e będą

Upadł rw

Уca, a z

ochoty n

Leżał i

szarpie g«

-onego n;

"T-.aW. U:

— Ale iarza m]

:m wi

- ;':;-... iść równi

Ahmed

Nigdy nit

■ieważ je

■ e i ra

-- --"":■£:-.

tedwie mi

ршс „J£

' "r.;;

::: Wol

• :: Zś ej szaty P*a się >:

W jedn<

*".edział o

■ ał sie

94

Zabłąkani wśród bezludnej pustyni, obydwaj stracili nadzieję,

--- aędą mogli się odnaleźć. Rozpacz Ahmeda nie miała granic.

radł twarzą na piasek i płakał gorzko. Był tak przygnębiony stratą

ca, a zarazem i tak bardzo zmęczony, że nie miał już siły ani

•;r.oty ruszyć- się z miejsca.

Leżał tak odrętwiały i półprzytomny, gdy naraż poczuł, że ktoś r[^]rpie go za ramię. Gdy otworzył z trudem oczy, zobaczył pochy-;nego nad sobą starca z długą brodą. Nieznajomy ciągnął go za -f.<aw, uśmiechał się przyjaźnie i wołał:

— Ależ to Ahmed! Naturalnie, poznaję cię. Syn Abdullaha, han-łarza mydła. A ty nie poznajesz mnie, Ahmedzie? Przecież jestem

im wujem! Nie płacz! Co? Zgubiłeś podczas huraganu ojca? Nie płacz. Wkrótce go znajdziemy. Podaj mi tylko rękę i staraj się iść równie szybko jak ja.

Ahmed przyglądał się starcowi nie wiedząc, co ma o tym myśleć. Nigdy nie słyszał od ojca, aby mieli jakichkolwiek krewnych. Ponieważ jednak starzec uśmiechał się przyjaźnie, podał mu wreszcie -ękę i razem ze starcem ruszył w dalszą drogę. Ale cóż to była za droga! Starzec biegł niezmiernie szybko, tak szybko, że Ahmed edwie mógł za nim nadążyć.

Chłopiec myślał o tym ze zdumieniem: „Jakże, taki stary! Ma chyba ze sto lat! A biegnie niczym 11-iatr!”

Biegli w szalonym pędzie przez kilka godzin bez wytchnienia, Ahmedowi zdawało się, że wyzionie ducha w tym dzikim wyścigu z pustynnym wiatrem, a w dodatku nigdzie nie natrafili na ślad Abdullaha.

Wreszcie chłopiec był tak zmęczony, że wyrwał swą rękę ze szponiastej dłoni starca i oświadczył, że już nie ma siły biec dalej.

— Wobec tego, mój drogi chłopcze, spocznij — powiedział starzec, uśmiechając się uprzejmie. — Zaśnij, a ja będę czuwał nad

toą.

A kiedy zmęczony Ahmed układał się wygodnie do snu i miał właśnie zasnąć, dostrzegł z ogromnym przerażeniem, że spod długiej szaty nieznajomego, który twierdził, że jest jego wujem, wysuwa się chuda, porośnięta koźła noga.

W jednej chwili przypomniał sobie wszystko, co mu niegdyś opo-

owiadał ojciec o złym Starcu Pustyni, czatującym na podróżnych.

Zerwał się więc z przeraźliwym krzykiem i chciał uciekać. Ale był

już tak zmęczony długą i ciężką drogą, że siły go opuściły i zemdlony upadł na ziemię. Wtedy dziwny starzec z koźlą nogą pochylił się nad chłopcem i rozpiął mu ubranie na piersiach, chcąc dostać się do serca, aby wypić z niego krew...

Ale zanim zdołał to uczynić, usłyszał w pobliżu gniewny okrzyk. Obejrzał się więc szybko i zobaczył tuż koło siebie niedużą, smukłą postać dziewczynki. Dziewczynka trzymała w ręku naszyjnik ze złotych i srebrnych kulek. Przy poruszeniu kuleczki naszyjnika wydawały śliczny dźwięk.

— Czarodziejski naszyjnik — mruknął gniewnie starzec. — O, po co tu przyszedłaś! O, ten naszyjnik odbiera mi moją moc!...

— Zostaw tego chłopca w spokoju — rozkazała dziewczynka potrząsając znów naszyjnikiem.

Starzec znów krzyknął gniewnie i zaczął uciekać w głąb pustyni a dziewczynka pochyliła się nad nieprzytomnym Ahmedem.

Jakież było zdumienie chłopca, kiedy wróciwszy do przytomności, zobaczył pochyloną nad sobą piękną twarz córki szacha. Te samej, której ocalił wówczas, w Meshedzie, życie. Przymknął jeszcze raz powieki, bo myślał, że to tylko piękny sen. Ale księżniczka, zasłaniając znowu twarz, powiedziała głosem melodyjnym ja/ śpiew ptaków:

— Poznaję cię! To ty jesteś tym dzielnym chłopcem, który nie lękał się lwa. Oddaliłam się na chwilę od orszaku mego ojca, ab; w samotności patrzeć na zachód słońca, i wtedy usłyszałam tw:

krzyk. Mój naszyjnik jest amuletem * i czyni nieszkodliwymi
wsz -stkie złe moce. Starzec Pustyni uląkł się mego amuletu.

— O, dzięki, księżniczko — zdołał wyszeptać biedny Ahmed.
Ulegając prośbom córki, szach okazał się równie jak ona łask
wy dla chłopca. Pozwolił, aby Ahmed przyłączył się do ich
orszak i po krótkim odpoczynku wszyscy ruszyli w dalszą
drogę.

Czekała ich jeszcze ciężka przeprawa przez łańcuch dzikich i
nie dostępnych gór. W górach tych mieszkał okrutny człowiek,
zwar/ Starcem z Gór. Mścił się on straszliwie na tych, którzy
ośmielili są wkroczyć tam, gdzie rozciągało się jego panowanie.
Opowiada' przy tym, że miał drużynę oddanych mu na śmierć i
życie ludz_ którzy bezlitośnie karali śmiałków przedzierających
się przez pismo górskie. I tym razem Starzec z Gór wydał
okrutny rozkaz — zgładzić ze świata szacha, który zamierzał
naruszyć spokój gór!

■

-

Całe jednak szczęście, że Ahmed w porę przypomniał sobie o
cudownej czarze kryształowej, подарowanej mu przez dobrego
derwisza Ali. Nauczony już ostrożności od czasu swego
spotkania ze stra-inym Starcem Pustyni — teraz już codziennie
spoglądał do czary - spełnionej czystą wodą. I dzięki temu
zobaczył w wodzie, załamującej promienie światła, przerażający

obraz: oto jakiś zbójca stał I wezglowia szacha i zamierzał się na władcę sztyletem.

Przerażony Ahmed pobiegł co prędzej do szacha, aby przestrzec 10 przed niebezpieczeństwem. Ale szach roześmiał się tylko dobro-\:wie i oświadczył, że nie obawia się niczego — ma przecież przy :?ku swoją wierną straż.

Mimo to Ahmed postanowił czuwać. I oto w nocy, gdy siedział rrzytulony do ściany namiotu szacha, dojrzał jakąś czołgającą się : ustać. Na jego alarm nadbiegły zaraz strażę i schwytano zbója, :-zysłanego przez Starca z Gór.

— Winienem ci nie tylko życie mojej córki, ale i moje własne — : ?wiedział wtedy szach. — Proś, o co chcesz.

— O władco — skłonił się Ahmed — ojciec mój zagubił się i pustyni, być może, jeśli roześlesz twe sługi, uda się odnaleźć go. W tej mojej cudownej czarze dojrzałem, iż błąka się wśród piasków.

Trudno wprost opisać radość Ahmeda, gdy w krótkim czasie .dało się odnaleźć biednego Abdullaha.

—. Dzielnego masz syna — powiedział do niego szach — zatrzymuję go przy sobie. Gdy podrośnie, zostanie, być może, ministrem, lebie zaś mianuję dostawcą dworu.

— O władco, będę dostarczał najwspanialszego i najwonnejszego mydła — wyszeptał uszczęśliwiony Abdullah.

A starzy, bardzo starzy ludzie opowiadają, że Ahmed, syn handlarza mydłem, nie tylko został po latach ministrem, ale również i mężem pięknej księżniczki Lallah, a jeszcze później został szachem. Rządził podobno sprawiedliwie i był dobry dla swych poddanych, bo nie zapomniał nigdy o tym, że sam był niegdyś ubogim chłopcem.

W rządzeniu państwem pomocna mu była owa kryształowa czara, podarowana przez derwisza Ali. Ale przede wszystkim pomagało mu jego dobre i prawe serce.

Dar rzeki Fly

0*III

mmEęf

SŁOWIK I RÓŻA

(Baśń perska)

Na samym początku świata, kiedy kwiaty po raz pierwszy zakwitły na ziemi, ich królem był piękny, biały lotos. Władca kwiatów rozkwitał wśród swych wielkich, okrągłych liści, spoczywających na gładkiej powierzchni jezior, i dumny ze swojej niepokalanej białości i swego wspaniałego wyglądu trwał tak z dala od swych poddanych, obojętny na ich skargi i troski. W dodatku, mimo iż był piękny, że ludzie zatrzymywali się nad

brzegiem wody, aby móc wiać jego urodę, mimo że ważki i motyle zatrzymywały się nad nim, gotowe s\\ie\\wać \e,ęp тсугіьаллчі ДсЛкя» ^та^аж^ігта'^

ny i milczący. Dlatego też pewnego dnia rozżalone Wiaty, wszyst* jakie tylko kwitną na ziemi, wysłały do dobrotliwego Allaci goździk i bratek, aby wyłożyły mu całą sprawę, aby poskarżyły s

na obojętność lotosu. v . . , ^

Bo skarg było bardzo wiele. Konwalie dzwomły ctchutko swymi dzwoneczkami, że wołałyby rosnąć w bardziej ciemnych h» narcyzy prosiły na wszystko, że chciałyby mreszkac nad morzem, •Sami, w których mogłyby się przeglądać, czerwone mak, i

— 98

SŁOWIK I RÓŻA

(Baśń perska)

Na samym początku świata, kiedy kwiaty po raz pierwszy zakwitły na ziemi, ich królem był piękny, biały lotos. Władca kwiatu rozkwitał wśród swych wielkich, okrągłych liści, spoczywających z gładkiej powierzchni jezior, i dumny ze swojej niepokalanej białości i swego wspaniałego wyglądu trwał tak z dala od swych póc^t nych, obojętny na ich skargi i troski. W dodatku, mimo iż był i piękny, że ludzie zatrzymywali się nad brzegiem wody, aby móc> wiać jego urodę, mimo że ważki i

motyle zatrzymywały się nad nim w locie, gotowe słuchać jego rozkazów, lotos pozostawał zawsze samotny i milczący. Dlatego też pewnego dnia rozżalone kwiaty, wszystkie jakie tylko kwitną na ziemi, wysłały do dobrotliwego Allana goździk i bratek, aby wyłożyły mu całą sprawę, aby poskarżyły na obojętność lotosu.

.

Bo skarg było bardzo wiele. Konwalie dzwoniły cichutko swymi dzwoneczkami, że wołałyby rosnać w bardziej cienistych lasach narcyzy prosiły na wszystko, że chciałyby mieszkać nad małymi źródełkami, w których mogłyby się przeglądać, czerwone maki p:

— 98 —

. aby wiatr nie dmuchał na nie zbyt mocno i nie rozsypywał ich prawdziwych płatków, którymi tak pięknie zakwitły, niezapominajki chciały, aby mogły być bardziej błękitne dla utrwalenia się w ludzkiej pamięci, pachnący groszek koniecznie chciał rosnać w pobliżu mieszkań ludzkich, aby umilać ludziom życie swoją wonią, nasturcja marzyła o tym, aby rosnać tam, gdzie mogłyby ją zrywać dzieci, -owiem miała tę właściwość, że zwracała się zawsze w stronę tych, których przyciągał widok jej delikatnych kwiatków. Podobne życzenie miały słoneczniki, którym zależało na tym, aby mogły swobodniej obracać się ku słońcu. Natomiast białe kwiaty tytoniu koniecznie chciały rozsiewać swoją silną i piękną woń wieczorem, kiedy zakochani wychodzą do ogrodu...

A tymczasem biały, przepiękny otos trwał uśpiony, oddzielony wodą, daleki i obojętny.

Mądry Allach wysłuchał tej skargi cierpliwie i łaskawie, a kiedy iwiaty umilkły, pogładził w zadumie brodę i przymknął oczy, a gdy rworzył je, uśmiechnął się i wyciągniętą ręką wskazał na przepięk--4. białą różę, która właśnie rozkwitła w jego ogrodzie.

— Oto jest teraz wasza królowa — powiedział.

— Ja? — szepnęła skromnie róża. — Nie wiem, czy potrafię...

— Bądź zawsze piękna i mądra — uśmiechnął się Allach. I aby ją droić w broń godną władczyni, dał jej długie, ostre kolce.

Tak więc rozpoczęła swe panowanie wonna, biała róża, a wszyscy ■xldani zgodnie chwalili jej dobroć, jej troskę i jej rozum. Wy-r_niwała cierpliwie wszystkich skarg i starała się pomagać nawet najskromniejszym kwiatom. Uprosiła Allacha, aby dał woń jaśmi-- :m, aby pozwolił liliom rosnąć wysoko, tak aby wszyscy mogli po-iziwiać ich urodę. Ulitowała się nad powojem, który przedtem peł-z±i po ziemi, aby zaczął się piąć w górę i śmiało owijać wokół in-

ch kwiatów, wywdzięczając się im za to delikatną wonią i trwałą :-zyjażnią. Ona również uprosiła polne różę, aby udzieliły nieco 7* ej różanej barwy stokrotkom, które były dotychczas białe i smut-:e. Na jej życzenie jesienne słońce przydało swej

złocistości chryzantemom. Wszystkich zaś obdarowywała hojnie swoją silną, niezrównanie piękną wonią.

I kiedy tak panowała biała, czysta i wonna, któregoś dnia zobaczyła szary, skromny słowik. Zobaczył ją i od pierwszego wejrzenia pokochał ją gorąco i serdecznie. Usiadł więc na gałęzi, tuż nad

114. i zaczął śpiewać na jej cześć najpiękniej, jak tylko potrafił.

— 99 —

A były to trele tak niezwykle czyste, tak dźwięczne, że wszystkim umilkło dookoła, aby słuchać słowiczej pieśni. Nawet wiatr zatrzymał się w biegu i nie poruszał liści drzew. Ale kiedy minął wieczór i nadeszła noc, a razem z nocą i chłód, słowik nagle przestał śpiewać* ogarnięty troską o różę. Wydało mu się, że ten nocny chłód odłamał mu delikatne płatki róży, i ogarnął go lęk, że nie będzie mógł być itioie nazajutrz już nie ujrzy jej tak pięknej: kwitnącej. I przerażony zbliżył się do niej, aby ostomć ya ~-3BЛ

Nie wiedział o tym, a może tylko nie pamiętał, że dobry A_i uzbroił ją w owe duże i ostre kolce. Toteż kiedy słowik ta. bacznie zbliżył się do królowej kwiatów, jeden z kolców ł>t go w tym miejscu, gdzie bib małe słowicze serce. Z gatЛa l fiesta kropla gorącej, czerwonej krwi. A spływając st>ad""i "

A były to trele tak niezwykle czyste, tak dźwięczne, że wszystk: umilkło dookoła, aby słuchać słowiczej pieśni. Nawet wiatr zatrz; -mał się w biegu i nie poruszał liści drzew. Ale kiedy minął wiec: i nadeszła noc, a razem z nocą i chłód, słowik nagle przestał śpiewie ogarnięty troską o różę. Wydało mu się, że ten nocny chłód rr.:i zwarzyć białe, delikatne płatki róży, i ogarnął go lęk, że mogiai* zginąć, że być może nazajutrz już nie ujrzy jej tak pięknej, taï kwitnącej. I przerażony zbliżył się do niej, aby osłonić ją mały— skrzydełkami, aby chociaż w ten sposób dać jej trochę ciepła.

Nie wiedział o tym, a może tylko nie pamiętał, że dobry Allac: uzbroił ją w owe duże i ostre kolce. Toteż kiedy słowik tak nio| bacznie zbliżył się do królowej kwiatów, jeden z kolców zadrasną go w tym miejscu, gdzie biło małe słowicze serce. Z ranki tej sp: neła kropla gorącej, czerwonej krwi. A spływając spadła na bić:: płatki róży. Od tego czasu mają one od środka delikatne różowe zabarwienie — ślad krwi słowika.

PRZEBUDZENIE WIOSNY

(Baśń japońska)

Kiedy przedwcześnie umarł zacny tkacz Utori, jego młoda żona Nobuko pozostała sama z małym synkiem. Był to chłopczyk ładny . tak grzeczny, że wszystkie inne matki stawiały go za przykład swoim dzieciom:

— Patrzcie, jaki posłuszny i dobry jest Hidari, bierzcie z niego ?rzykład!

Dobra Nobuko słysząc to, cieszyła się niezmiernie i tym bardziej narała się, aby jej synek nie odczuwał swego sieroctwa i aby mu na niczym nie zbywało. Nie było to takie łatwe — została przecież arna i sama musiała teraz na niewielkim warsztacie tkać cienkie, delikatne w dotknięciu tkaniny, które sprzedawała potem na rynku w pobliskim mieście.

Ale Nobuko z uśmiechem siadywała przy swoim warsztacie od rana do wieczora i przesuwając cienkie nitki, nasłuchiwała jednocześnie dźwięcznego głosiku swego Hidari, kiedy śmiał się wesoło, gawędząc się z kolegami.

Dobrze więc, spokojnie i pogodnie płynęły dni chłopca Hidari.

— 101 —

Tylko że wkrótce w pogodnym śmiechu swego jedynaka dobra Nobuko zaczęła rozpoznawać jakieś dziwne zmiany. Głos jego stał się ostry i szyderczy i coraz częściej śmiechowi chłopca towarzyszył płacz skrzywdzonych przez niego dzieci. Zaczęli też przychodzić sąsiedzi ze skargami.

— O dobra Nobuko — mówili — twój syn Hidari dokucza małym dzieciom, bije je i odbiera im słodczyce i owoce. Twój syn Hidari wyśmiewa się z czcigodnych starych ludzi. Twój syn Hidari wyszydza biedę i kalectwo. Twój syn Hidari łamie krzewy i niszczy piękne kwiaty w naszych ogrodach. Twój syn Hidari dręczy ptaszki i małe zwierzęta. O zacna Nobuko — twój syn Hidari zmienił się bardzo.

— Czemu tak się zmienił? — pytała przestraszona i zrozpaczona Nobuko. — Czy nie uczyłam go dobroci? Czyż nie uczyłam go kochać ludzi, zwierzęta i kwiaty?

— Tak, ale twój chłopiec wpadł w złe towarzystwo — odpowiadali ludzie — zaczął zadawać się z największymi hultajami w okolicy i stał się do nich podobny.

— Na nic więc były wszystkie moje wysiłki — zasmuciła się biedna Nobuko.

Duma nie pozwalała jej okazywać, jak bardzo była tym zmartwiona.

Również i dobre wychowanie, wpajane jej od dzieciennych lat, nie pozwalało na uronienie nawet jednej łzy w obecności ludzi, ale kiedy została sama — szlochała żałośnie:

— O, Hidari, mój synek, z którego chciałam być dumna, Hidari Hidari! — powtarzała potem żałośnie, gdy chłopiec obdarty, posiniaczony w jakichś bójkach, wracał do domu późnym wieczorem. — Hidari, synku, przecież starałam się zawsze wychować cię na porządnego człowieka! A tymczasem wszyscy w całej wiosce skarżą się na ciebie, Hidari!

Hidari nie odpowiadał nigdy na słowa matki, tylko milczał ponuro i albo kładł się spać, albo uciekał znów z domu do swych towarzyszy i razem z nimi włóczył się po okolicy, dokuczając ludziom i zwierzętom. Czasem, czasem, bardzo rzadko, gdy widział pochylone plecy matki drgające od

tłumionego łkania, czuł jakieś ściś-nienie serca, ale jeśli w tej chwili za ścianą ich ubogiego domk. rozległ się znajomy gwizd któregoś z kolegów, potrafił wtedy

— 102 —

wzruszywszy pogardliwie ramionami, roześmiać się drwiąco. Taki stał się syn Nobuko — chłopiec Hidari.

Pewnego jednak wieczoru, wróciwszy jak zwykle z jakiejś hul-:ajskiej wyprawy, zastał matkę leżącą bez przytomności na starej, podartej macie. Wtedy po raz pierwszy zrozumiał., że przecież kocha :ę swoją matkę, która tak zawsze o niego dbała, która tak ciężko pracowała, aby móc dać mu jeść i sprawić co jakiś czas nowe ładne xитono *.

Kiedy pomyślał, że mógłby ją stracić, że mogłaby odejść do krainy przodków, tak jak przed kilku laty odszedł jego ojciec — ogarnął go niezmierny żal. W tej jednej chwili zrozumiał całe poświęcenie tej drobnej, zniszczonej przez ciężkie życie kobiety. Przyklęknąwszy przy niej, usiłował ją podnieść i szeptał głosem stłumionym od łez:

— O, moja czcigodna matko! Niegodny jestem być twoim synem! O. uczynię wszystko, aby naprawić woje winy. Matko, czy mnie .-ryszysz?

Być może, że dobra Nobuko usłyszała, gdyż słaby uśmiech rozchylił jej blade wargi. Nie miała jednak dość sił, aby przemówić do swo-ego niedobrego chłopca, a jej rozpalone

dłonie wskazywały, że była :hora i miała gorączkę. Hidari przeniósł ją więc na posłanie i pobiegł do wioski szukać pomocy. Ale nikt nie potrafił pomóc i nikt nie potrafił leczyć choroby serca, na którą zapadła dobra Nobuko.

I zaczęły teraz płynąć dni smutne i straszne — każdy dzień nadchodzący gorszy był od poprzedniego — co dzień słabsza była matka lultaja Hidari, coraz bardziej zbliżała się do progu krainy, w której przebywały duchy przodków.

Hidari nie uganiał się teraz po okolicy. Siedział przy chorej matce : z rozpaczą patrzył, jak gaśnie w niej słaby płomynek życia. I nie mógł pogodzić się z myślą, że musi ją utracić. Że mogłaby odejść — a on nie będzie miał możliwości przekonania jej, że jednak kocha ją bardzo i że pragnie być teraz dobrym, kochającym synem.

Aż któregoś dnia, kiedy tak siedział przy chorej, przypomniał sobie naraz, że słyszał o pewnym bonzie *, niezwykle mądrym, który podobno potrafił leczyć różne choroby. Podniósł się więc i wyszedł przed dom. Zima była wtedy na świecie i w szarym mroku bieleł się leżący wokoło śnieg. Gdzieniegdzie migwały nagle światełka lamp w dalekich chatach.

— Muszę pójść do mądrego bonzy i postarać się o lekarstwo dla

matki — postanowił Hidari. — Bonza mieszkał przy świątyni łaskawej bogini Kwanon — tak mówili ludzie. Ale jak znaleźć drogę do świątyni? Kogo o to zapytać! Przecież nikt nie zechce pomóc jemu, znieawidzonemu przez wszystkich, hultajowi Hidari... A jednak musi trafić do mądrego bonzy.

Zawrócił na chwilę do izby, przykrył matkę ciepłą kołdrą i wyruszył w drogę. Szedł szybko przed siebie. Ludzie, których spotykał po drodze, niechętnie odwracali głowę, unikając go, uciekały przed nim małe dzieci, które krzywdził, psy nie czekały na niego, tylko przemykały się podkuliwszy ogony. Nawet żaden ptak nie ćwierkał wesoło na jego drodze.

Hidari minąwszy przywioskowe pola zaczął przedzierać się przez zarośla. Ale gubił się w ciemnościach na nieznanych ścieżkach, wpadał do małych, cicho płynących strumyków o lodowatej wodzie, przewracał się i rozbijał o pnie drzew.

Kiedy zdawało mu się, że już zupełnie zgubił drogę, przystanął w leśnym mroku i zapłakał. Nie płakał jednak nad sobą, tylko płakał z troski o matkę. Myślał z lękiem — co się stanie, jeśli nie odnajdzie mądrego bonzy? Jest to przecież jedyna nadzieja ratunku dla niej! I wtedy stała się rzecz dziwna — jakieś drzewo litując się nad nim zaszeleściło:

— O Hidari! Skrzywdziłeś i okaleczyłeś wiele drzew, ale pomogę ci, gdyż widzę, że chociaż jesteś zły, kochasz jednak swoją matkę. Idź w tę stronę, Hidari, którą wskazuje twoja prawa ręka. Idź śmiało w tę stronę.

Brnąc głęboko w śniegu chłopiec posuwał się więc dalej w prawo. Był coraz bardziej zmarznięty i zdawało mu się, że już nigdy nie dobrnie do świątyni łaskawej bogini Kwanon. Ale kiedy już tracił nadzieję, drzewa i krzewy wyciągały swe gałęzie i wskazywały mu drogę.

Wreszcie w oddali dostrzegł jakieś migocące światełko. Wyteżając resztę sił, dobrnął do owego światła i wtedy przekonał się, że stoi na progu świątyni.

Drżąc z zimna, rozglądał się z lękiem, gdy naraz usłyszał obok siebie głos cichy jak szelest suchych liści:

— Czego tu szukasz, chłopcze?

— Przyszedłem prosić cię, abyś dał mi, o czcigodny, lekarstwo dla mojej chorej matki.

— 104 —

— Jak się nazywasz?

— Hidari.

— Hidari! — powtórzył bonza. W migocącym świetle lampki wyglądał jak rosochaty pień starego drzewa. — Więc ty jesteś tym dym chłopcem, o którym mówią wszyscy w okolicy, że stał się przyczyną strapień swej zacnej matki. To twoje postępowanie, Hi-iari, spowodowało jej chorobę.

— Wiem, o czcigodny bonzo! — jęknął żałośnie Hidari. — Ale jestem gotów zrobić wszystko, aby matka moja odzyskała zdrowie. Błagam cię, daj mi lek dla niej!

— Bogini Kwanon jest boginią litości — szeptał dalej starzec — dzięki temu mogę mimo twych wszystkich przewin dopomóc ci. Otóż dam ci radę, Hidari: matce twojej przywróci zdrowie napar ze świeżo zerwanych pędów bambusowych.

— Świeże pędy bambusowe! Przecież teraz leży śnieg na ziemi! — zmartwił się Hidari.

— Powiedziałeś, że jesteś gotów wszystko uczynić, aby ocalić matkę — zaszemrał głos bonzy — postaraj się je znaleźć. To jedyny lek, który może ocalić zasnę Nobuko.

Hidari pochylił się więc w pokłonie.

— Dzięki ci, czcigodny bonzo, za radę! Idę teraz szukać świeżych pędów bambusu.

I nie zważając na to, że wokół świątyni rozpościerała się ciemna i chłodna noc, Hidari ruszył w dalszą drogę. Śnieg skrzypiał pod stopami i było mu bardzo zimno.

Ale mimo to szedł w stronę ciemniejącego w oddali lasu — tam tylko mógł znaleźć pędy bambusowe. Rosły tam zazwyczaj wiosną. Ale teraz? Brnął jednak dalej przez śnieg; aż wreszcie znalazł się w lesie.

Było tu jeszcze ciemniej niż na polu, posuwał się więc po omacku, wyczuwając rękami pnie drzew. Dotknięte przez niego drzewa budziły się ze swego snu i mówiły szeptem:

— To jeszcze nie tu, Hidari, musisz iść dalej!

Szedł więc cierpliwie dalej i dalej, aż wreszcie świt zaczął różowić śnieg i drzewa. Teraz już było łatwiej brnąć przez zasy.

Wreszcie znalazł się na niewielkiej polance. Było tu dość zacisznie i zmęczony wędrowką chłopiec przysiadł na pniaku ściętego drzewa, aby odpocząć. Po chwili poczuł, że ogarnia go nieprzemo-

— 105 —

żona senność i, nie mogąc jej zwalczyć, zasnął. Nie wiedział potem wcale, jak długo mógł spać, ale obudził go jakiś szelest. Zerwał się niespokojny i rozejrzawszy się wokoło, zobaczył stojącego obok małego człowieczka. Człowieczek przypominał wzrostem niewielką lalkę, a ubrany był dziwacznie: okrywał go zielony płaszcz, a na głowie miał również zielony, wysoki i spiczasty kapelusz. Długa, siwa broda nieznanego człowieczka sięgała do samej ziemi. Była to tak niezwykła postać, że Hidari uczuł lęk.

— Nie obawiaj się mnie — powiedział cichym i miłym głosem człowieczek. — Mieszkam w tym lesie i otaczam go swoją

opieką. Opiekuję się również ludźmi zbłąkanymi w moim lesie. Powiedz mi więc, mój chłopcze, co ciebie tu przywiodło?

— O czcigodny i nieznajomy starcze — powiedział grzecznie Hidari. — Szukam tu świeżych pędów bambusowych, niezbędnych dla uratowania życia mej matki.

— Wskażę ci drogę — zaszemrał zielony człowieczek. — Idź za mną.

Hidari posłusznie szedł za swoim małym przewodnikiem, ale kiedy znaleźli się na wąskiej ścieżce, wydeptanej wśród zarośli, człowieczek zniknął nagle i Hidari znów został sam. Z przerażeniem spostrzegł, że nie potrafiłby znaleźć teraz drogi powrotnej i że nic mu innego nie pozostaje, jak posuwać się dalej wskazaną przez człowieka dróżką. Szedł więc ciągle dalej i dalej, aż wreszcie dostrzegł w oddali małą chatkę zbudowaną całkowicie ze śniegu. W lodowych okienkach odbijał się blask słońca.

Hidari przyśpieszył kroku i zaciekawiony, nie namyślając się długo, zapukał do lodowych drzwi chaty. Pukał dość długo i wreszcie drzwi uchylły się. Na progu stała dziewczynka w wieki Hidari. Była niezwykle ładna, a i strój nosiła niezwykły. Jej kimono niby utkane z błękitnej mgły, mieniło się od kropli rosy, którym: było usiane. Na głowie dziewczynki również błyszczała wspaniałym diademem ze lśniących kropli.

Hidari stał tak zdumiony, że nie był w stanie powiedzieć nawiązanego słowa. Tymczasem z chaty wyfrunęło kilka motyli.

Zatrzepotały skrzydłami i zaczęły krążyć nad głową dziewczynki. Ich lot stał się szybszy i weselszy, gdy naraz poprzez wierzchołk drzew przedarł się promień słońca, dziwnie ciepły i jasny. Wtedy śliczna dziewczynka szepnęła żałośnie:

— 106 —

— O, czemu zbudziłeś mnie ze snu? Czemu to uczyniłeś? Jest jeszcze tak zimno na świecie i tyle leży wokół białego śniegu!

— Wybacz! Nie miałem zamiaru budzić cię. Ale szukam w lesie świeżych bambusowych pędów dla mojej chorej matki. Tę drogę wskazał mi mały, zielony człowieczek z długą brodą. Człowieczek zniknął nieoczekiwanie, a ja nie wiem, dokąd mam pójść. O, kimkolwiek jesteś, proszę cię na wszystko, wskaż mi, gdzie mogę znaleźć młode pędy bambusowe!

— Nigdy byś nie znalazł świeżych pędów bambusa, gdybyś mnie nie obudził — szeptała teraz nieznajoma. Głos jej nabierał dźwięku podobnego do śpiewu słowika, stawał się coraz piękniejszy, coraz bardziej melodyjny. — Na próżno byś ich szukał, gdybyś mnie nie spotkał. Jestem Księżniczką Wiosną.

— O, jesteś Wiosną! — ucieszył się Hidari.

— Tak — uśmiechnęła się teraz najpromienniejsz na świecie dziewczyna — pogrążona we śnie, czekałam w tej chatce, aby przeminęła zima. Ale teraz patrz! Zbudziłeś mnie i nie mogę już powrócić do mego domku. Patrz!

Rzeczywiście — z domkiem działały się dziwne rzeczy. Topniał niezmiernie szybko i po chwili zostało z niego tylko małe jeziorko, z którego zaczęły wyrastać nieśmiało bladozielone trawki.

Hidari patrzył na to, a serce biło mu mocno ze wzruszenia. Tak, to wiosna.

Tymczasem piękna dziewczyna skinęła dłonią, która miała barwę kwiatu wiśni, i w tejże chwili poprzez zieleniejące zarośla zajechał złocisty rydwan ze słonecznych promieni, zaprzężony w trzy pary białych zajęcy.

— Hidari — odezwała się Wiosna — idź teraz śladami mego rydwanu, wkrótce trafisz na miejsce zarośnięte bambusem. Uwważaj! Znajdziesz tam również i młode pędy.

Powóz odjechał tak szybko, że Hidari stał przez chwilę oniemiały, przecierając oczy. Wcale nie był pewien, czy naprawdę widział to wszystko. Ale kiedy spojrzął na ziemię, dojrzał na niej ślady kół i ślady zajęczych łapek. Słońce świeciło jasno, a zarośla pokrywała młoda zieleń.

Nie namyślając się dłużej, Hidari pobiegł szybko po śladach. Jeszcze parę kroków i jeszcze, i oto już widać kępę bambusów, rzucających smukłe cienie na biel śniegu. Gdy podbiegł bliżej, dostrzegł

— 107 —

■Γ,.." ■

щ : тэг i szozsaf эрз

: jjqoc osaf ez зга to ha^uAS —

- игii иерщ ■: • - \ -::rZ

- —

_ - : - 30 S;

----- ЯРМІ III ~V->— N4

•OS

- as m upetcf

В 3«VI/

p&^п п\$*. т Арф •'•

wyglądające ze śniegu tak upragnione młode pędy.

Przykleknąwszy zaczął je zrywać i już nie myślał o niczym innym, tylko o tym, jak teraz wydostanie się z lasu, aby móc jak najprędzej wrócić do domu. do matki.

Ale właśnie w tej chwili, kiedy trzymał w ręku wszystkie młode pędy bambusowe, jakie tylko znalazł w zagajniku, usłyszał dalekie, ale znajome dźwięki. Słuchał przez chwilę — dźwięk ten rósł i przybliżał się — i wreszcie Hidari rozpoznał — przecież to dźwięk gongu! Widać stary bonza przy świątyni bogini Kwanon przypomina ludziom, że nadeszła pora modłów. Pobiegnął więc szybko w stronę, z której dobiegał głos gongu, i ku swojemu wielkiemu zdumieniu przekonał się, że znajdował się w pobliżu świątyni. A w jasnym świetle dnia widać było w oddali jego rodzinną wioskę. Pobiegnął więc szybko, najszybciej, jak tylko mógł, i wkrótce znalazł się na progu domu. Zdyszany, zatrzymał się na chwilę, nasłuchując: — wewnątrz domku panowała cisza. Matka spała.

Kiedy dobra Nobuko obudziła się z ciężkiego snu, wzrok jej padł przede wszystkim na Hidari. Klęczał przy niej trzymając w dłoniach miseczkę z jakimś parującym napojem.

— Wypij, mamó — prosił chłopiec — wypij! To jest lek, który ci pomoże i wyleczy cię. Tak powiedział stary bonza ze świątyni bogini Kwanon.

Nobuko ujęła w drżące z osłabienia ręce miseczkę i wypłała jej zawartość.

— Co to za napój, syneczku? — spytała uśmiechając się. — Ma smak i zapach wiosny. Czuję, że z każdą chwilą jestem zdrowsza.

Zacna Nobuko odzyskała zdrowie. A Hidari...

Hidari stał się najlepszym synem i najzacniejszym chłopcem w całej wsi. Gdy Nobuko była już zupełnie zdrowa i silna, powiedziała do niego któregoś dnia:

— Synku, czy nie myślisz, że powinniśmy pójść do dobrego bonzy, który doradził ci owo doskonałe lekarstwo, i podziękować mu za jego dobroć?

— Pójdziemy, może nawet zaraz — zgodził się Hidari. — Ja te: czuję, że powinienem mu podziękować nie tylko za lek dla ciebie ale jeszcze i za to, że dzięki jego dobrej radzie stałem się inny.

— 108 —

— Tak, to prawda — uśmiechnęła się Nobuko i pogłaskała głowę syna.

Ruszyli nazajutrz, wczesnym rankiem.

— Czy pamiętasz, w którą stronę należy iść? — pytała matka.

— Oczywiście — zapewniał Hidari. — Co prawda wówczas szedłem podczas ciemnej, zimowej nocy, ale chyba trafię. Wiesz, matko? Nie mogę sobie tak zupełnie dobrze przypomnieć, w którym dokładnie miejscu stała świątynia. Ale gdy będziemy w zagajniku, na pewno odnajdę drogę...

Zagajnik jednak był o wiele bardziej oddalony, niż to się Hidari wówczas w nocy wydawało. I wyglądał jakoś zupełnie inaczej.

— To pewnie dlatego, że wtenczas szedłem w nocy i zimą — tłumaczył matce chłopiec. — Ale zaraz, tak jakcś za zakrętem na lewo wiedzie droga do świątyni.

Lecz kiedy Hidari i jego matka wyszli z zagajnika, przekonali się, ku swemu wielkiemu zdumieniu, że nie ma tam żadnej świątyni, a spotkani ludzie zapewniali ich, że nigdy nie mieszkał w tych stronach żaden bonza.

— Ale przecież pamiętam doskonale: jakieś drzewo wskazało mi drogę do świątyni, gdzie był bonza, który potrafi pomagać chorym ludziom... — rozważał Hidari.

— Może to był dobry duch leśny — powiedziała zacna Nobuko. — W każdym razie zawdzięczam mu nie tylko zdrowie, ale dobrego, rozsądnego i kochającego syna...

CZARNY KOŃ

(Baśń japońska)

Historia ta jest tak dawna, że nikt już dziś nie pamięta, jak nazywała się miejscowość, w której wszystko to się wydarzyło. W każdym razie wiadomo, że mieszkańcom tej okolicy powodziło się wcair nieźle w owych bardzo dawnych czasach. Grunty były tam żyzne zbiory coroczne pomyślne, a w sadach nie brakowało owoców i pięknych kwiatów. Tak że nawet pewien miejscowy mądrali niejaki Minuro, który zawsze komuś

albo czemuś miał coś do zarzucenia — nie miał okazji do narzekania.

Nic więc dziwnego, że tamtejsi mieszkańcy mogli pomyśleć o ■
kiej rzeczy, jak odnowienie i ozdobienie starej, niegdyś piękne
świątyni.

Kiedy więc któregoś dnia rozeszła się wieść, że w okolicy prze-
bywa jakiś malarz, mądrała Minuro orzekł stanowczo:

— Zaprosimy go, aby zechciał ozdobić naszą świątynię.

Młodego malarza spotkali wśród pobliskich pól, gdy
mistrzowskimi dotknięciami swego pędzla utrwał piękno
zagajnika bambusowego. Minuro rezolutnie odezwał się do
artysty:

— 110 —

— Czy nie zechciałbyś jakimś wspaniałym dziełem swego
ogromnego talentu ozdobić jedną ze ścian w naszej świątyni?

— Być może, że namaluję coś dla was — zgodził się po chwili
namysłu młodzieniec.

Co miało być odtworzone na malowidle przeznaczonym dla
świą-r.ni — wszyscy bardzo długo zastanawiali się nad tym.
Jedni upie--ali się, aby był to widok Fudzijamy *, inni
twierdzili, że raczej powinien to być wizerunek srogiego tygrysa
wśród młodych pędów bambusowych, jeszcze ktoś upierał się
przy namalowaniu kwitnącego irzewka wiśniowego lub krzewu

chryzantem. Ale jak zawsze mądra-■ Minuro rozstrzygnął wszystkie spory:

— Ponieważ nasz czcigodny i wiekowy koń, który do niedawna jeszcze przebywał w pobliżu świątyni i pasł się na otaczających ją Tawnikach, obecnie pasie się już na szmaragdowych łąkach w krainie cieni — przeto najbardziej chyba pragnęliśmy mieć wizerunek pięknego, karego rumaka o szlachetnym wyglądzie, przypominającego żywego konia.

— Zgoda — odpowiedział malarz — bardzo chętnie maluję konie. Nazywam się Kanaoka. Czy przypadkiem nie słyszeliście już «uedy mego imienia?

— Być może, że słyszałem — mruknął lekceważąco Minuro — ale mimo to czy aby na pewno potrafisz namalować dość dobrze naszego czarnego konia? Jesteś bowiem, mistrzu, niewątpliwie utalentowanym, ale jeszcze bardzo młodym człowiekiem.

— Bądź spokojny, czcigodny Minuro, postaram się najlepiej namalować waszego rumaka. Będzie jak żywy — skromnie zapewniał artysta.

Następnego dnia mistrz zabrał się do pracy. Na podłużnym płacie jedwabiu, który miał zawisnąć na jednej ze ścian świątyni, pod dotknięciem pędzla artysty powstawał niezwykle piękny obraz.

Opowiadali potem ludzie, że mistrz Kanaoka błękitną farbę czerpał prosto z błękitu nieba, zieloną zgarniał pędzlem ze świeżej szmaragdowej trawy, a zamiast farby żółtej chwycił pędzlem światło słoneczne. Mówili też, że czarny tusz, którym nakreślił sylwetkę konia, przygotował artysta podczas nocy, aby tusz był tak czarny, ak czarna jest noc.

Kto by zresztą doszedł prawdy w tych opowiadaniach! Dość że jzieło było wkrótce skończone i kakemono — piękne malowidło

— 111 —

na długim płacie jedwabiu — zawieszono na jednej ze ścian świątyni.

— Wspaniały koń — pochwalił Minuro — ale zawsze nie to. co żywy.

— Starąłem się, aby był jak żywy — odpowiedział skromnie malarz. — Przypuszczam, że będziecie zadowoleni — dodał z uśmiechem. I odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty, oddalił się, zabierając swoje przybory do malowania.

— O, został jeszcze jeden pędzel w wiaderku z farbą — zauważyło naraz któreś z dzieci. Ale malarz był już daleko, więc pędzel wraz z malutkim wiaderkiem pozostawiono na razie w kącie świątyni.

Przez parę tygodni przychodzili ludzie z okolicy podziwiać piękne malowidło w odnowionej świątyni. Ale wkrótce spowszedniało już wszystkim podziwianie dzieła młodego

artysty. Zresztą co innego zajmowało teraz wszystkich. W okolicy zaczęły się dziać dziwne i niebywałe rzeczy. Pierwsza przybiegła któregoś poranka z niepokojącą nowiną mała Onoi, której rodzice mieszkali tuż pod lasem.

— Czy wiecie — wołała już z daleka — że w nocy ktoś zerwa! wszystkie płatki z wiśniowych drzewek w naszym sadzie?

— Ee, po cóż by je ktoś miał zrywać — odezwała się jedna z kobiet — może po prostu opadły lub strącił je wiatr.

— Kiedy mówię wam, że je zerwano! — upierała się Onoi. — Zerwano i skradziono!

— Skradziono? — zdumiewali się wszyscy.

— Tak! Skradziono! — powtórzyła dziewczynka. — Bo gdyby je strącił wiatr, to pod drzewami leżałyby płatki kwiatów. A tymczasem pod drzewami nie ma ani jednego nawet płateczka. Tylko trawa jest podeptana!

Nazajutrz stary Kisaki przybiegł do sąsiadów z równie dziwaczna i niepokojącą wieścią: podczas księżycowej nocy zniknęły wszystkie kwiaty z jego krzewów różanych. Niesłychane zuchwalstwo!

Ale jeszcze nie skończył swego opowiadania, gdy nadbiegła sąsiadka Kurobe wołając, że oto ubiegłej nocy zerwano w jej ogrodzie wszystkie najpiękniejsze kwiaty.

— Te właśnie najładniejsze, te, które dopiero rozwinęły się z pączków — biadała zapłakana sąsiadka Kurobe.

I odtąd co noc jakiś nieznany rabuś kradł z ogrodów najpiękniejsze kwiaty i niszczył trawę na najlepszych łąkach.
„Któż to

— 112 —

rvmcza-

iwaczn

■ЛИНЕТЕ

I 3U0J15 a

lus nqz- .

VJBIUBG? ■

3z0j III;..

OU 3MOSŁi

).\Z3is>{ ?;:

?ZS9JA\ Z| JAMIZO ?III

IW 3iv

?Z '39TZ7

ΦЭ —

"AJ Z. Zi<J —

azs 3>[m

'S9ZS{Bp Z >{ -I01€ШТ I 3иц3ц?

i z mszBz noipo

III ЭШЦГ

IN —

ZDBZ AZ?"

v —

qsj Xше; Auiistijj

;N —

inuijAJ

u '>[oms

[N —

Э —

A\OUZ y

» BJA"ZZ

iofo>[od щершм ^q эгош

- :ze być?" — zastanawiali się wszyscy. Mała Onoi co prawda opo-adała, że gdy w księżycową noc stanęła na progu domu zaniepokojona jakimiś szmerami w ich ogródku — to najpierw zoba-:yia wielki, czarny cień, a potem słyszała jakby

lekki tętent. Ji znów gadatliwa Kimi twierdziła, że jest to na pewno smok.

— Gdy odsunęłam w nocy ścianę mego domku, ujrzałam co prażą tylko jego ogon! — zapewniała Kimi, — Ale ogon był smoczy!

— Nie — mówił na to stary Kisaki — głowę dam, że to nie ~.ok, tylko wielki niedźwiedź.

Minuro, słysząc te opowiadania, wzruszał tylko ramionami.

— Nic nie wiadomo, dopóki nie sprawdzi się na własne oczy. Musimy przekonać się sami. A przekonamy się wtedy, kiedy schwy-

Itamy rabusia. Kto z was będzie razem ze mną czuwać w nocy?

— A może jest to jednak naprawdę smok! Ze smokami nie należy zaczynać... — ostrożnie zauważył gruby mąż sąsiadki Kurobe.

— Nie zmuszam cię wcale, byś czuwał razem ze mną — pogar-;j'wie mruknął Minuro, — No, kto zgłasza się na ochotnika?

Ochotników było wielu i w najbliższą noc księżycową Minuro razem z towarzyszami ukryli się w pobliżu pięknej łąki, szczególnie chętnie i często nawiedzanej przez nieznanego rabusia. Tym razem imator kwiatów nie zjawił się. i Minuro już, już miał zrezygnować z dalszego czuwania, gdy naraz rozległ

się lekki tętent i przez po-ankę szybko jak strzała przemknął jakiś cień.

— Przysięgnę, że to był koń — szepnął jeden z towarzyszy Minury.

— Gdzie tam! — obruszył się inny. — Chciałeś chyba powiedzieć, że to przeleciał ogromny ptak!

Ale Minuro nic nie widział i jeszcze przez siedem nocy nadaremnie czuwał ukryty wraz z towarzyszami w wawrzynowym gaju. Aż wreszcie, gdy nadeszła noc ósma, ujrzeli w srebrzystej poświacie księżyca biegnącego lekko przez łąkę wspaniałego, czarnego rumaka. Jego piękna sierść lśniła jak najcenniejszy jedwab, a cienkie, rasowe nóżki ledwie dotykały trawy. Koń z cichym, wesołym rzeniem rozejrzał się wokoło, zatrzymał na małą chwilę, potrząsnął wspaniałą grzywą i skubnął nieco świeżej, soczystej trawy. Widać niezbyt smakowała mu tym razem, gdyż zaraz zerwał się i pobiegł w stronę wonnego ogrodu Sokich, gdzie właśnie rozkwitły piękne Tulipany.

Dar rzeki Fly

113 ----

— Biegnijmy za nim — szepnął Minuro. I cała gromada zaczęła się skradać w stronę ogrodu. Ale piękny koń, jakby kpiąc sobie z czatujących, przebiegł naraz szybko obok nich, trzymając w pysku świeżo zerwany tulipan.

— Następnym razem już nam nie umknie — postanowił Minuro. Był bowiem również, i uparty.

Najbliższej nocy czuwał więc znów z towarzyszami w pobliżu polany. Piękny, czarny koń i tym razem skubał soczystą trawę i zjadał wonne kwiaty. Lecz kiedy zaczął się oddalać, Minuro i jego gromadka pobiegli za nim, postanawiając schwytać piękne zwierzę. Pogoń jednak znów się nie udała, gdyż w pobliżu świątyni koń zniknął nagle, jak gdyby zapadł się w ziemię.

Minuro nie tracił mimo to otuchy.

— Nie schwytaliśmy go dziś, to schwytamy jutro — powtarzał.

I w myśl tego nazajutrz rano rozstawił czaty. Tym razem, zaledwie piękny rumak zbliżył się do ogrodu kupca Utaki, Minuro i jego towarzysze wypadli z krzaków, chcąc od razu schwytać rabusia. Koń zaś zarżał wesoło, jakby chciał zażartować ze ścigających go ludzi, przeskoczył ponad ich głowami i jak zwykle pognał w stronę świątyni.

— Chwytajcie go! — wołał zdyszany Minuro.

Doprawdy! Biegli tak blisko za koniem, że uderzały ich w twarz grudki ziemi wyrzucane kopytami pięknego zwierzęcia. Tym razem muszą go schwytać! Ale tuż w pobliżu świątyni koń nagle przyspieszył biegu i znów zniknął goniącym z oczu. Stanęli bezradni, ale jeden ze ścigających zaczął wołać:

— Widziałem na własne oczy, jak wbiegł do świątyni!

— Niemożliwe! — obruszyli się inni. — Pomieszało ci się w głowie! Koń wpadł do świątyni! — i niektórzy zaczęli się śmiać. AM Minuro poważnie potrząsnął głową.

— Powiadasz, że wpadł do świątyni?

— Ależ tak! Widziałem na pewno!

— Trzeba wobec tego przeszukać świątynię — zdecydował Minuro.

— Przeszukać świątynię! — towarzysze Minury byli zaskoczonym zuchwałym pomysłem.

— Tak, przeszukamy — potwierdził uparty i chytry Minur: I pierwszy przekroczył próg świątyni.

— 114 —

I

Ale na próżno przebiegali wszystkie zakamarki — konia nie było.

— A przecież przysięgnę na wszystkie bogi dobre i złe, że widziałem konia, gdy wbiegał do świątyni — zaklinał się ten, który :o widział.

— Tak, ale konia tu nie ma! — wzruszyli ramionami pozostali I zmęczeni kierowali się już właśnie ku wyjściu, gdy naraz jeden z nich zawołał:

— Spójrzcie na to malowidło! Koń żyje!

W istocie! Namalowany na płótnie przez mistrza Kanaokę koń drżał jeszcze w tej chwili ze zmęczenia. Jego nozdrza były szeroko rozwarte, wspaniała grzywa falowała, a na czarnej jak noc sierści ;eliły się płaty piany.

Gromada okolicznych mieszkańców stała teraz przed malowidłem, niemiała ze zdumienia.

ł Wreszcie chytry i rezolutny jak zawsze Minuro pierwszy odzyskał przytomność umysłu. — Hej! — zakrzyknął. — A to dopiero mistrz prawdziwy z tego -alarza Kanaoki. Rzeczywiście — tak jak obiecał — namalował I konia jak żywego. Ale — tu chytry Minuro zatrzymał się na chwilę.

— Ale co chcesz powiedzieć, Minuro? — zapytali ciągle jeszcze "lepomiernie zdumieni jego towarzysze.

— Ale — ciągnął dalej Minuro — Kanaoka popełnił w swym :oskonałym dziele jeden błąd!

— Jaki błąd? — dziwili się znów towarzysze. — Przecież sam Twierdziłeś, że koń jest doskonale namalowany, tak doskonale, ;e jest zupełnie jak żywy!

— Tak — uśmiechnął się chytrze Minuro — ale wobec tego Kanaoka powinien był pomyśleć jeszcze o czymś!

I tu Minuro rozejrzał się po świątyni. W kącie stało właśnie za- rztpiane przez malarza wiaderko z farbą, w której tkwił jeszcze pędzel. Minuro podszedł i ujął pędzel ze ściekającą farbą, po

czym ednym szybkim ruchem namalował, jako że farba była błękitna — riękitną smugę od szyi konia do namalowanego w głębi obrazu :rzewa.

— O tym zapomniał mistrz Kanaoka — powiedział Minuro. — Jeżeli maluje się konia, który jest jak żywy, należy go przywiązać — a teraz piękny rumak Kanaoki nie będzie już nigdy wybiegał : płótna.

mmmmm

WACHLARZ

(Baśń japońska)

Dużo jest na świecie pięknych wachlarzy, a niektóre z nich są na pewno bardzo wspaniałe i bogate. Ale żaden wachlarz w Państwie Wschodzącego Słońca nie był tak piękny, jak ten, który pewnego dnia na cesarskim dworze trzymała w swej drobnej rączce mała Mitsu.

Posłuchajcie więc baśni o Mitsu, córeczce hafciarza Thiby.
Posłuchajcie:

Kiedy wydarzyła się ta cała historia, Mitsu, córeczka starego hafciarza Thiby, nie miała więcej niż dziesięć lat.

Otóż pewnego dnia, kiedy Mitsu podlewała jak zwykle kwiaty w swoim małym, otoczonym bambusowym płotkiem ogródku, naraz usłyszała jakieś krzyki. Wyjrzała więc przez niski płotek i

zobaczyła trzech urwisów, którzy pochyleni nad czymś chichotał: i wrzeszczeli:

— Patrz! Patrz, "jak się niezgrabnie grzebie! Daj mu prztyczka! Widzicie? Złoty proszek osypuje mu się ze skrzydeł!

Mitsu szybko podreptała w stronę furtki, stukając drewnianym: sandałkami po wykładanej kamykami ścieżce. Chłopcy odwrócili się.

116

s

c s he

w

Pi?

— Czego tu chcesz?! — wrzasnęli. — Idź sobie!

Ale Mitsu dostrzegła w tej chwili, że jeden z nicti trzyma w ręku trzepoczącego się motyla. Powiedziała więc:

— Proszę, puście go. Przecież możecie zrobić mu krzywdę! Dwaj chłopcy zawstydzili się trochę — widać nie byli jeszcze

:acy bardzo niedobrzy. Ale trzeci — Mitsu poznała go od razu — był to syn bogatego handlarza, gruby Kiso. I to właśnie ten trzeci chłopak trzymał biednego motyla w swych brudnych palcach. ■V dodatku wykrzywił się obrzydliwie.

— Tak się litujesz nad motylem? No, to jeśli jesteś taka dobra, :o wyciągnij go teraz ze strumienia!

I gruby Kiso z obrzydliwym chichotem wrzucił biednego motyla do przepływającego obok potoku. Nie był to bardzo duży potok, ale za to tak szybko przelewał po kamkach swą srebrzystą i lodo-watozimną wodę, jakby się nieustannie śpieszył. Mitsu na nic jednak nie zważała. Szybko zrzuciła z nóg swoje drewniane sandaalki I weszła do strumyka. Ostre kamyki boleśnie raniły jej stopy, a wartko płynąca woda unosiła motyla coraz dalej i dalej. Więc jeszcze jeden krok i jeszcze jeden po oślizłych kamieniach i wreszcie motyl jest ocalony!

Wydobywszy się na brzeg Mitsu pobiegła teraz prędko do swego ogródka, pełna obawy, aby niedobry Kiso nie dogonił jej. Zadyszana, zatrzasnęła furtkę i przystanąła na ścieżce, przyglądając się z niepokojem motylowi, który nieruchomo leżał na jej dłoni.

— Może już nie żyje — zmartwiła się.

Ale ciepłe promienie słońca wysuszyły szybko zmoknięte skrzydełka biedaka — widać odzyskał już nieco sił, gdyż lekko poruszył :apkami.

— Śliczny motylku — powiedziała wobec tego Mitsu — wyprostuj swobodnie nóżki i nie bój się. Nie dam ci zrobić krzywdy. Zły chłopak Kiso starł swymi grubymi palcami złocisty pył z twoich skrzydełek. Ale być może, że promienie słońca przywrócą im dawne barwy i złocistość. Posadzę cię na

najpiękniejszym kwiatku •v moim ogródku, abyś mógł wypocząć i posilić się!

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy naraz otoczyła ją chmara najpiękniejszych motyli, jakie kiedykolwiek widziała. Wirowały nad nią coraz niżej, poruszając bezszelestnie barwnymi, mieniającymi się w słońcu skrzydłami, a niektóre siadały na jej ramionach, na

— 117 —

ach Matogo

włosach, n& sze.rokich rękawaCtt RIUUJ""*
cVr7

di^Ae^NC-zrynWL, na Której siedział poruszając teraz IekKO
Sis.1 i-j

uratowany motyl — pr2.ys\a&\ &rugv.

Był znacznie większy od innych motyli. Jego szafirowe skri* usiane były mieniającymi się, złotymi cętkami, a na małych złe: rożkach drżały błyszczące jak diamenty — krople rosy. A ~ zresztą były to prawdziwe diamenty? Piękny motyl poruszył sk_ -dłami i naraz, ku wielkiemu zdziwieniu Mitsu, odezwał się do cichym i pięknym głosem, który przypominał szelest naić, - niejszego jedwabiu:

— Mitsu, mała Mitsu, uratowałaś życie jednemu z moich i szych braci...

— Nie dokonałam niczego wielkiego — odpowiedziała s»r Mitsu.

— Jesteś dobra — stwierdził motyl. — Jesteś dobra wszystko, co cię otacza: kwiaty, motyle, ptaki, zwierzęta i '..

— Tego mnie uczył mój czcigodny ojciec — szepnęła л-

— Chciałbym... — głos motyla stawał się coraz pa Dźwięczał teraz jak brzęczenie najmniejszych srebrnych ków — chciałbym razem z moimi braćmi odwdzięcz i co uczyniłaś...

— Nie zrobiłam tego dla nagrody, przecież chyba «■

— Wiem, wiem — przerwał niecierpliwie motyl — . może chciałabyś otrzymać coś pięknego.

Mitsu roześmiała się, poruszając przecząco s^: główką. Potem trochę niezgrabnie przysiadła w i pełnym szacunku ukłonie.

— Dzięki ci za wszystko, czcigodny motylu. Pn* ogródek i niczego więcej nie pragnę oprócz teg: bracia zechcieli przylatywać tu i odpoczywać na rwa z nich świeżą rosę. Zdaje mi się, że jest to najpidh czystsza rosa pod słońcem.

— Będzie, jak tego pragniesz — zaszemrał —•:• delikatnym jak szelest jedwabiu. — Będzierr.. wiedząc w twym ogródku. A teraz żegnaj. M:is_

I motyl uniósł się do góry, a wraz z nim te::: »:; liła życie, i wszystkie inne motyle.

— Żegnaj — szepnęła w odpowiedzi Mitsu

— 118 —

włosach, na szerokich rękawach kimona. Na wyciągniętej dłoni dziewczynki, na której siedział poruszając teraz iekko skrzydełkami uratowany motyl — przysiadł drugi.

Był znacznie większy od innych motyli. Jego szafirowe skrzydła usiane były mieniącymi się, złotymi cętkami, a na małych złotych rożkach drżały błyszczące jak diamenty — krople rosy. A może zresztą były to prawdziwe diamenty? Piękny motyl poruszył skrzydełkami i naraz, ku wielkiemu zdziwieniu Mitsy, odezwał się do niej cichym i pięknym głosem, który przypominał szelest najdelikatniejszego jedwabiu:

— Mitsy, mała Mitsy, uratowałaś życie jednemu z moich najmłodszych braci...

— Nie dokonałam niczego wielkiego — odpowiedziała skromna Mitsy.

— Jesteś dobra — stwierdził motyl. — Jesteś dobra i kochasz wszystko, co cię otacza: kwiaty, motyle, ptaki, zwierzęta i ludzi...

— Tego mnie uczył mój czcigodny ojciec — szepnęła Mitsy.

— Chciałbym... — głos motyla stawał się coraz piękniejszy; Dźwięczał teraz jak brzęczenie najmniejszych srebrnych

dzwoneczków — chciałbym razem z moimi braćmi odwdzięczyć ci się za :: co uczyniłaś...

— Nie zrobiłam tego dla nagrody, przecież chyba wiesz o tym.

— Wiem, wiem — przerwał niecierpliwie motyl — ale powieci może chciałabyś otrzymać coś pięknego.

Mitsu roześmiała się, poruszając przecząco swą ciemnowłc:^ główką. Potem trochę niezgrabnie przysiadła w dziękczynn; ~ i pełnym szacunku ukłonie.

— Dzięki ci za wszystko, czcigodny motylu. Przecież mam swój ogródek i niczego więcej nie pragnę oprócz tego, abyś ty i tw: bracia zechcieli przylatywać tu i odpoczywać na kwiatkach, i p;; z nich świeżą rosę. Zdaje mi się, że jest to najpiękniejsza i na -czystsza rosa pod słońcem.

— Będzie, jak tego pragniesz — zaszemrał motyl swym głosen delikatnym jak szelest jedwabiu. — Będziemy cię codziennie oc wiedząc w twym ogródku. A teraz żegnaj, Mitsu!

I motyl uniósł się do góry, a wraz z nim ten, któremu Mitsu oq liła życie, i wszystkie inne motyle.

— Żegnaj — szepnęła w odpowiedzi Mitsu. A kiedy spojrzą.

tej dłu r ydełkar:

skrzyć; i ri zło ty er

A nuta ył skrr: ę do nic ajdełika:-

ch młoc-

skromnic

kochasz idzi... [itsu. ękniesz zwonec:-się za :

sz o ty—

powiedz-

mno włos

itczynn; ■'.

am swój

" i twoi h, i pić a i naj-

głosem nnie od-

itsu oca-

pojrzała

:a swój ogródek, zauważyła ze zdziwieniem, że wszystkie kwiatki na grządkach pochyliły również swe główki w ukłonie.

Odtąd codziennie, kiedy Mitsu, córeczka hafciarza Thiby, wylęgała do swego małego ogródka, unosiły się wokół niej

różno-?arwne, mieniące się złociście w słońcu motyle. Siadały na pachnących piwoniach i aksamitnych różach, piły rosę z kielichów pokoju lub też odpoczywały na ramionach Mitsu i na jej czarnych, śniących włosach.

— Ohoo! Ohoo! — wołała wtedy wesoło Mitsu. Pewnego jednak dnia, kiedy Mitsu podlewała kwiaty, jej mała -ęka drżała, a kiedy wołała swoje zwykłe powitalne: Ohoo! Dhoo! — głos jej brzmiał inaczej niż zwykle. Potem stukając zrewnianymi sandałkami pobiegła do domu.

Mitsu przystanąła na chwilę na progu izby, aby zdjąć sandały, _ próbowała uśmiechnąć się. Gdy weszła już do wnętrza, w którym siedział przy oknie czcigodny stary hafciarz Thiba — głos jej iżwięczał zupełnie pogodnie. Przyklękawszy przy starcu Mitsu szepnęła:

— Jak się teraz czujesz, mój czcigodny ojciec? Czy ciemność, stora zasnęła twoje mądre i dobre oczy, przeminęła już nieco?

Starzec poruszył się, zwracając porysowaną zmarszczkami twarz b stronę dziewczynki.

— Czy płakałaś, Mitsu? — spytał niespokojnie.

— Rosa dziś była tak obfita, ojciec — odpowiedziała Mitsu — a motyle unosiły się nad kwiatami i mieniły się w słońcu wszystkimi narwami...

— Haftowałem niegdyś piękne motyle — szepnął żałośnie Thiba.

— Przecież na jedwabnej zasłonie, którą zacząłeś haftować, obok gałązki kwitnącej wiśni zaznaczyłeś kontury unoszącego się motyla. ..

— Tak, tak, miałem zamiar wyhaftować nawet trzy motyle — ożywił się starzec, ale zaraz dodał ze smutkiem: — Nie wiem doprawdy, czy potrafię jeszcze odmalować w mym hafcie barwy i lekkość skrzydełek twoich małych przyjaciół.

— Och, czcigodny mój ojcze! Co mówisz? Ty nie potrafisz? Ty? Najsławniejszy hafciarz w całym państwie wielkiego mikada? * Przecież wszyscy naokoło mówią, że nie ma większego mistrza nad Thibę. Przecież twoje hafty zdobią pałac władcy!

119

— Tak, tak — wyszeptał Thiba, — Tak, tak, (Mitsu, oczywiście. Ale jest w tym również nieco przesady. Jestem tylko skromnym, starym człowiekiem, który nieudolnie usiłuje oddawać piękne otaczającej nas natury.

Drżącymi, starczymi dłońmi zakrył twarz.

— Trzeba, ojcze, abyś na oczy, które tak wiernie pomagają zwinnym twoim rękom, przykładał płatki płócienne, umaczone w leku przepisany przez mądrego lekarza z miasta... Zaraz podam ci lekarstwo...

I Mitsu szybko podniosła się, aby przynieść lek. Na próżno jednak przechylała mały flakonik — nie było w nim ani jednej kropli..

— Ojczy, pójdę do miasta i kupię znów lekarstwo. Thiba pochylił smutnie głowę.

— Moja dobra, mała Mitsu — nie możesz kupić lekarstwa. Nie mamy już pieniędzy. Chyba że bogaty handlarz jedwabi, Okinoro. dla którego haftowałem odświętne suknie, zechce oddać choć część tej sumy, jaką miał mi wypłacić. To skąpy i okrutny człowiek Ale być może, otrzymasz od niego cokolwiek...

— Będę go bardzo prosić.

— Tak, tak, proś go. Przecież zapracowałem te pieniądze uczciwie. Wyhaftowałem na jego szacie chryzantemy, piękne, jesienne chryzantemy. Przypomnij mu to...

— Dobrze, ojczy. Może kupiec Okinoro nie będzie miał twardego serca... — I Mitsu wdziała pośpiesznie swoje drewniane sandały, i pobiegła wykładaną kamieniami ścieżką, która wiodła:.. prosto w stronę miasta.

Gdy już znalazła się wśród wąskich ulic, zdawała się nie spostrzegać barwnych straganów, pełnych ciekawych przedmiotów nie zatrzymywała się przed sklepami, w których kupcy powykładał najpiękniejsze jedwabie, i obojętnie mijała handlarzy wonność: nie spojrzała nawet na przekupnia

klejnotów, który zachęcał przechodniów do kupna misternych srebrnych kolczyków i błyszczących szpilek, tak pięknie ozdabiających wysoko uczesane włosy Mitsu przedzierała się przez tłum, wystraszona gwarem miejskim i tylko od czasu do czasu pytała przechodniów o ulicę Świeżego Poranka, gdzie znajdował się dom kupca Okinoro. Wtem usłyszała jakiś hałas i zauważyła, że ludzie biegną w stronę, skąd ten hałas pochodzi.

— Co się

— Nie w: rządzenie na

— Pójdę Powtórzę poi bo powie urt

Kiedy zdołał się, że s

— Co mów "ie zdołali dc

— Syn Nie "ze najzdolnie itawi najpiękni - wysokie wyr

— Najzdo! smutniała. Przerażony wachlan

eh srebrny ci boi grubego i raz, kiedy prz;

Mitsu wycofał się ~3 że być ta u Jsinoro?

Nieśmiało i

Wreszcie od - ekny, w ogródki muzyki

— Czego tu widocznie sę

— Chciałam I grzecznie s;

— Widzieć s rząco służący

słyszysz, że

— Ale on wij - . za. pracę... n L^imy lekarstw

120

— Co się tam dzieje? — spytała jakiejś młodej kobiety.

— Nie wiesz? To urzędnik mikada obwieści zaraz jakieś rozpo-• radzenie naszego władcy.

— Pójdę wobec tego i tei posłucham — postanowiła Mitsu. — Powtórzę potem mojemu czcigodnemu, kochanemu ojcu wszystko, co powie urzędnik.

Kiedy zdołała wreszcie dotłoczyć się do urzędnika mikada, okazało się, że skończył już czytać rozporządzenie.

— Co mówił, co mówił? — pytali ci, którzy nic nie słyszeli, gdyż nie zdołali dopchać się dosyć blisko.

— Syn Niebios rozkazał, aby za trzy dni zjawili się na jego dwo--ze najzdolniejsi artys'ci — malarze i hafciarze. Kto z nich przedstawi najpiękniejszy wachlarz, ten otrzyma tytuł nadwornego artysty i wysokie wynagrodzenie pieniężne.

— Najzdolniejsi hafciarze? — ucieszyła się Mitsu. Ale zaraz posmutniała. Przecież jej biedny ojciec nie będzie mógł wyhaftować ~eraz wachlarza. A ona musi przede wszystkim zdobyć trochę mai/eh srebrnych pieniążków na kupno lekarstwa. ĩ tak bardzo się Doi grubego i zawsze gniewnego kupca

Okinoro. Widziała go już :az, kiedy przyjechał do ojca, aby zamówić hafty.

Mitsu wycofała się szybko z tłumu i rozejrzała się — gdzie to może być ta ulica Świeżego Poranka, przy której mieszka kupiec Dkinoro?

Nieśmiało i cichutko zaczęła rozpytywać przechodniów.

Wreszcie odnalazła duży, bogaty dom. Wydał się jej bardzo ?:ękny, w ogrodzie wisiały lampiony, a z głębi domu dobiegały iżwięki muzyki. Ktoś śmiał się wesoło i srebrzyście.

— Czego tu szukasz? — naraz wrzasnął jej ktoś nad uchem. Był :o widocznie służący kupca.

— Chciałam widzieć się z czcigodnym kupcem Okinoro — bar-;zo grzecznie szepnęła Mitsu.

— Widzieć się z czcigodnym kupcem Okinoro — powtórzył irwiąco służący — żądasz, dziewczyno, rzeczy niemożliwej. Czy

:e słyszysz, że czcigodny kupiec Okinoro przyjmuje" w tej chwili łOŚci?...

— Ale on winien jest pieniądze mojemu ojcu. Pieniądze należą e za pracę... mój ojciec jest chory, mój ojciec oślepie, jeśli nie vjpimy lekarstwa — zaczęła tłumaczyć Mitsu.

— Co to za dziewczyna skamle jak kopnięty psiak?

Mitsu przygięła jeszcze bardziej swą małą postać w pełnym szacunku ukłonie.

— O mądry i czcigodny panie Okinoro! Czy przypominasz sobie mego ojca, hafciarza Thibę! Haftował dla ciebie...

Ale bogacz spojrział srogo.

— Precz z mych oczu, nędzna żebraczko!

— Nie jestem żebraczką! — krzyknęła żałośnie Mitsu. — Jestem córką hafciarza Thiby, któremu nie zapłaciłeś, panie, za jego prace. Mój ojciec jest chory i potrzebne nam są pieniądze na lek: O, zwróć chociaż część, daj mi, panie, choć jeden srebrny pieniążek!

— Precz! — powtórzył jeszcze raz bogacz. — Precz! — aż ochrypnął od wrzasku. — Precz! — powtarzał. — Poszczuję cię psarc:

Mitsu, stuliwszy drobne ramiona, przypadła do ściany domu. „A może — pomyślała — bogaty pan Okinoro zapomniał o pieniądzach, które był winien memu ojcu? Może uspokoi się za chwilkę i będzie można przypomnieć mu o wszystkim”.

Ale zanim Mitsu zdążyła to pomyśleć, usłyszała ujadanie pszczy. Słychać je było coraz bliżej i bliżej, zaraz rzucą się na nią!...

Drżąc z lęku Mitsu szybko zaczęła biec tonącą już teraz w mroki, ulicą Świeżego Poranka. Zaczął padać deszcz i drobne,

lecz gęś": krople przemoczyły cienkie kimono dziewczynki, a uciekając zgubiła swoje drewniane sandaalki.

Boso, przeziębnięta i zmęczona wróciła do domu. Kiedy uchylła zasłony przy wejściu do izby, w której zazwyczaj pracowała Thiba, zobaczyła w pełgającym blasku oliwnej lampki, że ojciec zasnął przy krosnach.

— O mój biedny, czcigodny ojciec — szepnęła z szacunkiem i miłością otarłszy szerokim rękawem kimona swą twarzyczkę, ręką od deszczu i łez, przyklękła przy starym hafciarzu.

— To ty, Mitsu? — spytał niespokojnie, budząc się.

— Tak, to ja...

— To dobrze, że jesteś, córeczko. Byłem o ciebie niespokojny. Dobra sąsiadka Omino przyszła i zapaliła lampkę...

— Jak się czujesz, mój ojciec, czy bolą cię oczy, które dotychczas tak wiernie pomagały twym zwinnym rękóm?

— O, mam nadzieję, że jeśli użyję lekarstwa, wzrok mój będzie

122

— Co to za dziewczyna skamle jak kopnięty psiak?

Mitsu przygięła jeszcze bardziej swą małą postać w pełnym szacunku ukłonie.

— O mądry i czcigodny panie Okinoro! Czy przypominasz sobie mego ojca, hafciarza Thibę! Haftował dla ciebie...

Ale bogacz spojrział srogo.

— Precz z mych oczu, nędzna żebraczko!

— Nie jestem żebraczką! — krzyknęła żałośnie Mitsu. — Jeste-córką hafciarza Thiby, któremu nie zapłaciłeś, panie, za jego pra^T Mój ojciec jest chory i potrzebne nam są pieniądze na lek: O, zwróć chociaż część, daj mi, panie, choć jeden srebrny pieniążek!

— Precz! — powtórzył jeszcze raz bogacz. — Precz! — aż ochrypl od wrzasku. — Precz! — powtarzał. — Poszczuję cię psair

Mitsu, stuliwszy drobne ramiona, przypadła do ściany doir._ „A może — pomyślała — bogaty pan Okinoro zapomniał o pieniądzach, które był winien memu ojcu? Może uspokoi się za chw.; i będzie można przypomnieć mu o wszystkim".

Ale zanim Mitsu zdążyła to pomyśleć, usłyszała ujadanie psów Słysząc je było coraz bliżej i bliżej, zaraz rzucą się na nią!...

Drżąc z lęku Mitsu szybko zaczęła biec tonącą już teraz w mrok* ulicą Świeżego Poranka. Zaczął padać deszcz i drobne, lecz gęs^r krople przemoczyły cienkie kimono dziewczynki, a uciekając zg_-biła swoje drewniane sandały.

Boso, przeziębiona i zmęczona wróciła do domu. Kiedy uchylić zasłony przy wejściu do izby, w której zazwyczaj pracowała Thiba, zobaczyła w pełgającym blasku oliwnej lampki, że ojciec zasnął przy krosnach.

— O mój biedny, czcigodny ojciec — szepnęła z szacunkiem i miłością otarłszy szerokim rękawem kimona swą twarzyczkę, mikrą od deszczu i łez, przyklękła przy starym hafciarzu.

— To ty, Mitsu? — spytał niespokojnie, budząc się.

— Tak, to ja...

— To dobrze, że jesteś, córeczko. Byłem o ciebie niespokoi: Dobra sąsiadka Omino przyszła i zapaliła lampkę...

— Jak się czujesz, mój ojciec, czy bołą cię oczy, które dotychczas tak wiernie pomagały twym zwinnym rękóm?

— O, mam nadzieję, że jeśli użyję lekarstwa, wzrok mój będzie

— 122 —

\

niniejszy i ból przejdzie zupełnie. Za pieniądze, które dał ci Okinoro...

— Nie, nie, mój czcigodny ojciec. Okinoro nie dał mi dziś żadnego pieniążka. Ale na pewno zapłaci nam, tylko nie zaraz...

— Nie zaraz... — powtórzył ze smutkiem hafciarz. — Za co *ięc kupimy lekarstwo, które złagodzi ból moich starych oczu, Jakże będę mógł teraz pracować, córko?

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, ojcie — szeptała Mitsu rumiąc łzy. — Zobaczysz...

Napojony przez córkę herbatą, hafciarz Thiba zasnął wreszcie na swej ubogiej macie. Mitsu przysiadła przy nim i delikatnie pogłaskała pracowite dłonie ojca. Starzec westchnął przez sen tak załśnie, że serce biednej, małej Mitsu ścisnęło się boleśnie. Przytomniała sobie ogłoszenie mikada o najpiękniejszym wachlarzu : zrobiło się jej jeszcze smutniej. O, czemu ona sama nie umie jeszcze haftować dość pięknie! Ale jej czcigodny ojciec na pewno po--afiłby wykonać arcydzieło, które zachwyciłoby mikada i cały :wór... Stroskana, zasnęła wreszcie.

Nazajutrz jak zwykle wybiegła wczesnym rankiem do swego ma-;ego ogródka, otoczonego bambusowym płotkiem. Jak zwykle podawała starannie grządki kwiatów i jak co dzień różnobarwne motyle siadały na błyszczących od rosy płatkach, na rękach i ramionach Mitsu i na jej czarnych, lśniących włosach.

— Mitsu — usłyszała naraz znany już, delikatny jak szelest edwabiu głos. Na jej ramieniu siedział ów wielki, szafirowozłoty motyl, najpiękniejszy ze wszystkich motyli.

— Mitsu — powtórzył — to, co błyszczy na twych czarnych jak noc rzęsach, nie jest przecież poranną rosą. To są łzy, Mitsu, łzy, które zraszają rzęsy i policzki dzieci i dorosłych, gdy jest im smutno i źle. Mitsu, dobra Mitsu, czy nie możesz mi powiedzieć, czemu srebrna rosa błyszczy dziś na twych rzęsach i spływa po twarzyczce i barwie płatków róży herbacianej?

Dzielna Mitsu na próżno usiłowała rozchylić blade wargi w uśmiechu, który miał być beztroski.

— O Mitsu — szeleścił jedwabieście szafirowy motyl — twój jśmiech jest pełen smutku. Powiedz mi, co cię dręczy.

— Mój czcigodny ojciec... — zaczęła mówić dziewczynka. Kiedy barwna jak płatki kwiatów chmura motyli odlatywała

— 123

z ogródka, szafirowozłoty motyl zaszeleścił raz jeszcze nad główką Mitsu.

— Pamiętaj, co masz uczynić, mała Mitsu!

Kiwnąwszy zgodnie główką, dziewczynka spieszenie pobiegła do ojca. Siedział znów przy krosnach, a słysząc kroki córki odwrócił w jej stronę twarz o niewidzących oczach.

— Mitsu, córeczko! Nie mogę dziś pracować! Nie odróżniam barw jedwabiu. Nie mogę przed tobą dłużej ukrywać, że ślepnę coraz bardziej. O, gdyby Okinoro zechciał zwrócić choć część pieniędzy na kupno lekarstwa...

— Ojcie — szepnęła Mitsu — ojcie, posłuchaj mnie. Jutro o świcie wyruszymy w drogę. Włożysz swoje najlepsze kimono i staniami przed obliczem samego mikada i jego dworu.

— O nieba! Przed obliczem mikada? — Czcigodny Thiba by: przerażony. — Po cóż mamy tam pójść, moja mała Mitsu?

— Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ojcie, ale wczoraj, kiedy byłam w mieście, ogłoszono rozkaz naszego władcy, który zezwala. aby w dniu jutrzejszym zgłosili się do jego pałacu najlepsi hafciarze i inni artyści i przedstawili wobec dworu najpiękniej wykonane wachlarze.

— Przecież nie wyhaftowałem ostatnio żadnego wachlarza! O, biada nam, ściągniemy tylko na siebie gniew władcy! Wszystkie wachlarze, jakie kiedykolwiek wyhaftowałem, znajdują się u bogaczy, na których zamówienie je wykonywałem. Nie możemy pójść. Mitsu, do pałacu mikada.

— Zaufaj mi, ojcie — prosiła dziewczynka.

I na drugi dzień, wczesnym rankiem, kiedy jeszcze słońce, uśpione za zasłoną z białej mgły, świeciło słabo jak lampion, a zbudzone ptaki ćwierkały zdumione krzątaniem, Mitsu wyszła z domu, prowadząc odświętnie przybranego ojca.

Sama miała również na sobie swoje najładniejsze kimono, a piękne szerokie obi*, które należało niegdyś do jej zmarłej matki, opasywało jej szczupłą figurkę i związane z tyłu w

piękny węzeł czyniło Mitsu podobną do motyla. W rękę trzymała zwykły wachlarz z białego jedwabiu.

W pałacu pełno już było ludzi. Ze wszystkich stron Państwa Wschodzącego Słońca przybyli hafciarze i inni artyści, a bogate ubrany urzędnik na długim zwoju jedwabistego papieru zapisywał:

— 124 —

małym pędzelkiem nazwiska przybywających. Wkrótce uderzenie gongów oznajmiło przybycie władcy.

Drugie uderzenie gongów oznaczało rozpoczęcie wyboru najpiękniejszego wachlarza.

Sam minister, z długiego zwoju pergaminu wyczytywał kolejno imiona zgłaszających się artystów. Słysząc było szelest rozwijanych wachlarzy i okrzyki zachwytu. Były tam wachlarze haftowane w kwiaty, które zdawały się wonieć, tak były świeże i barwne; były wychlarze, na których czaiły się do skoku malowane tygrysy; były wachlarze, na których widoczne były barwne ptaszki i gałązki kwitnącej wiśni; były wachlarze rzeźbione w kości słoniowej i wachlarze zdobione cennymi kamieniami. Patrząc na te wszystkie wspaniałości, Mitsu poczuła lęk i zapragnęła jak najszybciej znaleźć się znów w swym ogródku, z dala od tego wspaniałego dworu.

„Co to będzie?” — zadawała sobie pytanie.

Naraz usłyszała nazwisko swego ojca wyczytane przez ministra:

— Hafciarz Thiba!

Prowadząc ojca wśród tłumu dworzan i samurajów stanęła wraz z nim przed tronem władcy i zwinnym ruchem rozwinęła trzymany w dłoni wachlarz.

— Nic na nim nie ma! — szepnęli ze zdumieniem ci, którzy stali w pobliżu. A inni, którzy stali dalej, zaczęli wspinać się na palce, aby również dojrzeć wachlarz, na którym nic nie było. Ale oto naraz przez otwarte okno pałacu wpłynął bezszelestnie do sali niewielki obłok mieniących się różnobarwnych motyli.

Jeszcze chwila, jeszcze jeden ruch małej ręki Mitsu i oto motyle przysiadły na jej wachlarzu, tworząc wzór tak niezwykle piękny, tak barwny, że sam mikado rozkazał dziewczynce, aby zbliżyła się do niego.

— Czy jesteś czarodziejką? — zapytał.

Mitsu poruszyła przecząco głową, ale zanim zdążyła odezwać się, do sali wleciał jeszcze jeden motyl. Największy ze wszystkich motyli, szafirowozłocisty. Zatoczywszy wielkie koło siadł na ramieniu władcy.

— Witaj — szepnął swym głosem podobnym do szelestu jedwabiu — witaj i posłuchaj, co ci powiem o Mitsu, córce znakomitego hafciarza Thiby...

— 125 -

Władca słuchał uważnie. A po chwili skinął na małą Mitsu, aby zbliżyła się do tronu wraz ze swym starym ojcem. Na drugie jego skinienie uderzono we wszystkie zreБгде i miedziane gongi, a na trzecie — wszystko ucichło i władca odezwał się:

— Pierwszą nagrodę za najpiękniejszy wachlarz otrzymuje dziś mała Mitsu, a jej ojcu, czcigodnemu Thibie, nadajemy tytuł nadwornego hafciarza. Dziś jeszcze nadworny lekarz zajmie się leczeniem jego oczu, aby długo mu jeszcze mogły służyć, a mojemu nadwornemu poecie rozkazuję napisać poemat o Mitsu, która kochała swego starego ojca i była dobra dla kwiatów i motyli.

Być może, że to w starym, bardzo starym wierszu przetrwała do dzisiejszych czasów opowieść o Mitsu, a może całą tę historię po prostu opowiedziały japońskim dzieciom motyle, unosząc się nad kwiatami w jakiś pogodny, wiosenny dzień. A może również wyćwierkał to wszystko mały plotkarz zimorodek... Nie jest to jednak zupełnie pewne...

Władca słuchał uważnie. A po chwili skinął na małą Mitsu, aby zbliżyła się do tronu wraz ze swym starym ojcem. Na drugie jego skinienie uderzono we wszystkie згеБгде i miedziane gongi, a na trzecie — wszystko ucichło i władca odezwał się:

— Pierwszą nagrodę za najpiękniejszy wachlarz otrzymuje dziś mała Mitsu, a jej ojcu, czcigodnemu Thibie, nadajemy tytuł nadwornego hafciarza. Dziś jeszcze nadworny lekarz zajmie się leczeniem jego oczu, aby długo mu jeszcze mogły służyć, a

mojemu nadwornemu poecie rozkazuję napisać poemat o Mitsu, która kochała swego starego ojca i była dobra dla kwiatów i motyli.

Być może, że to w starym, bardzo starym wierszu przetrwała do dzisiejszych czasów opowieść o Mitsu, a może całą tę historię po prostu opowiedziały japońskim dzieciom motyle, unosząc się nad kwiatami w jakiś pogodny, wiosenny dzień. A może również wyćwierkał to wszystko mały plotkarz zimorodek... Nie jest to jednak zupełnie pewne...

KWITNĄCA WIŚNIA

(Baśń japońska)

Posłuchajcie baśni o Otai, córce samuraja Hikitsu. Posłuchajcie baśni o Otai, która była piękna i dobra. Posłuchajcie...

Przed wielu, wielu setkami lat, kiedy w małym miasteczku Matsujama jego mieszkańcy radośnie obchodzili wiosenne święto Kwitnącej Wiśni, w domu szlachetnego samuraja Hikitsu urodziła się dziewczynka.

— Jest śliczna jak świeżo rozwinięty pączek kwiatu wiśni — orzekli wszyscy, a matka nowo narodzonej była tego dnia chyba najszcześniejszą kobietą na świecie.

Dziewczynkę nazwano Otai. Było to imię, które nadawano pierworodnym córkom rodu Hikitsu. Ale zacna pani Kamo, małżonka samuraja Hikitsu, nie miała już więcej dzieci i Otai była ich jedynym dzieckiem. Rosła, kochana przez wszystkich

— kochali ją rodzice, kochali domownicy, kochali sąsiedzi, przepadały za nią wszystkie dzieci.

— Otai jest kochana także i przez kwiaty — mówili ludzie z Matsujamy, a inni dodawali: — Kochają ją również ptaki i zwie-

— 127 —

rzęta. — I opowiadali, że widzieli na własne oczy dziką łanię, która podbiegła do Otai, by pozwolić się jej pogłaskać.

Wszystko to było prawdą. Otai umiała rozmawiać z kwiatami i zwierzętami, rozumiała świergot ptaków i kochała ludzi. Kiedy była małą dziewczynką, kochała także — lalki. Żadna dziewczynka w Japonii nie miała chyba tylu pięknych lalek, ile posiadała ich Otai. A kiedy nadchodziło wspaniałe Święto Lalek — w uroczystym pochodzie nigdy nie brakowało Otai, niosącej swą piękną lalkę. Kiedy dorosła — rozdała wszystkie swoje lalki dziewczynkom z sąsiedztwa.

— Będę miała córeczki zamiast lalek — kiedy wyjdę już za mąż — tak mówiła i uśmiechała się do dziewczynek, które odchodziły tuląc podarowane zabawki. Tylko jedną, najpiękniejszą, zostawiła Otai dla swojej dziewczynki.

Niedługo czekała córka samuraja Hikitsu na zamążpójście. Była przecież najśliczniejszą dziewczyną w całym Matsujama i okolicy. Teraz gdy dorosła, chwalono już nie tylko jej dobroć, ale i niezwykłą urodę. Nawet poeci z Matsujamy i innych miast pisali o niej wiersze. Pisali o tym, że włosy Otai są czarne jak

noc i jak hebanowe drzewo, pisali, że twarz jej jest jasna jak księżyc i że łuki jej brwi przypominają skrzydła jaskółek, a rzęsy jej są jak czarne motyle. I wszyscy pisali o tym, że Otai przypomina kwiat wiśni.

Mieli rację poeci z Matsujamy i okolicy — Otai była delikatna i świeża jak kwiat wiśni. I chociaż lubiła wszystkie kwiaty w swoim ogródku, to przecież kochała najbardziej białoróżowe kwiaty rozkwitające na cienkich gałązkach drzewek wiśniowych.

Na jej najpiękniejszych kimonach wyhaftowane były gałązki kwitnącej wiśni; kwiat wiśni zawsze zdobił na wiosnę jej czarne lśniące włosy i ona sama najchętniej przesiadywała pod wiśniowym drzewkiem w swoim ogródku. Na tym samym drzewku uwił sobie gniazdo mały, szary słowik i co wieczór śpiewał, jak umiał najpiękniej, o kwitjącym drzewku i ślicznej Otai.

Nic więc dziwnego, że szlachetny, choć ubogi samuraj Matsumura pokochał Otai bez pamięci. A Otai?

Otai, siedząc pod wiśniowym drzewkiem, myślała często o dzielnym Matsumura. A wesele ich odbyło się również w dniu święta Kwiatu Wiśniowego, w ten sam dzień, kiedy Otai ukończyła piętnastą wiosnę swego życia.

Gdy opuściła dom rodziców i przeniosła się do domu swego męża, zaraz po przybyciu pobiegła do otaczającego dom ogrodu i rozejrzała się niespokojnie, a potem uśmiechnęła się — w ogródku rosły jej ukochane drzewka wiśniowe i stały całe w kwiatach, jakby na jej przywitanie.

„Jeśli będę miała córeczkę, będzie taka jak kwiat” — pomyślała Otai.

Nieraz jeszcze powracała do tej myśli, przesiadując w ogródku, zasłuchana w śpiew słowika i szmer małego strumyczka.

Ale jej nadzieje nie spełniały się. Na próżno oczekiwała na tak upragnioną córeczkę. Otai nie miała dziecka i myśl o tym, że może nigdy w życiu nie będzie kołysała swojej córeczki, że nigdy nie usłyszy w swym ogrodzie dziecięcego głosu, doprowadzała ją do rozpacz. Siadywała samotnie wieczorem pod wiśniowym drzewkiem, a łzy jak rosa drżały na jej pobladłej z żalu twarzyczce. Ocierała je szybko rękawem kimona, bo uczono ją zawsze, że nikt nie powinien widzieć łez córki samuraja.

Więc jej łzy widziało tylko drzewko wiśniowe. Widziało łzy Otai, gdy straciła rodziców, i słyszało jej tłumione szlochanie, gdy zmarł z ran odniesionych na wojnie dzielny samuraj Matsumura.

Otai została sama na świecie.

Tak przynajmniej myślała któregoś wieczoru, gdy wiatr szeleścił w pobliskich szuwarach. Ale tak nie było. Przekonała się o tym już w parę lat później, gdy kwiaty w ogrodzie szeptały jej słowa pociechy, gałęzie drzewek głaskały jej twarz swymi liściastymi dłońmi, a ptaki śpiewały dla niej piosenki. Przekonała się też o tym, gdy odwiedzili ją sąsiedzi i przybiegły do niej ich dzieci.

Kochała je wszystkie — wyobrażała sobie zawsze, że są to jej własne dzieci. Znała je dobrze, odróżniała z daleka, gdy się bawiły, ich głosy, brała udział w ich zmartwieniach, ocierała zapłakane buzie lub śmiała się razem z nimi, gdy przybiegały, aby opowiedzieć o jakimś figlu.

A najbardziej z tych wszystkich dzieci lubiła małą Umesan, córeczkę pocziwego tkacza Sobo. Umesan wcale nie była najładniejsza w tej gromadce dzieci, które przybiegały do Otai. Była chudziutka, a jej dziecinne policzki pozbawione były rumieńców. Ale za to uśmiech, który rozjaśniał mizerną twarzyczkę Umesan, był promienny jak letni poranek.

Dar rzeki Flv

----- 129

To jej podarowała Otai najpiękniejszą lalkę z czasów swego dzieciństwa i kiedy teraz myślała o swej nie narodzonej córeczce, zawsze widziała przed sobą nie wymarzoną, śliczną dziewczynkę o policzkach delikatnych jak płatki kwiatków wiśniowych, lecz blade, żółtawe policzki Umesan.

Pewnego zimowego dnia, kiedy mróz uciszył i ściał lodem mały strumyk w ogródku, a drzewa i krzewy usnęły pod przykryciem z białego śniegu, na progu mieszkania Otai stanął tkacz Sobo. Drżał pod słomianą matą, którą miał okryte ramiona, i oddychał z trudnością — widać biegł bardzo szybko.

— Co się stało, zacny sąsiedzie Sobo? — spytała Otai.

— Przyjdź do nas, czcigodna pani Otai — wyszeptał Sobo z trudem — przyjdź! Mała Umesan wzywa cię bez przerwy. Wybacz mi tę śmiałość, ale Umesan leży na posłaniu i nie poznaje ani mnie, ani swej matki, tylko ciągle wymawia twoje imię. A na jej zawsze tak bladych policzkach jakby zakwitły maki.

Otulona szalem, z latarką w dłoni brnęła Otai przez zaspy razem z tkaczem Sobo do małego domku na przedmieściu. Gdy weszła do izby, dobiegł ją cichy, ale wyraźny szept:

— Pani Otai, och, pani Otai...

— Jestem, już jestem przy tobie, Umesan — mówiła Otai klękając przy posłaniu dziewczynki.

Ale Umesan nie poznawała jej, tylko ciągle dalej, uparcie powtarzała imię Otai.

— Jest bardzo chora — powiedziała Otai.

— O tak! — przytaknęli smutnie tkacz Sobo i jego żona. — Jol bardzo chora! Prosiliśmy nawet czcigodnego i bardzo uczonego

lekarza Minuro, aby zechciał przyjść i uleczyć ją z tej choroby, a z czcigodny Minuro żąda wielu, wielu srebrnych yenów, których nierzeczywiście mamy w naszej chacie.

— O! — szepnęła z rozpaczą Otai. — Mówicie, że żąda wielu srebrnych yenów!

Nie, ona też nie miała srebrnych yenów, których żądał lekarz Minuro. Po śmierci dzielnego Matsumury żyła bardzo skromnie. Ród Matsumury był bowiem bardzo szlachetny, ale bardzo ubogi.

Naraz przypomniała sobie — przecież posiada piękne kolczyki z błękitnymi jak niebo kamyczkami. Te kolczyki otrzymała od swojej dobrej, kochanej matki. Ale cóż to wszystko znaczy wobec tego:

— 1110

Jeżeli może chciwy lekarz Minuro zgodzi się przyjąć je zamiast srebrnych yenów i wyleczyć małą Umesan? I Otai szybkim ruchem wyjęła kolczyki z uszu.

— Weź je, Sobo, zanieś do lekarza Minuro i poproś, aby zechciał przyjść do Umesan.

— Jakże! Czcigodna pani Otai — wymamrotał przestraszony Sobo — jakże, przecież widziałem te klejnoty, gdy nosiła je moja czcigodna matka.

Ale Otai przerwała mu niecierpliwie:

— Idź szybko, dobry Sobo!

Przybył więc do Umesan mądry i chciwy na pieniądze lekarz Minuro. Wpatrywał się długo w chorą i rzekł wreszcie:

— Oto jest pęk ziół. Odwarem z tych ziół napoicie Umesan. Jeśli ten napój jej nie pomoże, znaczy to, że musi odejść na zawsze do krainy przodków.

I zanim ktokolwiek w chacie zdążył powiedzieć choćby jedno słowo — starzec pochylił się w pokłonie pożegnalnym.

Jednak mądry i chciwy na pieniądze lekarz Minuro nic nie pomógł małej Umesan. Umesan w dalszym ciągu nie poznawała nikogo, a jej oddech był coraz słabszy i powolniejszy.

Otai, klęcząc przy jej macie, wpatrywała się z rozpaczą w twarzyczkę dziewczynki. Wreszcie szepnęła:

— Sobo, drogi Sobo — podobno za siedmioma wzgórzami mieszka inny, jeszcze mądrzejszy i jeszcze starszy lekarz, który może potrafi uleczyć Umesan.

— O czcigodna pani Otai — skłonił się tkacz Sobo — mądra i cenna jest twoja rada, ale słyszałem, że ów jeszcze mądrzejszy lekarz za siedmioma wzgórzami żąda wysokiej zapłaty za swoje feki.

„Nie mam już moich kolczyków z niebieskimi kamykami — pomyślała Otai — ale mam przecież jeszcze moje piękne obi,

które dostałam od mego męża, szlachetnego samuraja Matsumury. Może lekarz zza siedmiu wzgórz zgodziłby się przyjąć obi zamiast srebrnych pieniędzy".

Pobiegła więc szybko do domu i otworzyła skrzynię, w której - raz z haftowanym kimonem leżało piękne obi, to samo obi, które w dniu zaślubin opasywało jej smukłą kibić i czyniło ją podobną do motyla. Wyjęła je bez chwili namysłu i wróciła do chaty tkacza.

- 131

— Idź zaraz, dobry Sobo, do owego jeszcze mądrzejszego lekarza zza siedmiu wzgórz i proś, aby zgodził się przyjąć obi zamiast srebrnych yenów.

— Jakże mogę wziąć twoje piękne obi! — przestraszył się tkacz. Ale Otai rozkazała:

— Idź szybko, Sobo.

Przybył więc do Umesan ów jeszcze mądrzejszy lekarz zza siedmiu wzgórz. Wpatrywał się długo w chorą i rzekł wreszcie:

— Oto macie maść sporządzoną ze smoczej krwi. Natrzyjcie tą maścią stopy Umesan, aby zechciały ją nosić po ziemi, natrzyjcie nią jej piersi, aby chciały oddychać, natrzyjcie jej dłonie, aby chciały być silne i zdrowe. Lecz jeśli ten lek nie pomoże, nic już nie uratuje Umesan i będzie musiała odejść do krainy przodków.

Powiedziawszy to, starzec pochylił się w niskim pokłonie.

Drżącymi dłońmi nacierała żona tkacza maleńkie stopy swojej córeczki, nacierała jej piersi, czując słabe kołatanie serca, i nacierała szczupłe rączki. Ale i ten lek nie pomógł Umesan.

— Ooo, czyż moje dziecko musi umierać? — rozpaczał tkacz. a jego żona łkała.

— Nie odchodź od nas, o Umesan!

Otai słuchała tego ze ściśniętym sercem. Wreszcie wybiegła z chaty tkacza i wróciła po chwili, niosąc swe haftowane kimono.

— Sobo, dobry Sobo — szepnęła wreszcie — słyszałam ongiś, że za siódmym potokiem mieszka jeszcze jeden wielce uczony lekarz! Idź do niego, Sobo, i proś, aby przyjął to kimono zamiast zapłaty.

— Ależ to kimono, które otrzymałaś od swej matki, czcigodna pani Otai — szepnął Sobo.

— Idź, idź prędzej — prosiła Otai.

I do małej Umesan przybył trzeci wielce uczony lekarz. Był tak stary, że wyglądał jak uschnięty pień drzewa. Jego starcze, suche ręce zdawały się dwoma zwisającymi konarami, a głos przypomina: szelest suchych liści. I on również długo wpatrywał się w chorą dziewczynkę, aż wreszcie rzekł:

Bardzo chora jest mała Umesan. I tylko jeden jedyny le-
na świecie mógłby przywrócić jej siły i zd

wielce

— O, jakiż to lek, ków? — spytała Otai.

uczony

rowie, lekarzu zza siedmiu pote-

- ryj -

— Idź zaraz, dobry Sobo, do owego jeszcze mądrzejszego lekarza zza siedmiu wzgórz i proś, aby zgodził się przyjąć obi zamiast srebrnych yenów.

— Jakże mogę wziąć twoje piękne obi! — przestraszył się tkacz. Ale Otai rozkazała:

— Idź szybko, Sobo.

Przybył więc do Umesan ów jeszcze mądrzejszy lekarz zza siedmiu wzgórz. Wpatrywał się długo w chorą i rzekł wreszcie:

— Oto macie maść sporządzoną ze smoczej krwi. Natrzyjcie ta maścią stopy Umesan, aby zechciały ją nosić po ziemi, natrzyjcie nią jej piersi, aby chciały oddychać, natrzyjcie jej dłonie, aby chciały być silne i zdrowe. Lecz jeśli ten lek nie pomoże, nic już nie uratuje Umesan i będzie musiała odejść do krainy przodków.

Powiedziawszy to, starzec pochylił się w niskim pokłonie.

Drżącymi dłońmi nacierała żona tkacza maleńkie stopy swojej córeczki, nacierała jej piersi, czując słabe kołatanie serca, i nacierała szczupłe rączki. Ale i ten lek nie pomógł Umesan.

— Ooo, czyż moje dziecko musi umierać? — rozpaczał tkacz, a jego żona łkała.

— Nie odchodź od nas, o Umesan!

Otai słuchała tego ze ściśniętym sercem. Wreszcie wybiegła z chaty tkacza i wróciła po chwili, niosąc swe haftowane kimono.

— Sobo, dobry Sobo — szepnęła wreszcie — słyszałam ongiś że za siódmym potokiem mieszka jeszcze jeden wielce uczony lekarz! Idź do niego, Sobo, i proś, aby przyjął to kimono zamiast zapłaty.

— Ależ to kimono, które otrzymałaś od swej matki, czcigodna pani Otai — szepnął Sobo.

— Idź, idź prędzej — prosiła Otai.

I do małej Umesan przybył trzeci wielce uczony lekarz. Był ta* stary, że wyglądał jak uschnięty pień drzewa. Jego starcze, suche ręce zdawały się dwoma zwisającymi konarami, a głos przypominał szelest suchych liści. I on również długo wpatrywał się w chorą dziewczynkę, aż wreszcie rzekł:

— Bardzo chora jest mała Umesan. I tylko jeden jedyny leną świecie mógłby przywrócić jej siły i zdrowie.

— O, jakiż to lek, wielce uczony lekarzu z za siedmiu potoków? — spytała Otai.

32

nie

Lekarz pokręcił głową.

— Niezwykle trudne jest zdobycie tego leku. I nie każdy może go otrzymać.

— Jakiż to jest lek? — powtórzyła Otai.

— Jest to sok, sok życiodajny spływający z naciętego pnia drzewa wiśniowego — zaszemrał starzec. — Jeśli Umesan napije się tego soku, powrócą jej siły i będzie żyła.

— Ale przecież zimą, kiedy drzewa śpią skute mrozem, z żadnego pnia nie spłynie sok żywiczny! — szepnęła zrozpaczona Otai.

— Dlatego też niezmiernie trudno jest zdobyć go. Ale nie ma rzeczy zbyt trudnych dla serc kochających, czcigodna małżonko samuraja Matsumure.

To rzekłszy wielce uczony lekarz z za siedmiu potoków zgiął się w pokłonie.

— Rozumiem, mądry lekarzu — powiedziała Otai. Wstała i szybko wybiegła z chaty tkacza. Nie zważając na śnieg, w którym zapadały się jej drobne stopy, owiana lodowatym wichrem, dobrnęła do swego ogródka. Z zaciśniętymi mocno dłońmi stanęła pod swoim ulubionym wiśniowym drzewkiem. Patrzyła przez łyżki na jego smukły pień, na cienkie gałązki pokryte śniegowym puchem.

— O drogie, piękne drzewko wiśniowe, czy zechcesz ocalić życie małej Umesan? — szepnęła.

Drzewko pochyliło ku niej swą oszronioną koronę i wyciągnęło, jak ramiona, wiotkie gałęzie.

— Spełnię twoją prośbę, droga Otai, jeśli zezwoli na to Czarna Sosna, która rośnie za tamaryszkowym gajem — zaszumiała wiśnia.

— Czarna Sosna... — powtórzyła Otai.

— Czarna Sosna jest srogą władczynią — szeleściła cienkimi gałązkami wiśnia — lecz może potrafisz ją ubłagać...

Przez szerokie pole zaśnieżone, owiana lodowatym wichrem, dobrnęła Otai do gaju tamaryszkowego i stanęła pod Czarną Sosną.

— Po co przyszłaś? — zaszumiała Sosna wyciągając do Otai swe pokrzywione, kłujące gałęzie.

— O Czarna Sosno, na pewno wiesz, że mała Umesan, córeczka tkacza Sobo, jest bardzo chora. I że może ją ocalić jedynie sok żywiczny drzewa wiśniowego.

— Wiem — zaskrzypiała Czarna Sosna. — Ale czy wiesz, że zginie wtedy drzewko wiśniowe? Pozbawione soku uschnie i nigdy

już nie pokryje się białoróżowymi kwiatami. Cóż możesz mi ofiarować w zamian za życie drzewka wiśniowego?

— Mogę ci podarować moje własne życie — szybko odpowiedziała Otai.

— Niech tak będzie — zgodziła się Sosna. — Wracaj więc szybko do swego ogrodu.

— O, dzięki, Czarna Sosno — zdołała jeszcze szepnąć Otai. Jakież było jej zdziwienie, gdy zobaczyła, stanąwszy znów pod wiśnią, że spod rozchylonej kory drzewka spływa biały, lśniący jak rosa, świeży sok żywiczny. Zebrała go w najpiękniejszą porcelanową czarękę i szybko pobiegła do domu Sobo. Przykleknąwszy przy posłaniu Umesan, przysunęła czarękę do bladych ust dziewczynki.

— Pij, Umesan, pij — prosiła.

Powoli, z trudem przełykała Umesan żywiczny sok i z każdą kroplą zdawała się wracać do życia. Jej żółtawa, mizerna

twarzyczka nabierała delikatnego odcienia bladoróżowych kwiatów kwitnącej wiśni, oddech jej stawał się silniejszy i równy — wreszcie otworzyła oczy...

— O, pani Otai — szepnęła i uśmiechnęła się.

Otai odpowiedziała jej również uśmiechem. A potem, pogłaskawszy tkliwie twarzyczkę Umesan, podniosła się i wróciła do swego ogrodu.

— Jestem! — szepnęła stając pod wiśniowym drzewkiem. — Jestem. Dotrzymuję obietnicy danej Czarnej Sośnie.

I przymknęła oczy.

Naraz poczuła, że obejmują ją delikatne gałęzie drzewka. Śniegowy puch -wydał się jej ciepły i wonny jak kwiaty, a krzewy i drzewa w ogrodzie zaszumiały.

— Bądź pozdrowiona, siostrze nasza, Otai!

Gdy nazajutrz zdrowa już zupełnie mała Umesan przybiegła do domku Otai, nie zastała w nim nikogo. Pobiegnęła więc do ogródka, ale tam nie znalazła swojej ukochanej opiekunki.

Za to ze zdumieniem spostrzegła, że w pobliżu tak ulubionego przez Otai drzewka wiśniowego wyrosło drugie, równie wysokie i smukłe. Ale to drzewko — mimo że wokół panowała sroga zima i wszystko było pokryte śniegiem — to drzewko kwitło bladoróżowymi kwiatami... Pod drzewkiem leżało haftowane kimono, piękne obi i srebrne kolczyki z błękitnymi kamykami.

— 1.34 —

— Czcigodna pani Otai — pokłoniła się dziękczynnie mała Urae-san. I objąwszy pień drzewa, przytuliła się do niego serdecznie.

Przez wiele, wiele lat podróżni przybywający do miasteczka Mat-sujama podziwiali piękne drzewko wiśniowe, którego gałązki nawet podczas najsrozszej zimy pokryte były kwiatami, a ukryty wśród nich mały, szary słowik śpiewał swoją najpiękniejszą piosenkę o dobrej i kochającej Otai.

...mififfaffiii

Wl

£ffliłłffll*tfff

PIĘKNY, ZIELONY WOJOWNIK

(Baśń ludo

14/ Γ

Ameryki Północnej)

Na rozległych ziemiach między północną Saskatchewan a Missouri głód nieraz dokuczał czerwonoskórym wojownikom. Ale pewnego roku, wtedy kiedy śnieg długo i uparcie pokrywał ziemię, kiedy wiosna opóźniała się ponad wszelką miarę, brak pożywienia stał się klęską, na którą nie można było znaleźć rady. Ziemia była jeszcze tak zmarznięta, że kobiety i dzieci nie mogły wydobyć z niej jadalnych korzeni, którymi zazwyczaj

żywiono się w okresach niedostatku. Myśliwi nadaremnie przebiegali lasy i prerię w poszukiwaniu zwierzyny. Całe stada bizonów przeniosły się na południe w poszukiwaniu pastwisk, za nimi powędrowały jelenie, a te ze zwierząt, które przesypiały zimę, nie wyglądały ze swych kryjówek, nor i dziupli.

Brakowało nawet zeszłorocznych, kwaśnych jagód na krzewach, bowiem wydziobały je zgłodniałe ptaki. Dzieci na próżno więc czekały na posiłek i płakały żałośnie.

Ale mały, czerwonoskóry chłopak, imieniem Mały Wilk, nie płakał. Któregoś dnia wziął ze sobą swój luk i postanowił udać się na łowy... Kobiety i starzy wojownicy zaśmieli się szyderczo:

- 130 —

cz

raz ktoś

bym czył wyło do

śwież o dłu zwier młod piękn Mały i być z wyk: Patrz\ wycia liści, ku zie

i wyr: plemię niewa: dla n:: ziem:i za trz i dzie. nic nu

niem.

— Ty, Mały Wilku, miałbyś zdobyć pożywienie? Zginiesz w lesie, zabłądzisz...

— Mimo wszystko spróbuję zdobyć coś do jedzenia — oświadczył.

Wędrował więc przez pokryty śniegiem świat. Wszędzie było biało i cicho, jakby wszystko drzemało w oczekiwaniu wiosny. Naraz Mały Wilk usłyszał jakiś szelest. Ktoś poruszył gałązki sosny, ktoś stapał po śniegu. Może lis opuścił swoją kryjówkę w poszukiwaniu zdobyczy? Głodny lis...

Mały Wilk zręcznie jak kot uskoczył w bok i ukrył się za grubym pniem drzewa. Napiął cięciwę łuku i czekał. A po chwili zobaczył coś zupełnie nieoczekiwanego, bo naraz z zimowej bieli lasu wyłonił się wysoki, smukły, młody wojownik. Nie był jednak podobny do żadnego z czerwonoskórych, mimo że nosił strój taki, jak nosili wojownicy. Tylko że wszystko, co miał na sobie, miało barwę świeżej zieleni. Jego wspaniałe, bogate płaszczy stanowiły skóry o długim, zielonym futrze. Mały Wilk nigdy dotychczas nie widział zwierzęcia o zielonym futrze. Także samo pióra, które zdobiły głowę młodzieńca, były zielone jak pierwsze liście na krzewach, a jego piękna twarz nie miała odcienia miedzi, lecz odcień złota. Widać, Mały Wilk, tak zdziwiony jego widokiem, zapomniał o ostrożności i być może nadepnął niechcący na jakąś suchą gałązkę, bo niezwykły wojownik szybkim ruchem odwrócił się w stronę chłopca. Patrzył teraz na chłopca oczami o barwie liści wiosennych, po czym wyciągnął rękę w jego stronę

i powiedział głosem cichym jak szmer liści, jak szelest pochylających się traw, kiedy wiatr je przygina ku ziemi:

— Zaniechaj łowów, Mały WUku. Jesteś dzielnym chłopcem i wyrośniesz, być może, na wodza. Ale nie nakarmisz ludzi waszego plemienia jednym zabitym lisem czy wiewiórką. Niemniej, ponieważ tak odważnie wyruszyłeś, aby postarać się o pożywienie dla nich, pomogę ci. Widzisz? Słońce wznosi się coraz wyżej nad ziemią. Jutro będzie jeszcze mocniej przygrzewało. Przyjdź więc za trzy dni na tę łąkę. Ale nie sam! Przyprowadź z sobą kobiety i dzieci z waszego plemienia. Pamiętaj! Tylko przedtem nie mów

nic nikomu o naszym spotkaniu...

— Dobrze — szepnął Mały Wilk, przejęty niezwykleym spotkaniem, i szybko wrócił do wigwamu, gdzie czekały głodne dzieci i sta-

rzy ludzie. Spojrzeli na niego z nadzieją, czy czasem nie przynosi jakiejś zdobyczy, ale widząc jego puste ręce, nawet o nic nie pytali.

„Jeszcze trzy dni, jeszcze dwa... jutro — myślał tymczasem z niecierpliwością Mały Wilk, patrząc na tych wygłodniałych biedaków. — Potem zaprowadzę ich na tamtą łąkę”.

I naraz ogarnęła go trwoga — a jeśli na tamtej łące nic nie będzie? Po prostu nic? Ale to niemożliwe. Nieznany piękny wojownik obiecał mu... A wojownicy dotrzymują słowa...

Gdy więc nadszedł trzeci dzień, zwołał dzieci i młodsze kobiety i powiedział im, że zaprowadzi wszystkich tam, gdzie znajdują pożywienie.

— Jakże? Co to będzie? — zaczęli pytać gorączkowo i wyciągali do niego wychudłe dłonie, jakby już, w tej chwili mieli otrzymać ten posiłek. Ale Mały Wilk nic więcej nie umiał im powiedzieć, tylko powtarzał, że powinni mu zaufać i iść za nim.

Poszli więc. Osłabieni głodem wlekli się powoli, tyle tylko, że niespodziewanie mocno przygrzewające słońce ogrzewało ich i dodawało siły.

Mały Wilk szedł na czele tej biednej gromady, pilnie uważając na znaki, które trzy dni temu zrobił na drzewach, aby odnaleźć drogę do polanki, na której spotkał wojownika. Serce biło mu coraz mocniej w oczekiwaniu niespodzianki. Jeszcze trzy sosny, jeszcze wielki dąb o spróchniałym pniu — i oto powinni już być na miejscu, na owej polanie, która przedtem rozciągała się wśród lasu, pokryta białą płachtą śniegu.

Ale polany w tym miejscu nie było. I Mały Wilk przestraszył się bardzo, chociaż był dzielnym indiańskim chłopcem. Ale jakże miał się nie przestraszyć, kiedy stał w tej chwili, razem z całą gromadką głodnych, naprzeciwko całego wojska zielonych wojowników... Cóż to za jedni? Co zamierzają? Stoją w tej chwili nieruchomo, odziani zielono, a zielone pióra na ich głowach powiewają na wietrze...

Stał więc Mały Wilk naprzeciw nich i patrzył bacznie. A wojownicy trwali dalej bez ruchu. Więc chłopiec, zostawiwszy za sobą swoich towarzyszy, odważnie zbliżył się do owych zielonych szeregów. Wszyscy byli podobni do wojownika, którego spotkał tu przed trzema dniami. Tylko nie widział ich twarzy, jakby zakrytych pióropuszcami zielonych piór. Zbliżył się jeszcze trochę i wtedy przekonał się ze zdumieniem, że to nie były pióra, lecz zielone pędy

— 138 —

nieznanych roślin, które wyrosły wysoko, strzeliście, ponad miarę dorosłego człowieka. Znów zawiał wiatr, a wtedy, wśród rozgarniętych przez powiew zielonych pędów, mały Indianin zobaczył połyskujące złociście ziarna. Wyciągnął rękę i dotknął ich. Były ułożone ciasno, mocno spojone, ale można było przecież odłamać łodygę, obrośniętą złocistym ziarnem. Zrobił więc to już teraz śmiało i wziął złociste ziarno do ust.

Smakowało cudownie. Było słodkie, mączyste! Odwrócił się więc do tej zbiedzonej gromadki, która tak ufnie przyszła tu za nim, i pokazał im trzymany w ręku kaczan kukurydzy.

Bowiem w ten sposób — jak opowiadają na rozległych przestrzeniach od Missouri do Saskatchewan — pewien mały chłopiec indiański uratował swe plemię od głodu. A złote ziarna kukurydzy, rzucone odtąd w ziemię, stały się zwykłym pożywieniem Indian...

ШЩМШШЩЩ

ŚNIEŻNA KRÓLEWNA

(Baśń hinduska)

Wśród niedostępnych, pokrytych wiecznym śniegiem szczytów Himalajów wznosił się wspaniały zamek króla Himawaty. Nikt nigdy nie ośmielił się tam dotrzeć, ale wśród ludzi mieszkających w dolinach krążyły wieści o nieprzebranych bogactwach królewskiej siedziby, o salach i sprzętach lśniących od drogich kamieni, o mieniących się złotem zasłonach.

Szlachetny król Himawata był monarchą dbałym o szczęście poddanych, a jego królewska małżonka, piękna i dobra królowa Mena, zawsze gotowa była śpieszyć z pomocą potrzebującym. Dlatego też mieszkający w dolinach ludzie żyli spokojnie, uprawiając pola i hodując stada łagodnych krów i swawolnych kóz. I nie wiedzieli nic o tym, że piękna królowa Mena i dobrotliwy król Himawata spędzają w swym pięknym zamku dni pełne smutku i troski. Bo skądże mieli wiedzieć wierni poddani, że jedyna córka królewskiej pary, najśliczniejsza ze ślicznych, biała jak kwiat lilii, jak kwiat lotosu i jak najczystszy śnieg, ta, której nadano imię Ganga, była przyczyną zmartwienia rodziców?

czem.

A tymczasem królewna Ganga od najmłodszych lat lubiła wemykać się ze wspaniałego zamku swojego ojca i uciekać w góry, tam gdzie leżały białe, chłodne śniegi. Wolała ten chłód i śnieżną biel od złota i kolorowych drogocennych kamieni. Wolała wycie wic lwu od dźwięku strun, na których dziewczęta dworskie wygrywały prześliczne melodie, wolała patrzeć na wirujące płatki śniegowe niż na popisujące się swoim tańcem najlepsze tancerki dworskie. Wracała z tych swoich wypraw smutna i milcząca jak lodowaty posąg. Aż wreszcie pewnego razu, kiedy jak zwykle wybiegła rankiem z zamku, aby błądzić wśród pokrytych śniegiem gór — już nie powróciła. Nazajutrz skoro świt wysłani przez króla dworzanie na próżno usiłowali odnaleźć ślad królewny. Na ich wołanie odpowiadało im tylko przeraźliwe wycie wichru lub ponury huk spadających lawin, a w oczy miotało im kurniawą. Niektórzy usiłowali docierać do szczytów górskich, ale żaden z tych śmiałków nigdy już nie wrócił...

Wreszcie, nie mogąc patrzeć na rozpacz swojej królewskiej małżonki, szlachetny król Himawata sam udał się na poszukiwanie córki. Szedł wśród śniegu i lodu, coraz wyżej i wyżej. Aż wreszcie, kiedy serce już w nim zamierało z utrudzenia, dojrzał jakąś szczelinę w skale. Postanowił dotrzeć tam, aby wypocząć chociaż przez chwilę, ale kiedy zbliżył się — szczelina ta rozwarła się niczym wrota wykute z lodowej tafli, ukazując w swej głębi salę, która oświetlona bijącym od ośnieżonych gór blaskiem wyglądała jak wnętrze ogromnej

kryształowej czary. Zatrzymał się król Himawata zachwycony tak niezwykłym widokiem i nagle w głębi dojrzał połyskujący tysiącem brylantowych lśnień biały lodowy tron, na którym siedziała jego ukochana Ganga. Poznał ją od razu, mimo że była teraz jakby inna, jeszcze bielsza niż dawniej, jeszcze bardziej nieruchoma. Włosy, które okalały jej młodą, piękną, lecz białą jak śnieg twarz, były teraz pokryte srebrnym szronem, a ostre sople lodowe tworzyły na jej głowie niezwykle piękną, misterną koronę królewską. Zielone oczy Gangi patrzyły na króla Himawatę obojętnie, jak gdyby nie był jej ojcem, lecz jednym z lodowych sopli, które zwisały ze stropu sali.

— Gango! — zawołał król. — Gango! Czemu nas opuściłaś, czemu jesteś tu, w tej lodowej grocie?

— Czyż nie jest tu pięknie? — spytała Ganga. Po czym dodała: — Pokochałam nad życie, ponad wszystko w świecie Władce Mrozu i pozostanę już tu na zawsze. Tu jestem szczęśliwa. A jak sam widzisz, żaden pałac na świecie nie może się równać z moim pałacem kryształowym.

— Więc nie wrócisz już do nas? Do matki, która oplakuje twoją nieobecność?

Ganga przecząco poruszyła głową.

— Nie, nie wrócę...

— A czy odwiedzisz nas, Gango? Ganga uśmiechnęła się teraz lekko.

— Nie wiem, czy będziecie pragnęli moich odwiedzin. Bo jeśli przyjdę do was, będzie mi towarzyszyć zimno straszliwe i śnieżna zawieja, a twoi poddani będą umierać z chłodu.

Nic na to nie odpowiedział dobry król Himawata. Bo czy mógł narażać życie ludzi? Westchnął więc tylko ze smutkiem, a łzy, które spływały z jego oczu, spadały na ziemię, zamienione w lodowe kryształki.

— Żegnaj, Gango...

— Żegnaj, ojczyźnie! — I Ganga odwróciła wzrok od króla Himawaty, zapatrzona w tęczowe odblaski kryształów lodu.

Tak więc król Himawata odszedł i nadal razem ze swoją małżonką panowali nad ludźmi z dolin. Czasem tylko podnosili wzrok ku ośnieżonym szczytom i myśleli o swojej córce.

Straszne im się wydawało to jej umiłowanie Władcy Mrozu, podczas kiedy oni sami, tak jak wszyscy ludzie z ich kraju, cieszyli się zielenią łąk i pól, podziwiali piękno drzew i cienistych lasów, radowali się barwami kwiatów. Jednak pewnego roku przyszło lato, które przyniosło z sobą straszliwą suszę. Na próżno ludzie wypatrywali życiodajnego deszczu. Codziennie od świtu, na niebie, które zatraciło swój błękit, przesunęło się słońce odbierając ziemi i ślinom wszelką wilgoć. Pożółkły pola i łąki, liście na drzewach zwisały jak ciemne zeschnięte wióry, wysychały owoce, tracąc soczystość, a rzeki, strumienie i jeziora, zasilające pola, wyschły doszczętnie. Ludzie zaczęli głodować, gdyż spękana od suszy

ziemnie dawała plonów, a przy tym całymi dniami nadaremnie szuka. kropli wody, aby ugasić pragnienie. Dobry król Himawata i jego królewska małżonka na próżno usiłowali przyjść z pomocą swoim poddanym. Monarcha ogłosił nawet, że odda wszystkie skarby ter:—

— 142 —

-

Niemożna znaleźć sposobu przyjścia z pomocą ludności i ocalić ją od klęski. Ale złoto i drogocenne kamienie pozostały w skarbcu, bo nikt nie mógł znaleźć ratunku.

Chociaż był jeden, jedyny sposób ocalenia... Wiedział o nim pewien czcigodny starzec, mieszkający w pustelni, i wiedział dobry król Himawata. Wiedziała też o nim królowa. Odsuwali jednak od siebie tę myśl, ciągle łudzili się, że może następnego dnia zbrą-zowią od żaru niebo zasnuje się chmurami i wreszcie spadnie dobroczynny i tak oczekiwany deszcz, życiodajny deszcz. Ale niebo ciągle było bezchmurne, a rozpacz ginących ludzi tak ogromna, że ich żalosne głosy dosięgały aż do królewskiego zamku. A potem wznosiły się coraz wyżej, aż ku śniegom. Tam gdzie była grotka z lodowych kryształów, w której na rzeźbionym w lodzie tronie siedziała biała jak śnieg, zielonooka, nadludzko piękna królowa Gan-ga. Ona też знаła

ów sposób ocalenia. Nawet do wnętrza jej lodowatego pałacu docierały rozpaczliwe wołania ludzi umierających z braku wody. Ale Ganga trwała milcząca i nieruchoma.

Aż wreszcie któregoś dnia do wnętrza jej wspaniałej groty wszedł król Himawata. Na wyciągniętych rękach niósł umierające dziecko. Skóra maleństwa była oparzona gorącymi promieniami słońca, małe, szerniałe od pragnienia wargi były otwarte, a głos nie wydobywał się z nich, oczy dziecka były nieruchome.

— Ono ginie, Gango, ginie z pragnienia...

Ganga obróciła teraz na króla spojrzenie swoich zielonych oczu, a on mówił dalej:

— Ono ginie... I inne dzieci tam, w dolinie, też giną.

Po czym położył drobne, wyschnięte ciało na kolanach swej córki. Wtedy Ganga po raz pierwszy od wielu lat skłoniła swą głowę, pochylając ją nad dzieckiem. Nagle jakiś zabłąkany promień słońca wtargnął do wnętrza lodowej groty i zatrzymawszy się na lodowej koronie królowy sprawił, że z sopli spłynęła kropla wody i spadła na twarzyczkę dziecka. A potem druga na jego spieczone usta. Maleństwo połknęło ją chciwie i otworzyło oczy...

Ganga, oddając dziecko ojcu, szepnęła:

— Wiem, wiem, ojcze, że wedle starej przepowiedni istnieje sposób uratowania ludzi...

— Tak, tak, Gango — podjął teraz król Himawata. — Jest to sposób straszliwie trudny. Trzeba bowiem, aby dziewczyna czysta

143

jak lód i biała jak śnieg zechciała porzucić swój dom i na zawsze zamieszkać w upalnych dolinach... Wtedy...

— Mów ojczy, dalej.

— ...wtedy ta dobrowolna ofiara ocali ginących, a jej imię będzie uwielbiane po wszystkie czasy...

— Więc wiem, co mam zrobić, aby dzieci nie ginęły z pragnienia! — zawołała Ganga i twarz jej w tej chwili była tak piękna, jak jeszcze nigdy dotychczas. — Żegnaj, ojczy! Albo może tylko do widzenia, bo chyba spotkamy się jeszcze...

To powiedziawszy skierowała się ku wyjściu ze swej lodowej groty. A gdy przestąpiła jej próg i znalazła się już w pełnym blasku słońca, w jednej chwili lodowa białość Gangi zmieniła się i zniknęła. I zniknęła sama Ganga, stała się bowiem jasnym strumykiem o kryształowej wodzie, na której unosiły się strzępy białej piany. I teraz, szemrząc swe imię: — Ja Ganga! Ja Ganga! — spłynęła z ośnieżonych gór ku złąknionym dolinom, przynosząc życie ich mieszkańcom. Wszędzie zaś tam, gdzie biegła srebrnym potokiem, zaczynały zielenić się łąki, zboże porastało pola, smukłe drzewa pochylały się ku niej dziękczynnie, a kolorowe kwiaty zakwitały na jej powitanie.

Rozlegały się też radosne okrzyki ludzi i śmiech dzieci, które rozpryskując jej srebrne krople zanurzały się. szczęśliwe i przywrócone życiu. Z czasem zaś Ganga z nieśmiałego strumyka stała się wielką, wspaniałą, życiodajną rzeką. Tylko na pamiątkę swego umiłowania bieli sprawiła, że lotosy — jedyne kwiaty, które zakwitają na jej przybrzeżnych wodach — są niepokalanie białe.

4d liazj jen 0|

iB>[zsaim z ' w i Atufmzood

3f — -jof

3IN —

— AoqAzs d — fgzp >{iods '3u

)BUAVOJO p >Я "OЦПЛЮ

Z3 uoiui z 'эгшэтг лрзщ

PRZYJACIEL MĄDREGO KOJOTA

(Baśń Indian z Ameryki Północnej)

Wtedy kiedy jeszcze ludzie rozumieli mowę zwierząt, a rozległe ziemie, zwane dziś Ameryką Północną, należały do licznych plemion Czerwonoskorych Indian, pewnego dnia w wigwamie nad rzeką Susauehanna urodził się chłopiec, któremu nadano imię Ono-wutto. Rósł szybko i był silny i tak zręczny, tak

odważny, że mógł dorównać niejednemu wojownikowi. Potrafił też biegać szybko jak wiatr i kiedy w jakiś świeży poranek chyżo przemierzał prerię, spotkał szarego psa zwanego kojotem.

— Ja też lubię biegać, lubię pędzić przed siebie prędej i prędej — powiedział kojot. — Więc jeśli chcesz, możemy się ścigać!

Ścigali się więc, ciągle jeden obok drugiego, ciągle jednakowo szybcy — aż wreszcie zatrzymali się.

— Nie będziemy już stawać do zawodów — zdecydował kojot. — Jesteśmy jednakowo szybcy, jednakowo nie zmęczeni. Odpocznijmy teraz nad jeziorem jak przyjaciele.

I tak dzielny chłopiec indiański Onowutto zawarł przyjaźń z mieszkańcem prerii, mądrym szarym kojotem. Wszędzie byli od-

Dar rzeki Fly

----- 145 —

tąd razem. Szary kojot wspomagał chłopca swą mądrością, a Ono-wutto uczył go, jak być dobrym i kochać ludzi, jak pomagać im. Widziano ich więc, jak dzielili trud rybaków wyciągających sieci lub kiedy razem z kobietami wykopywali pożywne korzenie jadalne, schowane głęboko w ziemi.

Przynosili też owoce, które zebrali, i odgarniali jadowite węże. Ale kiedy nadeszła zima, ich pomoc na nic się już nie zdała. Śnieg przykrył ziemię, a zziębnięci ludzie nie mieszkali już w wigwamach. Kryli się w jaskiniach, ale i tam dokuczało im

zimno. Wszędzie rozbrzmiewał żałosny płacz małych dzieci, kiedy zmarznięte tuliły się do matek. Były głodne, gdyż zimą trudniej było o żywność, a kiedy miały pragnienie, dostawały roztopiony w dłoniach śnieg.

— Och, mądry szary kojocie, serce mi pęka z żalu, kiedy patrzę, jak cierpi moje plemię! Jakże strasznie mi żal tak biednych, gnębionych przez chłód...

— Nie wiem, co to jest chłód, gdyż nie czuję go — odpowiedział kojot.

— Nie czujesz, bo masz gęste, ciepłe futro. Tak, ale przecież wiesz, że wojownicy z mego plemienia nie zawsze mogą znaleźć dość zwierzyny, aby jej skórami okryć zmarznięte dzieci i kobiety, a także cierpiących od chłodu starych ludzi... Muszę zrobić coś, aby im wszystkim pomóc, muszę!

— Chodźmy wobec tego na łowy! — zaproponował szary kojot. — Może zdobędziemy trochę skór z ciepłym futrem...

Ale chłopiec potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie pójdę na łowy. To przecież niewiele pomoże. Parę skór... nie otulę nimi wszystkich, którzy cierpią od chłodu. W dodatku są głodni... Pomóż mi, mądry, szary kojocie! Zawsze i na wszystko umiesz znaleźć radę, więc pomóż mi i teraz!

Kojot jednak nic tym razem nie odpowiedział, tylko odwrócił się i pomknął przez leśny gąszcz.

— Kojocie! Nie zostawiaj mnie! Czemu odchodzisz? — wołał za nim Onowutto, ale wołał nadaremnie. Szary kojot, tak dotychczas wierny w przyjaźni, oddalił się bez słowa.

Indiański chłopiec został więc sam ze swoją troską i chociaż bez przerwy zastanawiał się, co mógłby uczynić, nie znajdował żadnej rady. Aż wreszcie, po kilku dniach, kiedy stał w lesie, oparty o sosnę, i żałośnie patrzył na otulający ziemię i drzewa piękny, ale

146

— C

bezlitośnie zimny śnieg, usłyszał jakiś szelest. Odwrócił się szybko. Przed nim stał szary kojot. Najwidoczniej przebył daleką drogę, gdyż dyszał ciężko, a jego futro pokrywał biały szron.

— Jesteś, kojocie! — ucieszył się Onowutto. — Wróciłeś.

— Wróciłem — odpowiedział kojot — wróciłem, aby ci powiedzieć, że jest sposób zwalczania chłodu...

— Jest! Jest sposób! — i chłopiec wydał radosny okrzyk. — Mów, mów, jaki to sposób.

— No, nie jest to łatwe, mój drogi Onowutto — kojot przysiadł i podrapał się z zafrasowaniem w ucho. — Bo jak by ci to powiedzieć. .. trzeba przy tym pokonać mnóstwo wielkich trudności. Oczywiście, gotów jestem pomóc ci i będę trwał przy tobie. Możesz na mnie liczyć.

— Wiedziałem, że zawsze jesteś moim wiernym przyjacielem — indiański chłopak przykląkł na śniegu i objął kojota za szyję.

— Dzięki ci! I mów, jakie trudności musimy przezwyciężyć?

— Przede wszystkim musimy jak najszybciej dotrzeć do Ognistego Wzgórza. To daleko stąd, a droga jest ciężka!

— To nic! To nic! Pokonamy ją! Przecież obaj umiemy tak świetnie biegać. A co dalej? Po co tam pójdziemy?

— Jak to, po co? Przecież powiedziałem ci, że musimy dotrzeć do Ognistego Wzgórza. A po cóż innego, jeśli nie po to, aby zdobyć tam trochę ognia.

— A co to jest ogień? — zapytał chłopiec. — Nigdy tego nie widziałem.

— Ogień... — odparł szary kojot. — Ogień jest czerwony jak kwiat. Ale nie jest kwiatem. Biega szybko, gdziekolwiek się znajdzie, a jeśli natrafi na trawę, niszczy ją i pożera jak zwierzę, chociaż nie jest zwierzęciem. Jest niebezpieczny i okrutny, ale zarazem potrafi być dobry i posłuszny. Ale tylko wtedy, kiedy człowiek potrafi uwięzić go między ułożonymi kamieniami! jeśli będzie mu dawać gałęzie lub kawałki drzewa jako

pożywienie. On za to przewycięża chłód i daje ciepło. Dzieci i starzy ludzie wyciągają ku niemu ręce, aby się rozgrzać.

— Jeśli tak jest, jak powiadasz, szary, mądry kojocie, to koniecznie musimy go zobaczyć! — zawołał Onowutto. I zerwał się na równe nogi. — Chodźmy więc jak najszybciej.

— Chodźmy — zgodził się kojot. — Ale zdaje mi się, że powi-

— 147 —

nienesz zabrać z sobą niewielką, lecz dzielną drużynę cię, że walka z ogniem nie jest łatwa.

Tak więc, zgodnie z radą szarego kojota, chłopiec *r~*: szyznię swego plemienia, aby mógł zabrać ze sobą dziesięć wojowników. Zaraz też puścili się w drogę, a mądry kojot biegł pierwszy, wiodąc ich tam, gdzie wznosiło się Wzgórze. Szli więc wąskimi ścieżkami, indiańskim zwyczajem den za drugim. Ale ciężka to była droga i już pod koniec pierwszego dnia jeden z czerwonoskórych wojowników był tak wyczerpany że musiał pozostać na drodze.

— Ukryj się w zaroślach lub w głębi skalnej szczeliny, z dala od wiatru i śniegu, i czekaj tu na nasz powrót — polecił mądry szary kojot. Następnego dnia, gdy wieczór już zapadł: ■ młodzienczek zaczął słać się ze zmęczenia.

— Zostań więc tu i czekaj na nasz powrót — powtórzył *r** : polecenie kojota. I powtórzył je potem jeszcze osiem razy, a *Бс-гг* codziennie jeden z czerwonoskórych młodzieńców

pozostawał p— drodze, nie wytrzymując trudów wyprawy. Tak więc, kiedy wręczcie zbliżali się do celu wyprawy, zostało ich tylko dwóch — 0: wutto i mądry, szary kojot. Przeszli więc teraz jeszcze przez go: skaliste i wysokie, przez rozległą równinę, przez pasmo ciemnej lasu i wreszcie stanęli nad brzegiem szeroko rozlanej rzeki, w k:> rej, jak w zwierciadle, odbijał się obraz Ognistego Wzgórza.

Na pierwszy rzut oka wydało się chłopcu podobne do ogromnego stożka, którego wierzchołek ginał w obłokach ciemnego dymu. Ale kiedy zapadł wieczór, a potem noc, duchy ognia rozpoczynają na wierzchołku góry swój taniec. Płomienie strzelały aż ku niebu, a woda rzeki stała się czerwona od tego blasku. I wtedy mądry szary kojot tak powiedział:

— Onowutto, mój dzielny Onowutto. Musisz być teraz nie tylko dzielny, ale jeszcze i mądry, i cierpliwy. Czekać tu na mnie u podnóża góry. A kiedy zobaczysz, że powracam z płonąca głownią, goniony przez duchy ognia, wówczas zabierz ją ode mnie i biegnij dalej, dopóki ci starczy sił.

Powiedziawszy to szary kojot zniknął w mroku, aby pod osłoną nocy skradać się na wierzchołek Ognistego Wzgórza. Szedł ostrożnie i chyłkiem, aby ująć uwadze duchów, ale nawet kiedy go dostrzegły, nie wydał się im podejrzany. Tak był chudy, zbledzony;

i nieszczęsny, że nawet jeden z płomieni, rozbawiony jego widokiem, podskoczył i syknął:

— Patrzcie! Kojot! Zabłądził! Hihihihhi! Tu zabłądził! Pewnie chciał się rozgrzać! Hiii! Osmalimy mu futro, co?

I z sykiem zbliżyły się do niego. Ale kojot nie czekał teraz dłużej, tylko jednym susem znalazł się przy ognisku, buchającym żarem na wierzchołku góry, chwycił z niego płonąca głównię i rzucił się w szalonym pędzie do ucieczki. Duchy ognia, ledwie dostrzegły to, rzuciły się za nim z trzaskiem i świstem. A kojot biegł i biegł tak szybko, że niełatwo było go dogonić. Iskry, padające z płonącej główki, gasły na jego futrze, a on gnał dalej i dalej, a duchy ognia pędziły za nim. Aż wreszcie szary kojot dopadł do chłopca. Teraz on, Onowutto, wyrwał głównię z paszczy kojota i szybko jak strzała rzucił się do ucieczki, nie zważając na goniące go płomieniste duchy. A one z trzaskiem i sykiem podskakiwały po wilgotnych gałęziach, po przyprószonych śniegiem krzewach i trawach. Czepiały się włosów i odzienia chłopca, ale on nie zważał na nic, tylko biegł i biegł dalej, dopóki nie oddał jasno płonącej główki ostatniemu z pozostawionych na drodze czerwonoskórych wojowników. Ten przejął od niego ową płonąca zdobycz i biegł aż do miejsca, gdzie czekał następny z ich drużyny. Aż wreszcie duchy ognia zaniechały pogoni.

Tak więc płonąca głównia, podawana z rąk do rąk, niesiona przez ciemne, pobielone śniegiem lasy, zawędrowała aż nad brzeg rzeki Susauehanna. Tu starzy wojownicy ułożyli głównię

między kamieniami, a dzieci i kobiety zaczęły znosić gałęzie, aby podtrzymać ogień. Dobroczynny ogień, przy którym mogli się rozgrzać.

To uczynił dla swego plemienia młody indiański chłopiec Onowutto, przyjaciel szarego, mądrego kojota.

POŚLUBIONE GWIAZDOM

(Baśń Indian z Ameryki Południowej)

Tam gdzie toczy swoje wody rzeka Putumayo, gdzie rozciągają się bezkresne prerie, gdzie cieniste, nieprzeniknione lasy pełne są pięknych, niezwykłych roślin i gdzie żyły bohaterskie plemiona Indian, zdarzyła się niezwykła historia. Historia dwóch pięknych dziewcząt indiańskich, bliźniaczych sióstr o tak niezwykłej urodzie, że nie tylko ludzie patrzyli na nie z zachwytem, ale nawet ptaki zatrzymywały się w locie, aby nacieszyć się ich widokiem. Dziewczyny były smukłe, kruczowłose, a ich skóra posiadała złocisty odcień miedzi. Dla tej ich smukłości nazwano jedną z nich Złocistą Palmą, a drugą — Czerwoną Palmą.

A one? Dwie siostry bliźniaczki?

Chętnie słuchały pochwał swojej niezwykłej urody, chętnie przeglądały się w gładkiej tafli jeziora, aby nacieszyć się swoim odbiciem, chętnie biegły do lasu zrywać barwne, pachnące kwiaty, chętnie stroiły się w mieniające się od barw tkaniny, które same tkwały, i marzyły o naszyjnikach i bransoletach, które

dodałyby jeszcze blasku ich urodzie. Marzyły o złotych ozdobach, bo złote

— 150 —

wydawało im się czymś najwspanialszym, czymś podobnym do blasku słońca lub do połysku gwiazd, widocznych nocą na ciemnej płachcie nieba.

Wielu, wielu dzielnych wojowników i najsłynniejszych myśliwych chciało zdobyć serca tych dwóch niezwykłych dziewcząt. Popisywali się swą dzielnością i zręcznością, obdarowywali najdelikatniejszymi skórkami bobrów i wiewiórek, przynosili połyskujące jak drogie kamienie kolorowe pióra' ptaków żyjących w najbardziej niedostępnych głębiach lasów.

Czerwona Palma i Złocista Palma przyjmowały podarunki łaskawie, uśmiechały się nawet do tych, którzy je obdarowali, ale nikomu nie chciały oddać swoich serc. Nikt nie wiedział, dlaczego tak postępują, ale one wiedziały. Czyż pomarszczona jak ususzony owoc i stara jak świat Szara Lisica nie powiedziała im kiedyś, że rozpostarte nad ich głowami niebo — to bezkresna preria, gdzie na złotych mustangach harczą wojownicy, piękni niewypowiedzianie, przystrojeni w złote pióra, w złotych płaszczach? Tam właśnie postanowiły udać się obie siostry i tam znaleźć mężów. O tym szeptały, patrząc nocą na zasypane złotymi gwiazdami niebo. Ale że nie znały drogi, która by je tam zawiodła, więc tylko przytulone do siebie trwały tak w

tęsknocie, szepcząc zaklęcia i błagania, których nauczyła je Szara Lisica.

Aż wreszcie którejś nocy, kiedy stały wśród traw, wznosząc błagalnie ręce ku nocnemu niebu, nagle jakby błyskawica rozdarła mrok i przed dziewczętami stanęło dwóch wojowników. Jakże byli wspaniali! Ich skóra połyskiwała złociście, złociste były ich przepaski na biodrach i złociste pióra zdobiły ich strój. Złote łuki trzymali w dłoniach.

— Oto jesteśmy — powiedzieli, a potem porwali dziewczęta i na złotych mustangach unieśli się wraz z nimi w górę.

Czerwona Palma i Złocista Palma drżały ze szczęścia i z lęku. Bo oto spełniło się ich pragnienie, ale jednocześnie oddalały się od ziemi, od matki, od zielonej prerii.

A tam w górze — wszystko było błękitne i złote. Wśród ciemno-błękitnej trawy i ciemnobłękitnych drzew przemykały zwierzęta o złocistej sierści, a złote ptaki unosiły się w powietrzu. Również płatki kwitnących tam kwiatów miały barwę złota, tak jak złoty odcień posiadały owoce. Obie siostry patrzyły na to wszystko z za-

— 151 —

chwytem, a jeszcze bardziej cieszyły się, gdy ich mężowie obdarzyli je sukniami tkanymi ze złotych nitek, a niezwykle kunsztowne naszyjniki i bransolety z tego drogiego kruszcu dopełniały ich stroju.

Były więc szczęśliwe. Miały wszystko, czego tak pragnęły, i dni ich życia płynęły spokojnie wśród tego błękitu i złota. Z czasem urodziły im się dzieci — Czerwona Palma miała córeczkę, a Złocista Palma kołysała w ramionach synka.

Ale pewnego dnia, kiedy pilnowały swych dzieci, które biegały po zarośniętej błękitną trawą przestrzeni i zrywały złociste, podobne do małych gwiazdek kwiaty, synek Złocistej Palmy, goniąc wielkiego złotego motyla, odbiegł od matki bardzo daleko, tak daleko, że zaniepokojona pospieszyła za nim i w ostatniej chwili zdołała chwycić go za rękę, aby nie wpadł w jakąś przepaść.

— Nie wiem, co by się z tobą stało, syneczku — mówiła przestraszona, trzymając dziecko w ramionach. — I mimo woli spojrzała w dół. A tam, pod jej stopami, płynęły szare chmury, na zmianę z białymi obłokami, a kiedy w jakiejś chwili oddaliły się, jakby przegnane wiatrem, Złocista Palma ujrzała w dole ziemię. Ujrzała to, co obie z siostrą zostawiły, odjeżdżając na złotych mustangach, uniesione przez swych mężów, złocistych wojowników. Przywołała więc Czerwoną Palmę i teraz obydwie spoglądały na prerię o pożółkłej, wyschniętej trawie, ujrzały krzątające się kobiety, myśliwych z łukami w dłoni, trzcinowe chaty, przy których bawiły się dzieci... Wszystko to wydało się im jakże szare i ubogie, jakże inne od tego wspaniałego błękitno-złotego świata gwiazd, wśród którego żyły...

— Jakże brzydka jest ziemia! — zawołała Czerwona Palma.

— Jak nędznie odziane są kobiety, które tam żyją! — zawołała Złocista Palma. Po czym dodała: — Jak myślisz? Na pewno zazdrościłyby nam niezmiernie, widząc, jak wspaniale jesteśmy odziane, jak bogate są nasze złote naszyjniki i bransolety...

— Oczywiście! — zgodziła się Czerwona Palma. — Żałuję, że nie mogą nas zobaczyć.

— Myślisz, że to możliwe? — Złocista Palma zastanowiła się przez chwilę. — A gdybyśmy tak zeszły tam, na ziemię...

— Jakże możemy tam zejść? — Czerwona Palma niedowierzająco pokręciła głową.

— Wiem! — odpowiedziała jej bliźniacza siostra. — Upleciemy

— 152 —

bardzo gruby i mocny sznur i spuścimy się na nim. Chociaż na chwilę! Upleciemy go z tych błękitnych traw o mocnych włóknach! Zabierajmy się do roboty. Dzieci zostawimy w chacie. Przecież zaraz wrócimy...

Drżącymi z niecierpliwości dłońmi plotły siostry gruby sznur, a gdy wydał się im dość długi, przywiązały go do pnia błękitnej sosny, która rosła na skraju przepaści nad ziemią. Potem, objawszy się ramionami, zaczęły zsuwać się w dół. Długo to trwało, gdyż daleko jest od błękitnego świata gwiazd do ziemi, ale w końcu siostry znalazły się na końcu sznura, który właśnie dotykał wierzchołka ogromnego drzewa. Teraz już tylko po jego

grubych konarach zsunęły się na miękki mech leśny, a potem szybko zaczęły się przedzierać w stronę, gdzie przebywali ludzie z ich plemienia. Jakież jednak było zdumienie sióstr, kiedy przekonały się, że nie ma tam już nikogo z ich bliskich, że od czasu kiedy opuściły prerię, minęło już wiele, wiele lat. Bowiem czas w krainie gwiazd mija inaczej niż czas ziemski. I podczas kiedy zdawało im się, że przebywały tam zaledwie trzy ziemskie lata, tu, na dole, upłynęło ponad trzysta lat. Co dziwniejsze, ich wspaniałe złote ozdoby w ziemskim świetle jakby straciły swój blask. Wyglądały jak zeschnięte liście. Zresztą i one, dwie piękne siostry, też wyglądały teraz inaczej. Kiedy w jakiejś chwili zatrzymały się nad niewielkim źródłem, aby napić się wody, ujrzały zamiast dwóch ślicznych, smukłych dziewcząt — dwie stare, przygarbione kobiety o twarzach pomarszczonych jak skóra żółwia.

— Więc tak teraz wyglądamy? — spytały i spojrzawszy na siebie rozplakały się z żalu. — Ach, wracajmy, wracajmy jak najszybciej do naszej błękitnej krainy gwiazd. Musimy tylko odszukać owo drzewo, nad którym pozostał sznur spuszczonej z góry.

Pobiegły więc do lasu. Niełatwo im jednak było odnaleźć drzewo, gdyż w starym lesie było wiele podobnych, o grubych pniach i powyginanych konarach. Aż wreszcie zmęczone dotarły do tego, którego szukały. Poznały je i podbiegły do niego uradowane.

— Wracamy, wracamy do naszej krainy gwiazd! — szeptały uszczęśliwione. — Oto sznur, po którym zeszyliśmy tak niebacznie na ziemię! Oto sznur.

Uchwyciły go mocno, ale jakże miały się po nim teraz wspiąć do góry, kiedy sznur zwisał z gałęzi, najwyraźniej odcięty od owej

— 153 —

sosny, do której tam, w górze, był przywiązany. Być może pień sosny runął w przepaść lub też może ktoś go ściał? Na próżno więc bliźniacze siostry próbowały zarzucić sznur tak wysoko, aby zaczepił się o błękit nieba. Na próżno błagały przepływające chmury i obłoki, aby chciały go pochwycić i podciągnąć do góry. Chmury i obłoki płynęły obojętnie, głuche na ich prośby. One zaś stały z wyciągniętymi ku niebu ramionami i płakały żałośnie i bezradnie. Stały tak długo, dopóki same nie zamieniły się w drzewa o smutnie opuszczonych konarach, zaś ów sznur, spleciony z niebieskich traw, zwisa po dzień dzisiejszy z drzew w puszczech Ameryki Południowej, a ludzie zwą go lianami, jest to jedyny ślad, jaki pozostał po dwóch pięknych siostrach.

Tak podobno prawią stare indiańskie babcie swoim wnuczkom i smukłym, miedzianoskórym dziewczynom, kiedy w gwiazdziste noce spoglądają na ciemny błękit nieba.

sosny, do której tam, w górze, był przywiązany. Być może pień sosny runął w przepaść lub też może ktoś go ściał? Na próżno więc bliźniacze siostry próbowały zarzucić sznur tak wysoko,

aby zaczepił się o błękit nieba. Na próżno błagały przepływające chmury i obłoki, aby chciały go pochwycić i podciągnąć do góry. Chmury i obłoki płynęły obojętnie, głuche na ich prośby. One zaś stały z wyciągniętymi ku niebu ramionami i płakały żałośnie i bezradnie. Stały tak długo, dopóki same nie zamieniły się w drzewa o smutnie opuszczonych konarach, zaś ów sznur, spleciony z niebieskich traw, zwisa po dzień dzisiejszy z drzew w puszczech Ameryki Południowej, a ludzie zwą go lianami, jest to jedyny ślad, jaki pozostał po dwóch pięknych siostrach.

Tak podobno prawią stare indiańskie babcie swoim wnuczętom i smukłym, miedzianoskórym dziewczynom, kiedy w gwiaździste noce spoglądają na ciemny błękit nieba.

SIEDEM CÓREK

(Baśń z Sumatry)

Kiedy wyspa Sumatra wynurzyła się z fal oceanu, jej władca był najzupełniej zadowolony ze swych włości. Były tam wulkany, które co prawda trochę dymią od czasu do czasu, ale była też i bujna roślinność. Wśród gęstych drzew i krzewów przemykały się zwierzęta: pantery, tygrysy i długonose tapiry, i były też mądre wielkie słonie. Nie brakowało ani krzewów herbacianych, ani tych, które dawały ziarno kawowe, rósł pieprz, rosły drzewa pachnące żywicą, a w głębi ziemi kryły się złoża srebra i złota. Brakowało tylko światła. Nad wyspą panował półmrok, bowiem niebo, rozpięte nad ziemią jak ciemnoniebieski parasol, nie przepuszczało słonecznych promieni. Zależało to od Władczyni

Nieba. Ale była tak zajęta wieloma innymi sprawami, że zupełnie nie miała czasu zająć się oświeceniem Sumatry. Obiecywała co prawda, że kiedyś zajmie się tym, ale kończyło się na obietnicach, a na wyspie w dalszym ciągu panował smutny półmrok. Aż wreszcie któregoś dnia, dręczona wymówkami władcy tej wyspy, bogini obiecała, że jeśli córka władcy Sumatry poślubi jednego z jej siedmiu synów, wów-

— 155 —

SIEDEM CÓREK

(Baśń z Sumatry)

Kiedy wyspa Sumatra wynurzyła się z fal oceanu, jej władca był najzupełniej zadowolony ze swych włości. Były tam wulkany, które co prawda trochę dymiły od czasu do czasu, ale była też i bujna roślinność. Wśród gęstych drzew i krzewów przemykały się zwierzęta: pantery, tygrysy i długonose tapiry, i były też mądre wielkie słonie. Nie brakowało ani krzewów herbacianych, ani tych, które dawały ziarno kawowe, rósł pieprz, rosły drzewa pachnące żywicą, a w głębi ziemi kryły się złoża srebra i złota. Brakowało tylko światła. Nad wyspą panował półmrok, bowiem niebo, rozpięte nad ziemią jak ciemnoniebieski parasol, nie przepuszczało słonecznych promieni. Zależało to od Władczyni Nieba. Ale była tak zajęta wieloma innymi sprawami, że zupełnie nie miała czasu zająć się oświeceniem Sumatry. Obiecywała co prawda, że kiedyś zajmie się tym, ale kończyło się na obietnicach, a na wyspie w dalszym ciągu panował

smutny półmrok. Aż wreszcie któregoś dnia, dręczona wymówkami władcy tej wyspy, bogini obiecała, że jeśli córka władcy Sumatry poślubi jednego z jej siedmiu synów, wów-

— 155 —

czas będzie on tym, który na jeden dzień w tygodniu sprowadzi promienie słoneczne dla pokrzywdzonej ziemi.

— Jeden dzień słoneczny w tygodniu — mówił do córki władca — zapewnisz tej ziemi, kiedy zostaniesz żoną syna bogini.

— To cudownie, ojciec mój i panie — ucieszyła się dziewczyna. — Tylko jaka szkoda, że nie mam jeszcze sześciu sióstr! Pomyśl tylko! Wtedy miałbyś nie jednego zięcia, ale siedmiu, i przez siedem dni w tygodniu na naszej wyspie byłoby jasno i słonecznie!

— Szkoda! — westchnął władca. — Ale czekaj, dziewczyno! Myśl twoja godna jest uwagi. Spróbuję użyć mej siły, a musi mi w tym także pomóc i ta ziemia, dla której chcę zdobyć światło.

— Jakże to zrobisz, ojciec mój i panie?

— Przekonasz się wkrótce, córko moja! Tylko pamiętaj — nigdy nie zdradź swemu mężowi, iż byłaś jedna na tej ziemi.

To powiedziawszy, skinął ręką i natychmiast na polanie, na której stał wraz z dziewczyną, znalazło się siedem leżących pni drzewnych. Wszystkie miały wypróchniałe, puste wnętrza.

— Pnie wypróchniałe? — zdumiała się Palumba, tak bowiem nazywała się pierwsza dziewczyna na wyspie.

Ale władca dał jej znak, aby milczała, i dalej czynił swoje. Teraz z kolei do wnętrza każdego pnia wkładał różne przedmioty. Do pierwszego włożył słoniowy kieł. Do drugiego skórę pantery, do trzeciego róg kozy, do czwartego kilka ziaren pieprzu, do piątego trochę srebra, które wydobył z ziemi, do szóstego odrobinę złota, a do siódmego pnia kazał wejść Pałumbie.

— Ale dlaczego, ojczy mój?

Nie otrzymała jednak odpowiedzi.

Władca wyspy skinął bowiem ręką i w tejże chwili zrobiło się jasno i świetliście, a z błękitnego nieba zstąpiło siedmiu pięknych młodzieńców.

— Witajcie, moi zięciowie — pozdrowił ich. — Oto siedem pni drzewnych. Każdy z nich kryje w sobie moje dziecko. Wybierajcie...

Synowie bogini nieba skłonili się w podzięcie i każdy z nich, zbliżywszy się do pnia, który sobie wybrał, położył na nim rękę. I ledwie go dotknął, pień każdy otwierał się niczym skrzynia, a w jego wnętrzu spoczywała piękna dziewczyna.

— 156 —

Każda tak piękna jak Palumba i tak do niej podobna, że nikt by nie potrafił ich odróżnić.

— Wstańcie, córki moje — odezwał się władca ziemi.

Więc otworzyły oczy, rozchyliły w uśmiechu usta i każda z nich, podnosząc się ze swego posłania, podała rękę przyszłemu małżonkowi. Oni zaś, zachwyceni urodą dziewcząt, na zawsze już pozostali na wyspie i od tego czasu przez siedem dni w tygodniu świeci tam słońce.

Tylko — jak zauważyli potem wszyscy — córki władcy ziemi, mimo iż nie różniły się od siebie urodą, to jednak różniły się usposobieniem. A więc ta, która spoczywała w pniu, gdzie był kiel słońca — była pracowita, spokojna i rozważna. Ta, gdzie ukryta była skóra pantery — lubiła się złościć i okazywała zazdrość o wszystko; ta, która znalazła się w pniu, gdzie był kozi róg — była wesoła i lekkomyślna; czwarta — która wywodziła się od ziarenek pieprzu — była złośliwa i nie dała sobie zrobić krzywdy; piąta — z pnia, gdzie było srebro — dobra była i szczerą; szósta, wywodząca się ze złotych okruchów — serce miała złote; a zaś siódma, ta prawdziwa Palumba — została taka, jaka była przedtem. Po prostu mądra i pełna troski o ziemię, którą władał jej ojciec.

Potem wszystkie one miały dzieci i wnuczęta, i prawnuczęta — które dziedziczyły po nich cechy, jakimi obdarował je władca ziemi. I tak już jest, i będzie do końca świata, że dziewczęta bywają różne — dobre i złośliwe, mądre, wesołe i zazdrosne.

SPÓJRZ NA KSIĘŻYC

(Baśń hinduska)

Jedni mówią, że było to lat temu trzy tysiące, ale są i tacy, którzy twierdzą, że o wiele, wiele dawniej. W każdym razie zdarzyło się to wtedy, kiedy królem wspaniałych, wielkouchych słoni był nie kto inny, tylko ogromny, dzielny słoń, największy z wielkich, Czaturtanda. Dobry był to król, dbał o swoich poddanych — prowadził ogromne ich stada tam, gdzie była najlepsza żywność, najbardziej soczysta trawa, najlepsze owoce, uważał, aby krzywda nie stała się małym słoniątkom, a czasem nawet sam sięgał swoją trąbą, aby zrywać dla nich wysoko rosnące owoce.

Zacny i ojcowski był król słoni Czaturtanda, a przy tym kochany przez poddanych. I właściwie bardzo wtedy dobrze działało się wszystkim wielkouchym słoniom, kiedy naraz w lasach, tak dotychczas zielonych, soczystych, pełnych strumyków i chłodnych źródełek — niespodziewanie zjawiała się Susza. Wieść o tym od razu poszła przez łąki, pola i lasy. Powtarzały ją sobie przestraszone zwierzęta, krzyczały z rozpaczą ptaki, brzęczały pełne lęku owady. A Susza wyszła z wnętrza Góry Ognistej i szła przed siebie.

— 158 —

Wysoka taka, że wyższa od najwyższych drzew w lesie, na nogach drewnianych jak szczudła, odziana w łachmany, które tłą się, wzniecały płomienie wśród zeschniętych lasów i traw. A ona szła i pochylając głowę na węzowej szyi, wypijała każdą napotkaną wodę, zanurzając w niej swój ogromny dziób, podobny do dzioba flaminga. Zaś tam, gdzie przeszła, zostawały

stwardniałe pnie drzew, wysuszone liany zwisały jak sznury, a zwinięte z braku wilgoci liście, skrzycone, ściemniałe, szeleściły żałośnie.

A Susza szła i szła uparcie w stronę, gdzie w samym sercu dżungli znajdowało się Święte Jezioro. I chociaż wszyscy powiadali, że jest ono niezgłębione i niewyczerpane — Susza, na złość ludziom, zwierzętom i roślinom, postanowiła wypić je do dna.

A również do tego Jeziora prowadził swoje ogromne stado i król Czaturtanda, nie miał bowiem innego sposobu, aby napić swoich poddanych. Biedne słonie, pozbawione wody, ledwie miały siłę wlec się przez krainę nawiedzoną przez okropną klęskę. Pomarszczona, wyschnięta skóra zwisała z nich jak łachmany, trąby obwisły. Zmęczone daleką wędrówką, z trudem przedzierały się przez kłębowiska wyschniętych lian i korzeni drzew. Nadaremnie szukały jakiegokolwiek pożywienia.

Wszystko naokoło było suche i martwe. Ginęły owady, ginęły zwierzęta. Czasem krzyczały tylko głodne małpy, a latające psykalongi, owinięte w swe błoniaste skrzydła, spadały z gałęzi, bo nie miały siły utrzymać się tam dłużej.

Tak pod wodzą swego króla, wielkiego Czaturtandy, szły słonie przez cztery dni i pięć nocy, szły nie zwracając uwagi na nic. Nic już ich nie obchodziło, przestały być łagodne i wyrozumiałe. Dążąc przed siebie w poszukiwaniu wody, nie zwracały uwagi, że niszczą wszystko swymi ciężkimi, ogromnymi, słoniowymi nogami. Bo tylko o jednym myślały —

aby zdobyć chociaż trochę wody. Aż wreszcie piątego dnia, a był to jeszcze ranek, znalazły się nagle w okolicy, gdzie, jak widać, nie przeszła jeszcze Susza! Zieleń tu była świeża, soczysta, a drzewa rzucały cień.

— Dalej, naprzód, drodzy moi poddani! — zawołał król Czaturtanda, podnosząc trąbę. — Już wkrótce dojdziemy do Świętego Jeziora! Do Wody Wiecznej!

Zachęczone w ten sposób słonie zaczęły biec tak szybko, jak mogły, bowiem były osłabione pragnieniem. A kłusując tratowały wszystko, co się znajdowało pod ich ogromnymi nogami. Nie zwa-

— 159 —

żały na to, że ziemia ugina się im pod stopami, że zapadają się, że słycać wokoło jakieś piski i kwilenia błagalne.

Najważniejsze dla nich było w tej chwili, aby dotrzeć do wody. Aż wreszcie ukazała się połyskliwa, ciemna tafla jeziora otoczona kępami kwitnących, barwnych kwiatów.

Słonie podniosły do góry trąby i zatrąbiły radośnie:

— Woda! Woda!

A potem ich ogromne cielska zanurzyły się w wodzie. Nareszcie! Nareszcie można pić do woli! Można odświeżyć wyschniętą, pomarszczoną skórę. Cóż za radość, cóż za szczęście! Ale wśród tej uciechy zauważyły, nagle, że oto z drugiej strony jeziora ukazała się Susza! Zawachiowały więc

niespokojnie wielkimi uszami, obejrzały się na króla Czaturtandę. Czy dostrzega niebezpieczeństwo?

Zaś Susza postawiła już w wodzie jeziora swoje nogi jak szczydła, już zanurzyła swój dziób podobny do dzioba flaminga, i zaczęła pić.

— Królu Czaturtando! — zawołały słonie. — Co poczniemy, kiedy susza wypije wszystką wodę ze Świętego Jeziora? Dokąd się udamy?

— Dokąd się udamy? — król Czaturtanda dumnie podniósł do góry trąbę. — Pozostaniemy tu, o moi wierni poddani! Tu zostaniemy! A dwa są ku temu powody:

Po pierwsze, Susza nigdy, przenigdy nie zdoła wyczerpać wód Świętego Jeziora, które nas napoiło łaskawie, gdyż jest ono zasilane wiecznie płynącą wodą Gangesu.

— Ooooo! — ryknęły z zachwytem i zadowoleniem słonie.

— A po drugie — ciągnął dalej król Czaturtanda — przekonacie się wkrótce sami, że Susza zginie i nie będzie już więcej nas nękała. Patrzcie tylko uważnie. Możecie się już nie bać jej!

— Ooooo! — zatrąbiły znów słonie, tym razem bardzo wesoło.

— Prawdę rzekłeś, nasz królu! Chwała ci!

Chciały jeszcze coś zawołać, ale w tej samej chwili rozległ się donośny huk. To właśnie pękła Susza, która nażłopała się wody, usiłując wypić całe Święte Jezioro.

— Ooo — trąbiły dalej słonie. — Jak pięknie jest znów na świecie, jak wspaniale! Niech żyje król! Niech żyje!

— Drodzy poddani — odpowiedział na to z godnością Czaturtanda — ponieważ pragnę, abyście zawsze byli szczęśliwi i zadowoleni, obiecuję wam, że tu już zostaniemy na zawsze!

160 —

— Oooooo! — wołały znów słonie, — Niech żyje Czaturtanda!

— Niech żyje! — odezwał się naraż jakiś cienki głosik. — Niech żyje, aie niech się stąd wynosi!

— Cooooo? — zapytały teraz chórem zdumione słonie. — Co to za zuchwalec śmie się odzywać w ten sposób?

— Ja! — zabrzmiał znów cienki i dość słaby głos. — Ja! Długouchy!

Teraz wszystkie słonie odwróciły się w stronę, gdzie spośród stratowanej przez nie trawy sterczały długie uszy małego zająca. Przysiadł na tylnych nogach i odważnie podniósł głowę.

— Ukarać zachwalca! — ryknęły znów słonie i prawdopodobnie byłyby wykonały swój zamiar, gdyby nie Czaturtanda.

— Uspokójcie się i pozwólcie mu stanąć przede mną! — powiedział łaskawie. — Czego więc chcesz, Długouchy? Dlaczego ja i moi poddani mamy się stąd wynosić?

— Dlatego, królu Czaturtando, że biegnąc do jeziora zdeptaliście nie tylko nasze mieszkania, nasze podziemne kotliny i korytarze, ale także i wielu moich braci zginęło przy tym. Nie możemy więc zgodzić się, abyście stale tu przebywali! Zabraniaamy wam!

— Ty mi zabraniasz — król słoni Czaturtanda poruszył groźnie swymi wielkimi uszami. — A kimże ty jesteś? Po prostu małym zającem! I wcale nie będę cię słuchać!

— Nic nie szkodzi, że jestem tylko małym zającem — odpowiedział "na to odważnie Długouchy. — Przyszedłem do ciebie nie tylko w imieniu tysięcy moich braci, ale również w imieniu bardzo Wielkiego Zajęcia, który jest naszym królem, a zwie się Wid-czajadatta! Jeśli chcesz go zobaczyć, to spójrz na niego!

To powiedziawszy, Długouchy wskazał łapką w stronę, gdzie właśnie ukazał się nad wodami jeziora ogromny, blady księżyc. Czaturtanda posłusznie spojrział w tamtą stronę i mimo że był największym ze słoni, zląkł się, gdyż wydało mu się, że tarcza księżyca wygląda jak bardzo duża głowa zajęcia.

— Ach więc to jest Widczajadatta — machnął grzecznie trąbą.
— W takim razie usłucham twojej prośby. I od tego czasu moi poddani będą szli do każdego jeziora, do każdego wodopoju, jeden za drugim, wąską ścieżką, aby nie deptać waszych mieszkań.

I tak jest aż po dzień dzisiejszy...

JEZIORO ASFALTOWE

(Baśń z wyspy Trinidad)

Kiedy powstawała Ziemia, z zielonkawych fal morza, które potem nazwano Karaibskim, wynurzyła się wyspa Trinidad. Piękna i bogata wyspa. Były na niej, obok wysokich skał, cieniste lasy, wilgotne łąki mieniły się od wielobarwnych kwiatów, trzcina cukrowa rosła bujnie obok krzewów kakaowych, a palmy kokosowe aż uginały się od ciężaru orzechów.

W owych lasach wśród drzew i zarośli unosiły się i przysiadaly lekko na gałęziach niezwykle kolorowe ptaki. Ich połyskliwe pióra mieniły się jak drogocenne kamienie, a ludzie, którzy przybyli na wyspę, aby na niej zamieszkać, nazwali je rajskimi ptakami, bo myśleli, że chyba tylko w raju mogą istnieć podobnie piękne stworzenia. One zaś ufnie siadały na niskich gałęziach i odzywały się głosem, który nie był zwykłym świergotem, ale raczej przypominał delikatne pobrzękiwanie srebrnych dzwonek.

Cieszyli się więc tymi ptakami mieszkańcy wyspy Trinidad, ale pewna ładna i pogodna jak poranek dziewczyna, imieniem Hailati, polubiła te ptaki ponad wszystko. Codziennie biegła do lasu, wycią-

— 162 —

gała do nich ręce, przemawiała, próbując naśladować ich głos. Nic dziwnego, że ptaki tak do niej przywykły i nabrały zaufania, że poczęły siadać na jej ramionach i uczyć ją swego ptasiego języka.

Ale któregoś dnia do brzegu wyspy przybiły nieznane, odmienne kształtem łodzie, a z nich wysiedli ludzie odmienni od tych, którzy mieszkali na wyspie. Inny był ich strój i inna mowa, którą się posługiwali. Byli przy tym uzbrojeni w długie dzidy i tarcze. Hailati od razu wiedziała, że przybyli na wyspę w złych zamiarach. I wcale się nie omyliła, bo zaledwie dostrzegli unoszące się wśród drzew rajskie ptaki, zaczęli je chwytac lub zabijać. Jeśli im się to udało, wtedy z ich ślicznych piór robili przepaski na biodra dla siebie i kobiet ze swego plemienia.

Nieszczęsne ptaki nie wiedziały, jak kryć się przed swymi prześladowcami, a kiedy do lasu przychodziła Hailati, otaczały ją, siadały jej na rękach, na ramionach i żałośnie skarżyły się na swoją niedolę.

— Wiem, wiem, jakie to straszne — łkała Hailati — słyszałam, że rzucają w was kamieniami lub chwytają w sidła.

— Ratuj nas, ratuj, Hailati, bo zginiemy! — głosy ptaków, tak dawniej podobne do srebrnych dzwoneczków, teraz pełne były trwogi.

Tak więc Hailati najpierw płakała żałośnie nad losem swoich małych przyjaciół, ale kiedy ginęło ich coraz więcej, postanowiła, że zrobi wszystko, co tylko będzie w jej mocy, aby ocalić rajskie ptaki. Pytała więc wszystkich wokoło o radę, ale nikt nie potrafił jej odpowiedzieć. Wreszcie pewien starzec, którego lat już nikt nie potrafił zliczyć, pomarszczony i pochylony przez wiek, powiedział, kiwając głową: — Zapytaj słońca, zapytaj wody i ziemi. Tylko pamiętaj, dziewczyno, że być może zażądają od ciebie jakiejś ofiary w zamian za swą radę...

— Jestem gotowa na wszystko — zapewniła gorąco Hailati. I najpierw pobiegła na brzeg morski i zawołała: — O, morze! morze! Rozlane szeroko po świecie, wiesz chyba wszystko. Co mam zrobić, aby ocalić ptaki?

Ale morze odpowiedziało tylko szumem, którego nie mogła zrozumieć, a potem fale cofnęły się daleko od brzegu.

— Więc morze nie chce mi odpowiedzieć — szepnęła zrozpaczona dziewczyna i podniosła twarz ku niebu.

— L63 —

— O, niebo! Niebo dalekie i błękitne, co mam uczynić, aby ocalić ptaki? Odpowiedz, daj znak!

Ale niebo, jakby unikając odpowiedzi, zasnuło się mrokiem.

— Ty też nie chcesz mi pomóc — westchnęła żałośnie. — Została mi już tylko ziemia. Ona też pewnie nie odpowie...

Poszła więc smutna, z pochyloną głową, w stronę lasu, gdzie trzepotały się strwożone, kolorowe, mieniące się ptaki. Zdawało się jej, że słyszy ich niespokojne, podobne do srebrnych dzwonek głosy, i w jakiejś chwili zatrzymała się. Od lasu oddzielała ją rozległa, pokryta różnobarwnymi kwiatami łąka.

„Więc została tylko jeszcze ziemia — pomyślał:: znowu — jakże mam ją prosić, aby mnie wysłuchała?”

I Hailati przyklękła na skraju łąki, a potem, pochyliwszy głowę tak nisko, że policzkiem dotykała czarnego piasku, szepnęła błagalnie:

— O ziemi, ziemi, pomóż mi uratować ptaki przed złymi ludźmi. Jeśli ty mi nie pomożesz, któż mi pomoże?

I gorące łzy, spływające po jej twarzy, spadały kroplami na piasek...

„A jeśli i ziemia będzie milczała i nie da mi odpowiedzi? — myślała. — Co wtedy?”

Ale kiedy tak klęczała, pogrążona w smutku, naraz posłyszała jakby daleki grzmot. A potem, jak się jej zdawało, ziemia poruszyła się iekko. Tak lekko, jak fala, która marszczy się na wodzie pod wpływem wiatru. Otworzyła oczy i wtedy

zobaczyła, że z ziemi wokoło niej unoszą się jakieś białe opary... Przestraszyła się więc, ale zaraz potem usłyszała jakby dochodzący spod ziemi pomruk i przestraszyła się jeszcze bardziej, tak bardzo, że już potem nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Kiedy zaś nazajutrz obudziły ją pierwsze promienie wschodzącego słońca, zobaczyła ze zdumieniem, że oto zniknęła pełna kwiatów łąka, która jeszcze wczoraj wieczorem oddzielała ją od lasu. Zamiast łąki rozciągało się na tej całej ogromnej przestrzeni ciemne jezioro.

Ale jakże dziwnie wyglądała jego powierzchnia, prawie czarna, połyskliwa. Nigdy jeszcze nie widziała takiego jeziora. Przysiadła na brzegu, nie wiedząc, co to znaczy, kiedy naraz dostrzegła nad-

— 164 -

— O, niebo! Niebo dalekie i błękitne, co mam uczynić, aby ocalić ptaki? Odpowiedz, daj znak!

Ale niebo, jakby unikając odpowiedzi, zasnuło się mrokiem.

— Ty też nie chcesz mi pomóc — westchnęła żałośnie. — Została mi już tylko ziemia. Ona też pewnie nie odpowie...

Poszła więc smutna, z pochyloną głową, w stronę lasu, gdzie trzepotały się strwożone, kolorowe, mieniące się ptaki. Zdawało się jej, że słyszy ich niespokojne, podobne do srebrnych

dzwonek głosy, i w jakiejś chwili zatrzymała się. Od lasu oddzielała ją rozległa, pokryta różnobarwnymi kwiatami łąka.

„Więc została tylko jeszcze ziemia — pomyślał: mowu — jakże mam ją prosić, aby mnie wysłuchała?”

I Hailati przyklękła na skraju łąki, a potem, pochyliwszy głowę tak nisko, że policzkiem dotykała czarnego piasku, szepnęła błagalnie;

— O ziemi, ziemi, pomóż mi uratować ptaki przed złymi ludźmi. Jeśli ty mi nie pomożesz, któż mi pomoże?

I gorące łzy, spływające po jej twarzy, spadały kroplami na piasek...

„A jeśli i ziemia będzie milczała i nie da mi odpowiedzi? — myślała. — Co wtedy?”

Ale kiedy tak klęczała, pogrążona w smutku, naraz posłyszała jakby daleki grzmot. A potem, jak się jej zdawało, ziemia poruszyła się lekko. Tak lekko, jak fala, która marszczy się na wodzie pod wpływem wiatru. Otworzyła oczy i wtedy zobaczyła, że z ziemi wokoło niej unoszą się jakieś białe opary... Przestraszyła się więc, ale zaraz potem usłyszała jakby dochodzący spod ziemi pomruk i przestraszyła się jeszcze bardziej, tak bardzo, że już potem nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Kiedy zaś nazajutrz obudziły ją pierwsze promienie wschodzącego słońca, zobaczyła ze zdumieniem, że oto

zniknęła pełna kwiatów łąka, która jeszcze wczoraj wieczorem oddzielała ją od lasu. Zamiast łąki rozciągało się na tej całej ogromnej przestrzeni ciemne jezioro.

Ale jakże dziwnie wyglądała jego powierzchnia, prawie czarna, połyskliwa. Nigdy jeszcze nie widziała takiego jeziora.

Przysiadła na brzegu, nie wiedząc, co to znaczy, kiedy naraz dostrzegła nad-

— 164 —

chodzących łowców ptaków. Krzyczeli głośno, śmieli się i potrzęsali dzidami i łukami.

„Idą do lasu zabijać ptaki!” — pomyślała z przerażeniem dziewczyna. Ale zanim zdążyła pomyśleć cokolwiek jeszcze, zobaczyła ze zdumieniem, że oto jeden z łowców ptaków, a potem za nim drugi i trzeci, zanurzwszy stopy w owym czarnym jeziorze, nie mogli ich teraz wydobyć. W jeziorze zamiast wody była gęsta, ciemna smoła, której zapach unosił się wokoło. Szamotali się więc tak, jak owe ptaki, które chwyтали w sidła, i było pewne, że teraz nie zdołają przedostać się przez to czarne jezioro do lasu.

— Ptaki są więc ocalone, ziemia je ocaliła — ucieszyła się Hai-iati. Zaraz jednak posmutniała. Bo jeśli nikt nie zdoła dostać się do lasu, do ptaków, to i ona, Haiłati, też już ich nigdy nie zobaczy. Bo z drugiej strony dostępu do lasu bronią wysokie, nieprzebyte skały.

— Żegnam was więc, moje ptaki! — zawołała Hailati i wyciągnęła ręce w stronę, gdzie ciemniały drzewa. Ale oto z ust dziewczyny zamiast ludzkiego głosu wydobył się dźwięczący jak srebrne dzwonki głos tamtych ptaków, a jej wyciągnięte ręce zmieniły się w jednej chwili w skrzydła, pokryte mieniącymi się jak drogie kamienie piórami. Jeszcze chwila, a stała się małym, rajskim ptakiem, który odleciał znad brzegu jeziora do lasu. A jezioro to nazwali potem ludzie Asfaltowym.

OBJAŚNIENIA

Amulet — przedmiot, który według wierzeń ludów wschodnich ma przynosi.

pomyślność i chronić od nieszczęść i chorób

Bonza — kapłan w Japonii i Chinach

D'erwisz — ubogi wędrowny mnich mahometański

Fudzijama — słynny wulkan, święta góra Japończyków

Kimono — ubiór japoński, długa szata z szerokimi rękawami

K r a a 1 (wyraz holenderski) — nazwa wsi murzyńskiej w Afryce Południowej

Mandaryn — dostojnik chiński

M i k a d o — tytuł cesarzy japońskich

Obi — długi i szeroki, ozdobny pas do kimona

Szach — tytuł władcy Persji (Persja — dawna nazwa Iranu)

OBJAŚNIENIA

Amulet — przedmiot, który według wierzeń ludów wschodnich ma przynosić:

pomyślność i chronić od nieszczęść i chorób

Bonza — kapłan w Japonii i Chinach

D'e r w i s z — ubogi wędrowny mnich mahometański

Fudżijama — słynny wulkan, święta góra Japończyków

Kimono — ubiór japoński, długa szata z szerokimi rękawami

K r a a l (wyraz holenderski) — nazwa wsi murzyńskiej w Afryce Południowej

Mandaryn — dostojnik chiński

M i k a d o — tytuł cesarzy japońskich

Obi — długi i szeroki, ozdobny pas do kimona

Szach — tytuł władcy Persji (Persja — dawna nazwa Iranu)

SPIS TREŚCI

| | |
|---------------------------------------|----|
| Dar rzeki Fly (Nowa Gwinea)..... | 5 |
| Ikakindra Kolomamba (Madagaskar)..... | 15 |
| Kryształowe serce (Wietnam)..... | 24 |
| Biedny Diziko (Armenia)..... | 31 |

| | |
|---|-----|
| Historia jednego kwiatu (Haiti) | 38 |
| Dzielny Tiitii (Samoa)..... | 43 |
| Papuga (Arabia) | 47 |
| Dobry Nurrundere (Australia)..... | 54 |
| Dziewczyna i gwiazdy (Afryka) | 57 |
| Księżniczka Untombinde (Afryka)..... | 61 |
| Jak Hin-to zwyciężył księżyc (Taiwan)..... | 64 |
| Ogród tysiąca piwonii (Chiny)..... | 67 |
| Serce dzwonu (Chiny) | 76 |
| Leniwy Tusi i jego poddani (\tryka)..... | ""• |
| Przygody Ahmeda, syna mydlarza (Persja) | 88 |
| Słowik i róża (Persja)..... | 98 |
| Przebudzenie wiosny (Japonia)..... | 101 |
| Czarny koń (Japonia)..... | 110 |
| Wachlarz (Japonia) | 116 |
| Kwitnąca wiśnia (Japonia)..... | 127 |
| Piękny, zielony wojownik (Ameryka Północna)..... | 136 |
| Śnieżna królowna (Indie) | 140 |
| Przyjaciel mądrego kojota (Ameryka Północna)..... | 145 |

| | |
|---|-------|
| Poślubione gwiazdom (Ameryka Południowa)..... | 150 |
| Siedem córek (Sumatra)..... | 155 |
| Spójrz na księżyc (Indie) | 158 |
| Jezioro Asfaltowe (Trinidad)..... | . 162 |